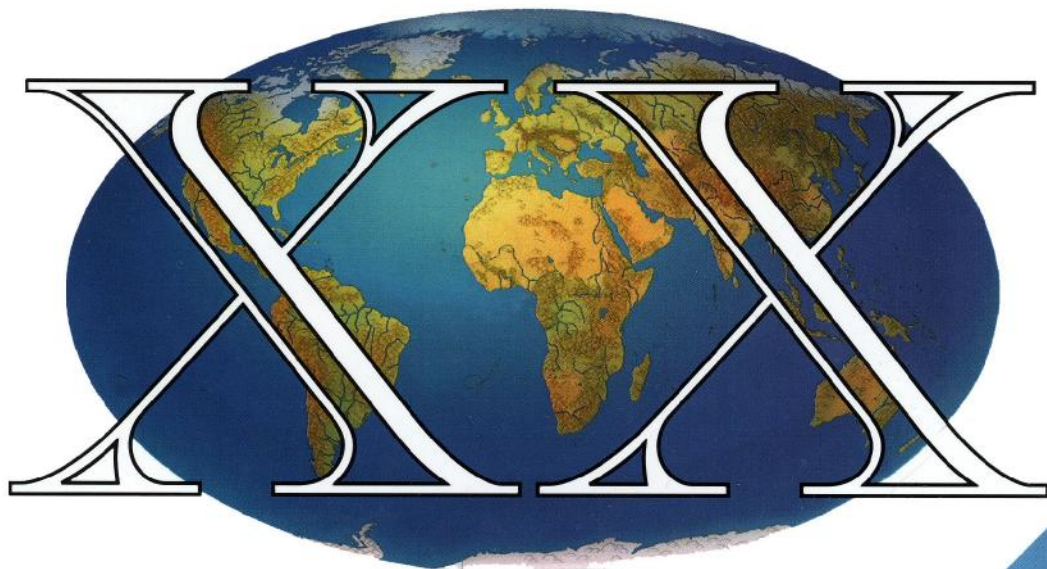


Waldemar
Łysiak

Super
bestseller
roku 2000

STULECIE



KŁAMCÓW

NA KONIEC WIEKU
I NA KONIEC
TYSIĄCLECIA

między innymi:

a **NATOMIA**
kłamstwa

Exlibris

Waldemar Łysiak

STULECIE
KŁAMCÓW

© Copyright by Waldemar Łysiak 2000

[copyright autora obejmuje również wszystkie rozwiązania typograficzne książki]

Wydanie II

Chicago-Warszawa 2000

Opracowanie typograficzne i graficzne:

Waldemar Łysiak i Adam Wojtasik

Redakcja techniczna: Adam Wojtasik

Korekta: Ryszard Dyliński

Dla zilustrowania tekstu wykorzystano grafikę

XV-wieczną (L. da Vinci, E. Ratdołta i anonimową).

XVI-wieczną (przede wszystkim A. Dürera, lecz także L. Cranacha St.,

G. Pencza, H. Baldunga Griena, J. Ammana, U. Grafa, H. Burgkmaira

i V. Solisa), XVII-wieczną (J. Callota), XVIII-wieczną (F. Goyi).

XIX-wieczną (J. Flaxmana, E. Delacroix, A. Rethela, W. Kaulbacha

plus anonimowe drzeworyty austriackie jako ozdobniki)

i XX-wieczną (E. Muncha, T. Gronowskiego, W. Waśkowskiego

i T. Lipińskiego), oraz obrazy A. Mantegni, M. Grünewalda, P. Bruegela St.,

F. Goyi, M. Wawrzeńskiego, P. Picassa, R. Magritte'a i F. Frazetty.

EX LIBRIS - POLISH BOOK GALLERY Inc.

5554 West Belmont Ave., Chicago Il. 60641

phone (773) 282-3107, fax (773) 282-3108

WYDAWNICTWO ANDRZEJ FRUKACZ.

EX LIBRIS - GALERIA POLSKIEJ KSIĄŻKI

pl. Trzech Krzyży 16, 00-499 Warszawa,

tel. 628-31-07, 628-45-15, fax 628-31-55

ISBN 83-88455-21-4

Skład i łamanie: Wydawnictwo Key Text, Warszawa

Druk: Łódzka Drukarnia Dzielowa SA

90-215 Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 45

Nota edytorska

Z końcem roku 1999 ukazała się nowa powieść Waldemara Łysiaka pt. „Cena”, momentalnie bijąc wszelkie rekordy szybkości sprzedaży (jak podała „Rzeczpospolita” — tylko w ciągu dwóch pierwszych tygodni obecności na rynku sprzedano 18 tysięcy egzemplarzy; dziennik skwitował to następująco: „Fenomenalna sprzedaż!”). „Cena”, chociaż była beletrystyką — tzw. literaturą piękną — ma pewien istotny związek treściowy z dziełem faktograficznym, jakim jest „Stulecie kłamców”, dlatego odwołanie się do „Ceny” ma swój głęboki sens. Paralelę uzasadnia jedno celne słowo z tytułu recenzji, którą opublikował „Tygodnik Solidarność”. Anna Poppek napisała tam: „«Cena» jest książką, na którą długo czekaliśmy, stanowi bowiem mistrzowskie podsumowanie polskich losów na tle najnowszej historii (...) Jak to dobrze, że mamy Łysiaka”. Tytuł recenzji brzmiał: „ŁYSIAK — SYNDYK FIN DE SIECLE”, a reklama recenzji na okładce tygodnika mówiła to samo po polsku: „ŁYSIAK — SYNDYK KOŃCA WIEKU”. Trzeba oddać recenzentce hołd, tylko bowiem wybitni krytycy potrafią jednym słowem — jednym wyrazem — bezbłędnie ująć istotę zagadnienia.

Syndyk to termin prawniczy — oznacza zarządcę masy upadłościowej. Do „Stulecia kłamców” ów termin pasuje równie trafnie (jeśli nie trafniej) jak do „Ceny”. Podsumowując bowiem cały XX wiek rodzaju ludzkiego — Łysiak staje się syndykiem masy upadłościowej stulecia kończącego drugie tysiąclecie po Chrystusie. Można oczywiście dyskutować, czy w dobie rozwiniętego humanizmu albo internetu ludzkość przeżywa stan zwany potocznie upadkiem. Łysiak twierdzi, że tak, i udowadnia to typową dla siebie, morderczą wnikliwością oraz

błyskotliwością intelektualną. Mamy tu do czynienia z Łysiakiem-publicystą i z Łysiakiem-historykiem, lecz przede wszystkim z Łysiakiem-moralistą, Łysiakiem-historiozofem i Łysiakiem-filozofem, który nie szczędzi gorzkich prawd bliźniemu swemu.

Dla niejednego czytelnika niejednym fragmentem „**Stulecia kłamców**” będzie bulwersujący, a nawet irytujący, tak jak skandaliczne było dla wielu (zwłaszcza dla polityków) opowiedzenie się



przez Łysiaka po stronie Serbów w konflikcie kosowskim. Talent Łysiaka do wywoływania burz nie jest jednak awanturniczą sztuką dla sztuki, lecz wywodzi się z umiłowania prawdy, z nie ulegania instynktowi stadnemu (modom, trendom, naciskom itp.) i z odwagi mówienia głośno rzeczy, które nie zawsze są mile widziane przez władzę czy opinię publiczną. A także z pasji nauczycielskiej (z instynktu przewodzenia, wskazywania kierunku, kształtowania) oraz pasji demaskatorskiej czy inkwizytor-

skiej (z nerwu ujawniania, obnażania, piętnowania). Polonijny publicysta Józef Dudkiewicz, poświęcając Łysiakowi obszerny esej na łamach prasy zaoceanicznej, rzekł m. in.: „*Pisarz tak wrażliwy jak Łysiak jest genialnym sejsmografem nastrojów społecznych, wydobywa i wypowiada to, co skryte jest głęboko, jeszcze nie artykułowane, niepokoi, porusza, a nawet kieruje zbiorowymi emocjami (...)* W polskiej tradycji uważa się, że jeżeli naród nie może mówić własnym głosem, Bóg zsyła mu pisarza. On mówi za naród i w imieniu narodu. Sprawuje rząd dusz” (1995).

Mówienie rzeczy trudnych w imieniu narodu — czasami oznacza mówienie rzeczy oczywistych, których jednak nikt wcześniej nie ważył się publicznie artykułować. Najświeższy przykład to wydrukowana 10 marca apostrofa Łysiaka do Rosjan („*Rosjanie! Zawsze was nie lubiłem ...*” itd.), która jeszcze tego samego miesiąca znalazła kilku naśladowców i pastiszowców (m. in. 24 marca Bronisław Wildstein oznajmił publicznie: „*Jestem rusofobem*”), czasami zarzekających się, iż nie lubią Rosji, zaś mieszkańców Rosji lubią (czyżby nie lubili krajobrazu rosyjskiego?), ale te gierki semantyczne były tylko umizgami do „*politycznej poprawności*” i nie zmieniały faktu: pewien odważny mistrz pióra wyważył drzwi, artykułując publicznie resentyment milionów Polaków, i dopiero wówczas przez otwarte drzwi ruszyła fala ośmielonych „*rusofobów*”. Identycznie wyważył Łysiak dziesięć lat temu drzwi kresowe, publicznie żądając zwrotu Polakom czysto polskich miast (Lwów i Wilno), lecz tego wątku nikt nie podjął, wskutek strachu politycznego.

„**Stuleciu kłamców**” można chyba niejedno zarzucić (edytor nie zgadza się z każdą polityczną opinią lub interpretacją autora), lecz na pewno nie można temu dziełu zarzucić braku odwagi i braku maestrii w formułowaniu niesłychanie przenikliwych konstatacji i diagnoz. Autor wyważył liczne drzwi, rzuca niejedno światło na rzeczy skrywane w cieniu, wreszcie obala mnóstwo kłamstw szerzonych uporczywie przez media. Książka ta stanowi wojnę z nikczemnością i hipokryzją, zaś piszący ją moralizator częściej niż amboną posługuje się szyderstwem. Prawo do moralizowania, piętnowania, szydzenia, wytykania, oskarżania, demistyfikowania itp. — do podsumowywania ludzkości u schyłku wieku i schyłku tysiąclecia — wyrobił sobie całą swoją drogą życiową i całą swoją twór-

czością. William Thackeray w „**Targowisku próżności**” charakteryzował osobnika tego rodzaju jako „*człowieka prostolinijnego, wyzbytego podłostek; człowieka, który patrzy światu w oczy po męsku, którego cele są szlachetne, a zasady i przekonania niewzruszone z punktu widzenia ich stałości, jak i poziomu moralnego*”.

„**Stulecie kłamców**” to właśnie nic innego, jak „*patrzenie światu w oczy po męsku*”, wedle celtyckiej dewizy, która od lat stanowi credo Waldemara Łysiaka: „*Prawda przeciw światu!*”.

Nota edytorska do wydania II

Chociaż każda książka Waldemara Łysiaka była bestsellerem, to jednak furora, jaką zrobiły dwie ostatnie jego książki, zaskoczyła i autora, i wydawcę, i księgarzy, i hurtowników. „**Cena**” nie schodzi z list bestsellerów od grudnia roku 1999 (a więc już przez 9 miesięcy!). „**Stulecie kłamców**” już czwarty miesiąc zajmuje (i to „*w cuglach*”) pierwszą pozycję na wszystkich listach bestsellerów, także w mediach wrogich autorowi ze względów politycznych (np. „**Gazeta Wyborcza**”). Jest to bowiem sukces tak przytłaczający, iż w żaden sposób nie można go zafałszować czy zatuszować. Hurtownicy, u których wydawca zasięga przed drukiem rady co do wysokości nakładu, tym razem mocno nie doszacowali spodziewanej „*frekwencji*” czytelników, więc mimo bardzo dużego pierwszego nakładu — okazał się on zbyt mały. Stąd konieczność dodruku.

Co spowodowało, że „**Stulecie kłamców**” cieszy się takim powodzeniem? Odpowiedź wydaje się prosta: Polacy łakną prawdy, tak jak ludzie dotknięci suszą łakną ożywczej wody. Nawet bolesnej i drastycznej prawdy, którą mówi niewielu. Chcą też niekoniumkturalnego podsumowania wieku, w którym się urodzili, a który właśnie mija.

Spośród głosów (recenzenckich) o „**Stuleciu kłamców**” cytujemy szczególnie celny głos Andrzeja Rostockiego na łamach „**Rzeczypospolitej**”: „*Osobiste pożegnanie pisarza z wiekiem dwudziestym, pełne namiętnej oskarżycielskiej pasji. Przy okazji jest to nie tylko krytyka czasów, w jakich przyszło nam żyć, lecz także odrzucenie koncepcji polityki stworzonej nieudolnie przez ludzki gatunek. Doskonale rozumiem intencje autora...*”. Rostocki, próbując zgłębić psychikę wielbicieli literatury Waldemara Łysiaka, dodaje:

„Ciekawe czy podzielają bez zastrzeżeń moralny maksymalizm swojego mistrza. Nie jest przecież łatwo z nim żyć w czasach powszechnego etycznego kompromisu” (2000).

*„W co wierzę?... (...)
Że nie należy kłamać... ja tak sądzę”*

Juliusz Słowacki, „Beniowski”

WSTĘP

Koniec drugiego tysiąclecia po Chrystusie jest też końcem XX wieku – najpotworniejszego wieku nie tylko nowożytnej ery. Monstrualne Wojny Światowe, rozliczne wojny regionalne (Mandżuria, Korea, Wietnam, Iran-Irak, Liban, Etiopia, Kaukaz, Bałkany itd.), niezliczone zbrojne konflikty mniejszej kategorii, planowe ludobójstwa (Armenia, Ukraina, Gułag, Holocaust, Kambodża itd.), wściekłe rzezie plemienne (np. Ruanda), mordercze deportacje masowe (głównie w ZSSR), epidemia narkomanii, międzynarodowe bestialstwo terroryzmu, etc, etc. – sumują się setkami milionów ofiar, a to jest rekord wszechczasów. W żadnym innym stuleciu ludzkość nie mordowała się tak zaciekle i tak sprawnie (ergo: tak licznie) – barbarzyńcy dawnych czasów (Dżyngis-chan, Attyla e tutti quanti) mogliby pójść do terminu czeladniczego u „wujka Soso”. Żaden wcześniejszy wiek nie zasłużył bardziej na miano hekatombi niżli ten kończący się właśnie nasz. Jakie to uczucie być obywatelem epoki arcymasakr, ze świadomością, że epoka ta wieńczy akurat kilka tysięcy wiosen ewolucji cywilizacyjnej myślącego gatunku ssaków?

Rekordowemu ubojowi „*homines sapiens*” partnerowała w stuleciu XX rekordowa erupcja kłamstwa tumaniącego i deprawującego rodzinę człowieczą. Człowiek kłamał odkąd nauczył się mówić, a ewolucja łgarstwa każdego rodzaju (od miłosnego i kupieckiego do politycznego i socjomanipulacyjnego) towarzyszyła ewolucji materialnej (technicznej), by w naszych czasach zabrzmieć symfonią, wobec której oszustwa minionych wieków były tylko melodyjkami uwertury. Stało się tak dlatego,

że ideologiom kleconym przez przodków, zwłaszcza ideologiom XIX-wiecznym – w XX wieku los dał okoliczności, możliwości i areny rozwojowe tudzież realizacyjne. Zostając „*wiekami ideologii*” – wiek XX stał się wiekiem superdemagogów i erą hiperłgarstwa uruchamiającego (także usprawiedliwiającego) największą ludzką rzeźnię. Przy czym nie obyło się bez paradoksów, albowiem los (Nemesis?) bywa złośliwy jak diabli – oto Polacy wkraczają w kolejne stulecie i tysiąclecie z coraz solidniej ugruntowywaną na całym globie opinią ludobójców, którzy zakatowali naród żydowski podczas II Wojny Światowej. Jakie to uczucie – nosić niezasłużenie garb tak ohydnej zbrodni, vulgo: być zupełnie niewinnym, a jednak piętnowanym przez całą światową społeczność Żydów?

Wesołego Nowego Roku, wesołego Nowego Wieku, wesołego Nowego Tysiąclecia, kochani rodacy!

Książka, którą właśnie trzymacie w dłoni, jest oskarżeniem koronnych łgarstw XX wieku – tych, co tworzą fundament i tron kultu przeniiewierstwa, szalbierstwa, oszczerstwa, słowem każdego demiurgicznego gwałtu na prawdzie dla budowania Zła, czyli dla gangrenowania świata. Oskarżam, albowiem utożsamiam się ze słowami pisarza Juliena Greena, które co roku cytowałem moim studentom omawiając zagadnienia średniowiecznej etyki: „*Wychowano mnie w pogardzie dla kłamstwa. W moim rodzinnym domu kłamstwo w żadnych jego formach nie było akceptowane. Wiem oczywiście, że mówi się niekiedy o kłamstwie z konieczności, i w rzeczy samej na tym po części bazuje społeczeństwo. Jednak to właśnie jest dla mnie obrażające!*”.

*„Wielka masa ludzka łatwiej
padnie ofiarą wielkiego kłamstwa
niż drobnego fałszu”*

Adolf Hitler, „Mein Kampf”

część I ŚWIAT

„Prawda przeciw światu!”

staroceltyckie

1. KŁAMSTWO POSTĘPU

Chociaż krytyka postępu sięga Oświecenia (np. J.-J. Rousseau) i była później sukcesywnie wzbogacana przez filozofów, socjologów etc., to jednak stanowiący w XIX wieku „gwiazdę betlejemską” optymistów postęp stał się w XX wieku fetyszem powszechnym, drogowskazem stulecia rozumianym według definicji encyklopedycznej, która mówi, że jest on „przechodzeniem od niższych, mniej doskonałych form lub stanów rozwoju ku formom lub stanom wyższym, doskonalszym” („**Wielka Encyklopedia Powszechna PWN**” 1967); „wszelką zmianą na lepsze, wszelką poprawą dotychczasowego stanu rzeczy pod takim lub innym względem (...), procesem doskonalenia się ludzkości i jej koniecznego zbliżania się do stanu idealnego definiowanego jako: ostateczne wyzwolenie się od przesądów, usunięcie społecznej niesprawiedliwości, likwidacja niedostatku, pełne zaspokojenie potrzeb, zmniejszenie zależności człowieka od ślepych sił przyrody, zapewnienie wszystkim ludziom możliwości samorealizacji, panowanie prawa itp.” („**Nowa Encyklopedia Powszechna PWN**” 1996).

Pierwsze dwie dekady wieku XX zostały w USA oficjalnie nazwane „*Erą Postępu*” („*Progressive Era*”), później zaś postęp nie schodził ze wszelkich łamów i z wszystkich ust jako wektorowy medykament epoki, panaceum stulecia zwanego „*stuleciem postępu*”. Postęp czyniący człowieka lepszym i szczęśliwszym, skutecznie rozwiązujący każdy problem, jaki staje przed ludzkością, spełniający marzenia i urzeczywistniający dążenia, słowem budujący przyzwoity świat — zyskał rangę kultową, rangę głównego aksjomatu dziesięciu dekad kończących drugie tysiąclecie naszej ery. U kresu ostatniej dekady możemy sporzą-

dzać bilans. Wynik jest koszmarem — postęp okłamał ludzkość.

Sięgnijmy do cytowanych elementów układanki, która w encyklopediach definiuje postęp. „*Ostateczne wyzwalenie się od przesądów*” — to eliminowanie Dekalogu, wyrzucanie go z kodeksu życiowego na rzecz bezhamulcowej swobody typu „*róbta co chceta*”, vulgo: na rzecz etycznej dżumy (w innym, bliźniaczym znaczeniu, „*wyzwalenie się od przesądów*” to deprecjonowanie religii). „*Usuwanie społecznej niesprawiedliwości*” nie powiodło się do końca nigdzie, zaś przeważającą (mocno przeważającą) częścią globu włada „*społeczna niesprawiedliwość*”. „*Likwidacja niedostatku*” i „*pełne zaspokojenie potrzeb*” są (i długo będą) marzeniami ściętej głowy na dominującym obszarze ziemskiego padołu, przy czym nożyce między bogatymi a biednymi rozwierają się coraz bardziej (bogaci są coraz bogatsi, a biedni coraz biedniejsi), czemu sprzyja wzmagająca się globalizacja gospodarki i handlu. „*Zapewnienie wszystkim ludziom możliwości samo-realizacji*” wciąż nie chce przejść z kręgu „*science fiction*” do sfery realnej, więc miliardy ludzi nie samorealizują się (wskutek braku jakichkolwiek na to szans). „*Zmniejszenie zależności człowieka od ślepych sił przyrody*” sumuje się corocznymi hekatombami od powodzi, trzęsień ziemi, tajfunów etc. „*Panowanie prawa*” może budzić (posepny) śmiech, chociaż milionom ludzi uciskanych pseudopraworządnością wcale nie jest do śmiechu. Tak już było — tysiąc lat temu, dwa tysiące, i przed Chrystusem — zawsze. Postęp nie naprawił tu niczego.

Detalicznie, owszem, co nieco naprawił, więc można ukazać trochę plusów. Murowany dom jest lepszy od skalnej jaskini, elektryczna pralka od drewnianej kijanki, mydło od brudu, gramotność od analfabetyzmu, telefon od kuriera czy magła, penicylina od gangreny itd. Postęp techniczny, higieniczny, medycz-

ny czy oświatowy przysłużyły się ludzkości wynalazkami, które tworzą z zysków efektowną maskę kolosalnych braków i strat. Ta sama bowiem medycyna, która skalpelem upiększa oblicza albo transplantuje serca — jest bezradna wobec starych (rak) i nowych (AIDS) ludobójców. Ten sam przemysł, który liczydło zastąpił kalkulatorem, rumaka automobilem, kotlet hamburgerem etc. — wybił „*dziurę ozonową*” nad głowami ludzi, eksterminował wielkie połacie przyrody, i kontynuuje wszystkie te zbrodnie, dręcząc tudzież zaśmiecając planetę bez ustanku. Ten sam ludzki geniusz, który teorią względności czy teorią kwantów wydatnie rozszerzył wiedzę człowieka — rozbił atom dla Hiroshimy, Nagasaki, Czernobyla i wiecznego strachu przed bombą termojądrową. Nowoczesne (mechaniczne, chemiczne, biologiczne) środki masowego mordu są ceną za lodówkę, telewizję i helikoptery. Cudowne dziecko naukowego postępu — pigułka antykoncepcyjna — upowszechniła (udemokratyczniła) żywiołową seksualność (niestałość) kobiet, rujnując tradycyjną rodzinę. Mimo że edukacja jest coraz powszechniejsza i coraz bardziej technicznie modernizowana — wykształcenie ogólne (erudycja podstawowa), zwłaszcza humanistyczne, jest coraz gorsze u maturzystów i studentów.

Kluczowe kłamstwo sprowadza się tutaj do lansowania przesądu, że postęp jest ze swej natury (a więc nieomal „z definicji”) chwalebny, zawsze użyteczny. Tymczasem między człowiekiem a postępem nie ma bezkarnych interesów. Za każdą korzyść trzeba gorzko płacić. I jakże często przepłacać! Słowem: tracić, ujmować, deprecjonować cywilizacyjnie. Lub wątpliwie zyskiwać — stać przy pozorach ruchu. Tak działo się już na początku stulecia, gdy rewolucja przemysłowa masowo wyrывała z domów niezbędne fabrykom kobiety (dzięki czemu zaczęła

się chwiać tradycyjna rodzina, fundamentalna komórka zdrowego społeczeństwa), i tak się dzieje u kresu stulecia, co jest bardzo dobrze widoczne zarówno w sferze fizycznej (przemysłowopochodne katastrofy żywiołowe produkują dzisiaj rocznie więcej trupów niż wojny), jak również w sferze człowieczej psychiki, jaźni, kindersztuby, ogłady, erudycji, zachowań towarzyskich i społecznych — ergo: w tej kategorii postępu, którą zwiemy „*duchowym rozwojem człowieka*”, vel „*ewolucją cywilizacyjną*” rozumianą jako kulturowa. Lecz nie kulturowa twórczo, artystycznie (to osobny temat). Chodzi o reakcje, maniery, rytuały, uczucia i przyzwyczajenia — o człowieczą osobowość ewoluującą milion lat z (dużym) okładem. Krach tego drugiego aspektu ewolucji — tego drugiego wektora postępu — był dla co światlejszych umysłów oczywisty dużo wcześniej, choćby w stuleciach XVIII i XIX. Monteskiusz (wiek XVIII): „*Zepsucie obyczajów. Natenczas człowiek uczciwy pędzi życie niejako zdumiony tym, że jest, by tak rzec, sam na świecie; że wszelkie ludzkie więzi znikają, ponieważ nie ma nikogo, pod czyją opiekę chciałby się oddać, nikogo też, kogo sam chciałby ochraniać, żadnego mężczyzny, którego chciałby mieć za przyjaciela, żadnej kobiety, której mężem chciałby zostać, żadnego dziecka, którego ojcem chciałby być*”. E. Delacroix (wiek XIX): „*W oczy się rzuca, że taki postęp prowadzi ku negacji postępu autentycznego, zaś społeczeństwo ku czeluści, gdzie panuje barbarzyństwo całkowite*”.

Tych groźnie proroczych zdań można zresztą użyć także wobec licznych aspektów postępu materialnego (technicznego), choćby wobec nieuchronnie ogłupiających gier komputerowych, co quasi-narkotycznie uzależniają młodzież. Rozwijające, wzbogacające, uszlachetniające, promujące honor, odwagę i sumienność młodzieżowe lektury pokolenia dziadków i

pokolenia ojców (indiańskie, kowbojskie, muszkieterskie, podróżnicze etc.) — zostały zastąpione tęym jak młotek, barbarzyńskim „*tubudu*” małeokranowych troglodytów. Mięśniak bezmózgowiec zastąpił romantycznego bohatera. Wielbiciele mięśniaków (miliony!) nie zaprzyjaźnią się już nigdy z żadną literaturą. Tak właśnie finiszuje postęp XX wieku.

Spójrzmy szerzej: czy dojrzały (już wyrosły z „*tluczenia*” elektronicznego kung-fu) codzienny użytkownik komputerów osobistych, będących dziś dumą rewolucji naukowo-technicznej (królowej postępu) — zaprzyjaźni się jeszcze kiedyś ponownie z ludzką inteligencją, vulgo: ze swoim mózgiem jako aparatem myślenia, kojarzenia, decydowania, gromadzenia wiedzy i rozwiązywania problemów? Dostał elektroniczną protezę umysłu („*sztuczną inteligencję*”) i zastąpił wszystkie wspomniane procesy, cały intelektualny wysiłek człowieka — „*wysiłkiem*” manualnym (naciskanie klawiszów i „*klikanie*”). Oto zemsta postępu, niby zemsta Nemezis — bogini, która karze ludzi spełniając ich marzenia.

Zupełnie jak w polskiej edycji najpopularniejszego teleturniejcu świata, „*Milionerzy*”, gdzie co tydzień spełniają się marzenia licznych szczęśliwców o dużej gotówce, ale kosztem przymusowej fraternizacji z młodym prowadzącym, który każdego (także ludzi dwukrotnie od siebie starszych) traktuje per „*ty*” (tonem protekcjonalno-nachalno-besserwiskerskim), a całe to żenujące chamstwo ma świadczyć o nowoczesności stosunków międzyludzkich (wszyscy jesteśmy kumplami), czyli o postępie. Fraternizacja wielu ludzi z komputerem rodzi ten sam proces chamienia uczestnika (użytkownika) przez maszynę pod pozorem wzbogacania erudycji.

Nie jestem wyjątkiem — postęp wyhodował sobie wielu kry-

tyków. Ekologów (R. Kreibich: *„Jeśli kierunek postępu nie ulegnie zmianie, to ludzkość ulegnie samozniszczeniu”*); antropologów (M. Harris: *„Dzisiejszy postęp stanowi rozpaczliwą próbę ucieczki przed efektami wyczerpywania się zasobów natury. Ale takie ucieczki nigdy się nie udają. Wysoko rozwinięta kultura Mezopotamii czy wspaniała cywilizacja Majów runęły, gdy splądrowały swe zasoby”*); historyków (Ch. Kucklick: *„Obecny szaleńczy postęp niszczy więzi międzyludzkie i kasuje punkty orientacyjne szybciej niż może stworzyć nowe (...) Postęp techniczny tragicznie naruszył klimat, mocno wyjąłowił gleby, boleśnie zróżnicował stopę życiową rzesz mieszkańców globu...”*); itp., itd. (wszystkie cytaty z lat 90-ych).

Najtrafniejszą — moim zdaniem — opinię o postępie wieku XX wygłosił książę S. Aga Khan (bratanek głośnego przywódcy izmailitów): *„Prawdziwy postęp to umiejętność przeanalizowania i zrozumienia tych wszystkich błędów, jakie w jego imieniu popełniamy”*.

2. KŁAMSTWO EWOLUCJI

Powstanie życia na Ziemi tłumaczone było w XX wieku albo biblijnie czyli kreacjonistycznie (to Kościół), albo panspermicznie (Arrhenius i jego epigoni), albo kosmitologicznie (Däniken i jemu podobni), albo biogenetycznie czyli teoriami naukowymi, które mówią o samorzutnym wykształceniu się życia dzięki pierwotnym procesom chemicznym. Upraszczając — można rzec, iż nauka skonstruowała mozolnie tezę o bogatej pierwotnej „*zupie organicznej*”, w której aminokwasy wytworzyły peptydy, a peptydy wytworzyły białka, i tak dalej, aż do człowieka ewoluującego wedle teorii pana Darwina, czyli drogą „*naturalnej selekcji*” (vel „*naturalnego doboru*”). Tej triumfującej mądrości długo nauczano po wszelkich szkołach, póki nie otrzymała kuksańca ze strony inaczej myślących mędrców. W 1986 roku 72 amerykańskich laureatów Nagrody Nobla plus 24 prezesów wielkich amerykańskich ośrodków naukowych wezwało Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych „... *aby zakazał szerzenia w szkołach jakiegokolwiek nauki o powstaniu życia i rodzaju ludzkiego, gdyż tak teoria ewolucji, jak i tezy religijne tudzież wszelkie inne opierają się na przesłankach wyłącznie wiary, nie zaś stwierdzonej i naukowo udowodnionej prawdy*”. Co — mówiąc mniej delikatnie — znaczyło: przestańcie tumanić ludzi mową-trawą.

O ile nikt rozsądny nie kwestionuje zjawiska ewolucji gatunków, o tyle mechanizmy ewoluowania są wciąż słabo rozpoznane, pełne zdumiewających dziwactw i głębokich tajemnic, a przeto — jako mocno kontrowersyjne — stanowią temat gorą-

cych kłótni między klanami sawantów. Podobnie jest z teorią o samorzutnym wykształceniu się życia na Ziemi. Dopóki kwestionowali ją uczeni rangi drugorzędnej — była bezpieczna. Lecz gdy w latach 70-ych i zwłaszcza 80-ych zmasowany atak na nią przypuścili giganci tacy jak F. Crick (zdobywca Nobla za odkrycie struktury DNA), L. Orgel (autor głośnej pracy „**The Origins of Life**”), Węgier G. Marx (kierownik katedry fizyki atomowej Uniwersytetu w Budapeszcie) czy F. Hoyle (wybitny brytyjski astronom, gwiazda Uniwersytetu Cambridge) — żarty się skończyły. Hoyle spytał: *„Jakim cudem samo przypadkowe połączenie się substancji chemicznych w owej pierwotnej zawieszynie organicznej miałoby wyprodukować 2 tysiące enzymów niezbędnych do życia? To absurd!”* (1983). Szansę na to Hoyle określił niczym $1:10^{40\ 000}$, czyli *„mniej więcej takie, jak szansa wyrzucenia 50 tysięcy razy pod rząd szóstki zwykłą kostką do gry”* (astrofizyk Trinh Xuan Thuan określił szansę przypadkowego powstania wszechświata *„jak szansę, że łucznik trafi strzałą kwadrat o boku 1 cm z odległości 15 miliardów lat świetlnych”*: francuscy astrofizycy rosyjskiego pochodzenia, bracia Bogdanowowie, w roku 1991 określili to prawdopodobieństwo jak $1:10^{1000}$, twierdząc: *„... co wyklucza, by materia mogła się przypadkowo zorganizować w tak skomplikowane i wyrafinowane struktury”*).

Dla licznych u schyłku XIX wieku i tuż za progiem wieku XX pozytywistów kubłem zimnej wody była katastrofa „Titanica”, która nadwerzężyła ich ślepe zaufanie do postępu technicznego. Tym samym (szokiem trzeźwiącym) były dla licznych mądrali schyłku XX stulecia protesty koryfeusza nauki amerykańskiej (owych 72 noblistów) przeciwko głoszonej bezczelnie pewnością, iż wiemy jak powstało życie. Teorie akademickie o Genezie są co prawda dalej głoszone z katedr uczelnianych i ze szpalt

encyklopedycznych, ale już nie musimy im ufać, wiedząc, iż są to w dużej mierze spekulacje, hipotetyczne bzdury i kłamstwa, które ośmieszy nauka przyszłych czasów. Martwić się winniśmy nie tym, lecz faktem, że przyszłe stulecia uznają głównego ssaka XX wieku, komplementującego siebie dumnym mianem „*sapiens*”, za istotę bardzo, ale to bardzo prymitywną.

Najpopularniejszym kłamstwem tyżącym ewolucji „*homines sapiens*” jest powszechne mniemanie, że człowiek XX wieku to istota nieomal doskonała. Czyż najnowsza encyklopedia polska („**Nowa Encyklopedia Powszechna PWN**” 1996) nie mówi o *„procesie doskonalenia się ludzkości i jej koniecznego zbliżania się do stanu idealnego”*? Gniewało to m.in. profesora Eibla-Eibesfeldta, wybitnego biologa i humanetologa, członka bawarskiego Instytutu Maksa Plancka: *„Pośród wielu istot, z którymi mamy wspólne dziedzictwo biologiczne, człowiek jest jedyną, która zastanawia się nad światem, potrafi werbalizować swoje przeżycia i odzwierciedlać je w twórczości. Uczymy się dużo więcej niż jakikolwiek inny gatunek, aby nabyć umiejętności życia w społeczeństwie. Wychowanie daje nam szansę kontrolowania i dystansowania się od naturalnych popędów. To wszystko prawda, jednakże nazywanie człowieka «koroną stworzenia» albo finalnym najdoskonalszym tworem procesu ewolucji jest całkowicie pozabawione racji. Ewolucja i selekcja trwają; nie możemy udawać, że nas to nie dotyczy”* (1989).

Dla wielu widocznym (jednak tylko pozornym) świadectwem ewolucji fizycznej (organicznej) człowieka jest podwojona i potrojona długość naszego życia w stosunku do żywotów naszych niedawnych przodków, trzeba wszelako pamiętać, iż zawdzięczamy ją wyłącznie postępowi higieny, medycyny i farmacji. A że (jak już napomykałem) nie można robić z postępem bezkarnych interesów — radykalny wzrost długości życia po-

woduje radykalny wzrost świadczeń emerytalnych, będących dzisiaj rakiem budżetów wielu państw. „**Financial Times**”: „*Może to doprowadzić do takiej międzynarodowej katastrofy finansowej, przy której kryzys zadłużeniowy Ameryki Łacińskiej wyda się ledwie burzą w szklance wody. Rządy niektórych państw stoją na krawędzi niewypłacalności rujnującej*” (1996).

Zapewne prof. Eibl-Eibesfeldt miał słuszość pisząc, że selekcja i ewolucja gatunku wciąż trwają. Jeśli tak — to selekcję zakłóca postęp medycyny (dziecko, które dawniej nie dożyłoby drugiego roku życia wskutek choroby genetycznej, teraz dzięki medycynie dożywa 25-30 lat, płodząc po drodze równie chore dzieci, które jeszcze silniej osłabiają gatunek), więc ewolucja fizyczna może kiedyś przybrać charakter regresu. Tymczasem — według coraz liczniejszych myślicieli — ewolucja duchowa, formalnie zwycięska, już odnotowuje regres. Wszystkie pozytywne aspekty wymienione przez Eibesfeldta (kształcenie, myślenie, samokontrola, twórczość itp.) nie zmieniają bowiem faktu, że „*bestia ludzka*” jest niereformowalna: wredna, pazerna, okrutna, cyniczna, egoistyczna, kłamliwa, zdradliwa, lizusowska, słowem podła i krwiożercza, wbrew wysiłkom „*klechów i belfrów*”, którym Nietzsche wytykał, że wpajaniem moralności tłumia naturalne (zwierzęce) instynkty ludzkie.

Wspomniana niereformowalność (jej dowodem są m.in. stałe akty indywidualnego i zbiorowego bestialstwa lub wieczna dzika seksualność, czyli rejestr zachowań niczym się nie różniących od barbarzyństwa minionych epok) skłania coraz większą liczbę uczonych do myślenia o „*antropotechnicznym*”, sztucznym (operacyjnym) ulepszeniu jaźni człowieka. Myśli takie nie są obce m.in. M. Minsky’emu (filozof nauki uważany za jednego z „*ojców informatyki*”), szwajcarskim badaczom (Simioni, Cerqui)

z Instytutu Antropologii Uniwersytetu w Lozannie, czy niemieckiemu filozofowi P. Sloterdijkowi, którego tezy zyskały przy końcu XX wieku największy rozgłos. Sloterdijk kpi z optymizmu humanistów głoszących, że trwająca tysiące lat wyższa ewolucja odzwierzęciła człowieka i skutecznie złagodziła obyczaje. Twierdzi, że co prawda długotrwałe moralizatorstwo spełniło rolę „*psychotropowego leku*”, windując cywilizowanie „*ludzkiej bestii*” na przyjemny poziom, lecz wystarczyło kilkadziesiąt lat agresywnej (i kilkanaście lat bardzo agresywnej), schlebiającej najniższym instynktom kultury masowej współczesnego świata („*przemysł kulturalny*”, od filmu do muzyki), by cały ten domek z kart runął, neglizując słabość wszelkiego kaznodziejstwa humanistycznego i moralizatorskiego, czyli powodując u schyłku XX wieku jaskrawy regres cywilizacyjny. Gdy więc tradycyjna terapia zbankrutowała — jedyną szansą reformowania człowieka, mówi Sloterdijk, będzie interwencjonizm „*antropotechniczny*” (manipulacje genetyczne, implanty elektroniczne, selekcje prenatalne etc), który stworzy „*postludzkość ery postetycznej*”, vulgo: człowieka ulepszanego skuteczną chirurgią, a nie mało skutecznymi edukacją i perswazją.

Genialny etolog austriacki, K. Lorenz, też nie wierzył, iż ewolucja człowieka sięga już apogeum. Pisał, że być może jesteśmy „*brakującym ogniwem między przyszlą istotą prawdziwie człowieczą a prymatem przedczłowieczym*”. Lecz dalej wierzył w ewolucję naturalną (choć tak irytująco powolną), gdy ci, co go dzisiaj zastąpili, głoszą, że być może „*prawdziwej ludzkości*” nie da się osiągnąć bez „*inżynierii genetycznej*”.

Istnieje — jak sądzę — pewien sposób ustalenia etapu rozwojowego vel fazy ewolucji człowieka. Wykorzystujemy podobno zaledwie kilka do kilkunastu procent możliwości naszego móz-

gu... Czy osiągnięcie stu procent wydajności mózgu będzie szczęśliwą meta? I czy wówczas będzie można wreszcie zrozumieć wszystkie niepojęte dziś zjawiska, kwestie, problemy? Choćby ten fundamentalny, gdy mówimy o „*samorzutnym powstaniu wszechświata i życia*” — ten ujmowany dziecięcym pytaniem: czy coś może samo powstać z zupełnie niczego?

3. KŁAMSTWO POLITYKI 1 – KŁAMSTWO WOJNY

Polityka to słowo antyczne, greckie, oznaczające sztukę rządzenia państwem. Politycy to ludzie, którym wyroki fortuny lub werdykty zbiorowości powierzyły władzę, czyli prawo i obowiązek działania na rzecz wspólnoty (narodowej, plemiennej, miejskiej itd.). Kierowanie wojskiem, administracją i policją, regulowanie zasad współżycia, utrzymywanie bezpieczeństwa i sprawiedliwości, etc, etc, słowem czynienie dobra współobywatelom — stanowią główne zadanie polityków. Wszelako w większości przypadków politycy (tak Wschodu, jak i Zachodu, Południa czy Północy) dbają przede wszystkim o „*zdobycie stołków*”, o „*utrzymanie stołków*” i o „*własną kieszeń*”, mimo że gęby mają pełne spolegliwością, ofiarności i altruizmem. Dlatego są powszechnie uważani za patentowanych kłamców — za arcykapłanów łgarstwa. Mimo to są niezbędni, gdyż ktoś musi rządzić, inaczej szalałyby anarchia i chaos. Piętnujemy więc kłamliwość polityków, lecz obejść się bez nich nie możemy. Zapominamy przy tym, że ludzie (wszyscy ludzie) z natury są kłamliwi, gdyż ewolucja nie potrafiła wyeliminować tej słabości człowieka, a kłamliwość ludzi rządzących tylko dlatego drażni nas mocniej niż kłamliwość rządzonych, bo jest szkodliwa ogólnospołecznie, jest publiczna i jest praktykowana przez osoby, które winny być nieskazitelne „*jak żona Cezara*”.

W polityce wewnętrznej (rządzeniu społecznością) kłamliwość i partactwo polityków przynosi dużo mniej ofiar (zwłaszcza śmiertelnych) niż w polityce zewnętrznej (międzynarodo-

wej), w której ofiary bywają liczone nie krzywdą prawną, deklasacją, nędzą, głodem itp., lecz rzekami krwi. Myślę o wojnach. Uważany za symbol ludzkiego geniuszu Włoch da Vinci określał wojnę jako „zwierzęce szaleństwo”; uważany za czołowego teoretyka wojny Prusak von Clausewitz nazwał wojnę „kontynuacją polityki przy użyciu innych środków”; uważany za czołowego praktyka wojny cesarz Napoleon („bóg wojny”) przeważał ją „barbarzyńskim rzemiosłem”. Wyjąwszy wojnę z natury rzeczy sprawiedliwą — wojnę obronną lub wojnę dla odzyskania suwerenności — to „barbarzyńskie rzemiosło” ma cele mniej lub bardziej podłe, wymaga więc tuszujących łgarstw. Dawnymi czasami było uczciwsze — wielkie najazdy Hunów czy Mongołów nie potrzebowały alibi, stanowiły rzeź bezinteresowną. Rozwój cywilizacji sprawił wszakże, iż alibi wojennych hekatomb stało się konieczne. Ludzkość poczęła inicjować zbiorowy mord dla religii, sprawiedliwości, zemsty, honoru (nawet sportowego, vide głośna latynoamerykańska „wojna futbolowa”), „Lebensraum” czyli przestrzeni życiowej, rewolucji światowej, czystości rasowej, higieny etnicznej, konieczności zdobycia niezbędnych surowców, tudzież dla innych równie „świętych” lub „wzniosłych” celów.

Mocne alibi wszczęcia wojny stanowi również zdroworozsądkowy pragmatyzm. To, co łacinnicy zważy „ultima ratio regum” czyli „ostatecznym argumentem królestwa”, „królewskim argumentem rozstrzygającym”, gdy wyczerpano wszelkie inne niż wojna możliwości załatwienia sprawy niezbędnej dla państwa i narodu. Obiektywnie (a nie patriotycznie) rzecz biorąc — ów pragmatyzm z reguły wart jest tylko przekleństwa lub gorzkiego śmiechu. Nikt lepiej od „dobrego wojaka Szwejka” nie ujął absurdalności przyczyn i trybów I Wojny Światowej, w której

europäische Mächte ohne Zweck und ohne Nutzen die Grosen ihrer männlichen Jugend. Notabene — ta właśnie wojna została uznana przez H. Arendt (największą myślicielkę XX wieku) za szczególnie złowrogi konflikt militarny, bo „wzniecił on łańcuchową reakcję kolosalnego amoku wojennego, bezpowrotnie rozbijając solidarność narodów, a więc dokonując rzeczy, która nie udała się żadnej z wcześniejszych wojen” (1951).

Dlaczego łgarstwo wojenne wieku XX mocniej niż wcześniejsze takie łgarstwa strauumatyzowało świat; dlaczego miało wymiar bardziej potworny niż masowe groby dawniejszych czasów? Odpowiedź jest prosta — bo rozwój techniki (postęp) sprawił, że można było w błyskawicznym tempie zabijać dużo więcej ludzi niż kiedykolwiek (więc zabito), a rozwój ideologii — że można było planować i realizować morderczą eliminację całych narodów (Żydzi, Ormianie, Cyganie, Hutu, niektóre narody lub plemiona Azji rosyjskiej itd.). Przez ostatnie sto lat wymordowaliśmy setki milionów ludzi i dalej mordujemy (kiedy czytacie te słowa — w kilku punktach globu trwają „małe wojny”). „Ludzka bestia” wciąż nie może żyć bez zapachu krwi bliźniego. I chyba długo jeszcze nie będzie mogła.

Skuteczniejszej technice zabijania bliźnich towarzyszył w XX wieku gwałtowny wzrost liczbowy konfliktów militarnych. Sto lat temu, z końcem roku 1899, papież Leon XIII (wówczas bardzo sędziwy i równie schorowany jak dzisiaj Jan Paweł II) uczynił to samo, co sto lat później uczynił Karol Wojtyła — rozwarł święte drzwi Bazyliki Piotrowej i wygłosił wzruszający apel o zaprowadzenie na Ziemi pokoju. Błagał swych „braci i siostry”, ażeby wiek XX stał się erą braterstwa nienaruszalnego, bez żadnych zbrojnych konfliktów degradujących koronę stworzenia Boskiego czyli ludzkość. Czas zdawał się sprzyjać tej nadziei,

gdyż prócz bursko-brytyjskich walk w dalekim egzotycznym Transwalu (na południowych rubieżach Afryki) chwilowo nic Kainowego się akurat nie działo, trwała przerwa, więc słów Bożego namiestnika nie zagłuszały żadne głośniejsze eksplozje wojenne. Lecz wkrótce (już 5 stycznia 1900) krwawo obudziła się gnębiona przez „Angolów” Irlandia, potem niemiecki korpus ekspedycyjny ruszył do Chin, by brutalnie tłumić rewoltę „bokserów”, wzniecono wojnę rosyjsko-japońską (1904), Światową (1914), i tak dalej. Liczba wojen prowadzonych między Anni Domini 1900 i 2000 pobiła wszelkie rekordy, można rzec: zdeklasowała rywali (wszystkie stulecia wcześniejsze). Co oznacza, że modlitwy Leona XIII nie znalazły wyżej posłuchu. Czy modlitwy Jana Pawła II mają większą szansę?

Dla głównych agresorów XX wieku okłamujących własne społeczeństwa i światową opinię publiczną, że wytaczane wojny są sprawiedliwe (bo prowokowane przez nieprzyjaciela), potrzebne i umotywowane słuszością celów — karą były klęski. W wyniku I Wojny Światowej monarchia habsburska kompletnie roztrwonila austriackie imperium, carat utracił tron (i żywot), a Francja i Niemcy pogrzebały wewnątrz błotnistych okopów nad Marną miliony swoich żołnierzy. Maszerująca by zdobyć Zachód (w 1920) sowiecka Rosja, wskutek „cudu nad Wisłą” nie zdobyła Europy, ani nawet Polski. Hitler nie rozszerzył Niemcom „przestrzeni życiowej”, Japonia nie zyskała chińskich pól surowcowych, a Saddam Husajn nie podbił Kuwejtu. Jedynym efektem owych agresji były rzezie (tylko obie Wojny Światowe dały 60 milionów kalek i 70 milionów trupów; lecz, co bystrze zauważył logistyczny dyspozytor Holocaustu, A. Eichmann: „*Stu zabitych to tragedia, milion — to już statystyka*”). Pod względem Marsa i Odyna historia jako nauczycielka

zawiodła w XX stuleciu bez reszty.

Pytanie: czy XXI wiek przeliczytuje liczbowo te rekordowe wojenno-cmentarne osiągnięcia swego poprzednika? Szansa jest solidna, zważywszy, że już kilkanaście krajów (w tym kraje ciągle drące ze sobą koty, jak Korea Północna i Korea Południowa, Indie i Pakistan, lub Izrael i świat Arabów) posiada broń atomową. Ciekawe, w jakim stosunku londyńscy bookmacherzy (u których można założyć się o wszystko) przyjąłby zakład, że ludzkość nie dokona samoeksterminacji przed końcem XXI wieku?

Oczywiście możemy się karmić nadzieją, matką ludzi wierzących w duchowy (humanistyczny) rozwój „*homines sapiens*”, ale nadzieję tłumią rocznicowe wspomnienia. Otóż przełom wieków XX i XXI zadziwiająco przypomina przełom wieków XIX i XX. Podobnie jak dzisiaj kwitły wtedy wolny rynek i wolny handel, dla podróżnika Europa nie miała granic (dzisiaj wojażujemy bez wiz, wtedy nawet bez paszportów!) i panował ogólnoświatowy pokój, więc mądrzy ludzie zapewniali bliźnich, iż duża wojna jest już niemożliwa — „*nie do pomyslenia*”! Cytuję ówczesny warszawski „**Przegląd Tygodniowy**”: „*Poziom wojowniczości znacznemu uległ niżeniu, wojny stają się rzadsze i krótsze (...) Gruntuje się w nas wiara, iż z czasem uwolnią się ludzie od strasznej plagi — wojny*”. Wybuch wojny rosyjsko-japońskiej nie zmniejszył optymizmu. Światowym bestsellerem roku 1910 stała się praca N. Angella „**The Great Illusion**”; Angell wykladał tam tezę, że wspólne interesy wielkich mocarstw dyrygujących światem, zwłaszcza interesy ekonomiczne (powszechnie przyjęta wymienialność walut na złoto uczyniła finanse i gospodarkę bardziej globalnymi niż dzisiaj) — to gwarancja pokoju światowego. System międzynarodowej

współpracy i współzależności miał skutecznie chronić świat przed groźbą globalnych konfliktów. I cały świat uwierzył Angellowi — bito jego przepowiedni brawa jako niezwykle trafnej. Kilka lat później horror I Wojny Światowej ośmieszył to proroctwo i tę pewność.

4. KŁAMSTWO POLITYKI 2 – KŁAMSTWO PACYFIZMU

Pacyfizm — jedna z największych aberracji praktykowanych w XX wieku przez tzw. dobrych ludzi — skrócił morderczo niewiele mniej ludzkich istnień niż wojowniczy instynkt gatunku. Kłamstwo wojny polegało na wmawianiu społeczeństwom, że wojna może rozwiązać trudne problemy, polepszyć byt, powiększyć ojczyznę lub inaczej uszczęśliwić. Kłamstwo pacyfizmu zaś na obiecywaniu ludom, iż silny ruch propokojowy wstrzyma wybuch wojny, bądź przerwie wojnę już się toczącą. Tymczasem skutki pacyfizmu były zazwyczaj odwrotne.

Termin *pacyfizm* ma dwa znaczenia. Generalnie — pacyfizm (od łacińskiego „*pacificus*” — wprowadzający pokój) to umiłowanie pokoju, dążenie do pokoju, niechęć do wojny, hołubienie i wyrażanie poglądu, że wojny winny być całkowicie zabronione lub przynajmniej radykalnie ograniczone. Iluż filozofów gryzło mózgiem i słowem pisanym wątek pacyfistyczny! Drugie znaczenie terminu jest organizacyjne: pacyfizm to bardzo silny w XX wieku ruch polityczno-społeczny działający na rzecz pokoju, przeciwko wojnom. Dla jasności wywodów, które rozwinię, będę tytułował te dwa pacyfizmy określeniami: pacyfizm 1 i pacyfizm 2.

Pacyfizm 2 zadebiutował w roku 1815, gdy powołano pierwsze towarzystwo antywojenne (Nowy Jork); w roku 1848 odbył się pierwszy międzynarodowy kongres pacyfistów (Bruksela); z końcem wieku XIX działało już ponad 400 organizacji pacyfistycznych, które nie tylko żądały zaniechania wojen jako me-

tody rozstrzygnięcia sporów, lecz chciały powszechnego rozbrojenia (m. in. likwidacji regularnych wojsk). Wiek XX rozpoczął się dla pacyfistów od ustanowienia Pokojowej Nagrody Nobla (1901), a później pacyfizm prężnia! z każdym rokiem. Równocześnie z każdym rokiem powiększała się liczba trupów produkowanych przez wojny.

W pierwszej połowie stulecia XX katastrofalną rolę odegrał pacyfizm 1. Pacyfistyczna polityka Anglii i Francji wobec wzrastającej agresywności Hitlera — tzw. „*polityka ustępstw*” vel „*polityka uspokajania*” („*appeasement*”) — doprowadziła do międzynarodowego Układu Monachijskiego (1938), który zezwalał Niemcom zagarnąć Czechosłowację. Na londyńskim lotnisku, wracający z Monachium premier Wielkiej Brytanii, A. N. Chamberlain, oznajmił: „*Przywożę pokój!*”. Było odwrotnie — przywiózł wojnę. Pacyfistyczne ustępstwa Brytyjczyków i Francuzów ośmieliły Niemców i Włochów do wzniesienia europejskiej (a w konsekwencji — światowej) pożogi. Ludzkość zafundowała sobie pacyfizmem gigantyczną rzeź.

Pacyfizm 2 sięgnął apogeum w drugiej połowie wieku XX, dzięki wszędobylskim mackom komunistycznym. Najpierw (lata 50-e) stalinizm otumaniał mózgi zachodnich autorytetów (intelektualistów, twórców, etc), a pośrednictwo tych baronów (baranów) dawało tumanić zachodnią opinię publiczną. W efekcie — każda militarna riposta Zachodu przeciwko brutalnym komunistycznym agresjom na niepodległe państwa (agresjom „nie zauważanym”, więc i nie piętnowanym przez pacyfistów) spotykała się z masowym protestem światowej opinii publicznej, uświetnianym protestami lewackich gwiazd kultury, nauki, sztuki etc. Symbolem może tu być wielki malarz Pablo Picasso (członek kompartii), który „**Masakrą w Korei**” (1951) napiętno-

wał „*amerykańskich zbrodniarzy*” rozstrzeliwujących grupę ciężarnych kobiet i maluchów, gdy prawda była odwrotna, bo wojska Zachodu (ONZ-u) broniły wówczas koreańską ludność przed bolszewickim zezwierzęcieniem. Później czerwona agresja na Wietnam i jego obrona wywołały to samo — rzesze zachodniej inteligencji i studentów demonstrowały swe poparcie dla czerwonych bandytów. Kosztem ofiar agresji triumfował lewacki pacyfizm, będący wodą dla młynów Kremla.

Dzisiaj już dość powszechnie ugruntowała się w historiografii opinia, że Amerykanie nie przegrali wietnamskiej wojny na azjatyckim polu walki, tylko na własnym domowym podwórku, gdyż ciśnienie pacyfistów (hord antywojennych demonstrantów, gromad lewicowych intelektualistów i krytykujących wojnę mediów) było zbyt silne. Kiedy więc w roku 1973 komuniści zgodzili się na traktat pokojowy — nękanie domowymi i światowymi protestami rząd amerykański zgodził się również, robiąc ogromny błąd (prowadzący wojnę komuniści wyciągają z kapelusza gołąbka pokoju jedynie wówczas, gdy dziurawi im ślepią widmo całkowitej klęski — i tak było wtedy, nie wytrzymałoby dalszych bombardowań). Jak tylko Ameryka wycofała się z Wietnamu Południowego — czerwoni złamali traktat i napadli ten kraj, zajmując go bez kłopotów. Przy bierności świata prawie cała Azja południowo-wschodnia dostała się w komunistyczne pazury. Zawdzięczała brak swobód, głód i terror amerykańskim i europejskim pacyfistom — ich marszom, ich petycjom, ich faryzeuszowskiej propagandzie.

Wszystkie światowe organizacje pacyfistyczne drugiej połowy XX stulecia, łącznie z główną, założoną A. D. 1950 Światową Radą Pokoju — zostały całkowicie zinfiltrowane przez KGB i

GRU, stając się „antywojennymi” filiami Moskwy. Wszyscy czołowi pacyfiści drugiej połowy XX stulecia, łącznie z głównym, angielskim filozofem B. Russellem — agenturalnie lub debilnie pracowali na rzecz Kremla (żołnierzy amerykańskich broniących Wietnamu Russell porównał do esesmanów!). Wszystkie, tak częste i tak liczbowo monstrualne, demonstracje antyrządowe wstrząsające Europą przez wiele lat (zwłaszcza w latach 60-ych i 70-ych) — były skierowane tylko przeciwko broni nuklearnej Zachodu. Ofensywna broń atomowa ZSSR nie wadziła pacyfistom (notabene sam Russell, w latach 50-ych krytykujący po równo nuklearne zbrojenia ZSSR i USA, później piętnował już wyłącznie jądrową broń amerykańską). Rosyjski dysydent, uciekinier W. Bukowski, wspomina: *„Co rano, gdy budziłem się w Londynie, dziesięć nowych organizacji pacyfistycznych, mniej więcej milion ludzi, wrzeszczało pod moim oknem przeciwko nuklearnym rakietom. Rzecz jasna — tylko NATO-wskim, wojennym. Sowieckie były pokojowe”*.

Pacyfista zachodnioeuropejski, amerykański, japoński, każdy — nie wiedział, że doktryna wojskowa Krajów Demokracji Ludowej, czyli Układu Warszawskiego, była zawsze planem militarnego zdobycia Zachodu (Polakom przydzielono zdobycie i okupację Danii); termin agresji musiano jednak stale przesuwac wskutek obronnych zbrojeń NATO. Dlatego wywiad sowiecki tak ciężko pracował gardłami i transparentami pacyfistów nad minimalizacją owych zachodnich zbrojeń, prowadzonych według mądrej łacińskiej maksymy: *„Si vis pacem — para bellum”* (jeśli chcesz pokoju — gotuj się do wojny). Tym pacyfistom, którzy wciąż nie oprzytomnieli (czyli tym, którym się wydaje, że to ich harówce świat zawdzięcza przeżycie XX wieku bez globalnej nuklearnej katastrofy), można popukać w

czoła. Ich robota, miast zażegnywać, prowadziła do atomowego konfliktu, i tylko zdecydowane zwycięstwo Zachodu w *„wysścigu zbrojeń”*, tudzież na froncie gospodarczym, uniemożliwiło Kremlowi atak, który być może skasowałby planetę.

Polityczny grzech główny XX-wiecznych pacyfistów (uleganie sowieckiej infiltracji-stymulacji) był chyba mniej ważny aniżeli ich psychologiczny grzech główny — mentalne negowanie faktu, że światem będzie rządzić barbarzyńska siła, gdy zezwoli się i gdy ułatwi się jej to. Nierozumienie, że taki jest w grze międzynarodowej priorytet od samych początków cywilizacji, kiedy kształtowały się pierwsze wyobrażenia na temat Boga, hierarchii i władz, na temat ulegania słabego silnemu, ociężałego zwinnemu, głupiego mądrymu, prostodusznego przebiegłemu — od pierwszej walki dwóch ludzi o żer, samicę i legowisko. Jeden z bohaterów mojej powieści *„Statek”* (1994) daje następującą charakterystykę pacyfistycznej jaźni: *„Pacyfiści zawsze byli bandą matołów zmatolonych przez prymitywną lewicową propagandę. Nie rozumieją, że słaby nigdy nie obroni się przed silnym, że tylko muskuły chronią kulturę przed barbarzyńcą. Nie można im wpoić najprostszej z prawd, że pacyfizm jest zwykłym podżeganiem do wojny lub do uznania niewoli (...) Czasami winno się demonstrować, choćby na rzecz przywrócenia dobrych manier, bo one są wartością kulturową, która wszędzie jest w zaniku. Ale nie dla rozbrojenia, gdy światu wciąż grożą Husajny i podobne im rzezimieszki (...) Pacyfista, widząc, że takich jak on wielbiciele jednostronnego rozbrojenia jest dużo, zostaje raz na zawsze upewniony, że się nie pomylił. Odtąd jest zdolny do każdego gwałtu na swoim rozumie i do zaparcia się zdrowego rozsądku w jego najmniejszych rozmiarach”*.

Masowe zapieranie się zdrowego rozsądku przez inspirowanych sowiecką agenturą pacyfistów — wyprodukowało jedną z

najniebezpieczniejszych (a najszczytniej brzmiących) chorób XX stulecia. Ułatwiła to liberalna naiwność demokracji, która nie jest bezbłędnym systemem.

5. KŁAMSTWO POLITYKI 3 – KŁAMSTWO DEMOKRACJI

XX wiek mianował demokrację królową systemów politycznych (ustrojowych), chociaż gołym okiem widać, że nie jest ona królową zdroworozsądkowej lub etycznej piękności. I tylko pozornie „*cuda z urnami*”, czyli nieśmiertelne, wszechobecne wyborcze fałszerstwa, to główne kłamstwa systemu demokratycznego. On cały jest kłamstwem. Ładnie tę rzecz wyraził A.D. 1995 biskup Fuldy, J. Dyba: „*W demokracji panuje większość, w Kościele prawda. Biskup nie musi być ponownie wybierany, dlatego może mówić prawdę*”. Święte słowa. Na ulicy, na której mieszkałoby trzech biskupów i czterech sutenerów — demokracja oddałaby władzę sutenerom.

Starożytni Grecy wymyślili demokrację jako ustrój kontramonarchiczny, sprawiedliwszy od rządów arystokracji przybierających tak chętnie formę ustroju tyrańskiego. Lecz piękna teoria i późniejsza praktyka rozminęły się zupełnie. Pod rządami wszelakich władz republikańskich miała do dzisiaj miejsce większa (większa dzięki superrekordowym osiągnięciom stulecia XX) liczba zbrodni przeciwko życiu i prawu niż pod rządami wszystkich monarchów od czasu wynalezienia demokracji.

Amatorska tylko znajomość dziejów wskazuje, że demokracji bardzo daleko do ideału. Chrystus został demokratycznie, głosowaniem ludu („*vox populi*”) skazany na śmierć męczeńską. Sokrates także na wypicie trucizny. Rekordowych ludobójców wybrano (Hitler) lub wybierano (Stalin) całkowicie demokratycznie, a później długo ogólnospołecznie wspierano. Podobnie

Mussoliniego i innych. J. C. Guillebaud (komentujący tezy S. Trigana): *„Holocaustu dopuścił się ruch (nazizm) zrodzony — przy całym swym barbarzyństwie — w ramach nowoczesnej demokracji. I stąd pytanie o demokrację”* (1999). Trochę inaczej było z bezkresną areną kaźni sowieckiego Imperium Gułag, lecz przecież miał on (w „demokracji” bardziej azjatyckiej niż nowocześnie europejskiej) szczerą akceptację społeczeństwa „Kraju Rad”. Pół wieku demokracji włoskiej po II Wojnie Światowej to pół wieku rządów mafii sycylijskiej ręka w rękę z establishmentem politycznym Rzymu. I tak dalej, i tym podobnie — przykładów historycznych i aktualnych jest legion. Mnóstwo demokratycznych państw dzisiejszego świata uprawia deliryczną karykaturę podręcznikowej (idealistycznej) demokracji, funkcjonując na bazie złodziejstwa, wyzysku, korupcji, przestępczości i niesprawiedliwości maskowanych parlamentaryzmem.

Demokracja (słowo greckie) znaczy: ludowładztwo („*démos*” — lud, „*krátos*” — siła, władza). Rządy ludu są czystą teorią (rządy ulicy?, ochłokracja?), w istocie więc ludowładztwo sprowadza się do elekcji, gdzie wola mas kreuje okresowo władzę przedstawicielską za pomocą większej liczby (większości) głosów. To tworzące fundament systemu demokratycznego prawo wielkiej liczby, która ustanawia władzę, od dawna budziło wątpliwość (a już zwłaszcza od czasu, gdy rewolucje Amerykańska i Francuska wprowadziły demokrację nowoczesną). Fundator Banku USA, wybitny konserwatysta, A. Hamilton, kpił z demokratycznego „majestatu wielkich cyfr”, dowodząc, iż trudno o system „*bardziej fałszywy niż warunkowanie kalkulacji politycznych regułami kalkulacji arytmetycznej*”. Bohaterowie moich powieści „*Statek*” i „*Cena*” werbalizowali swój antydemokratyzm dosadniej: „*Jedźmy gówna, przecież miliony much nie mogą się mylić!*”.

Miliony głosujących myślą się wszakże bardzo często, i bywa, że straszliwie płacą za błędny wybór (exemplum naród niemiecki, który wybrał swastykę). Inaczej mówiąc: demokracja ma m.in. to do siebie, że daje ludziom możliwość głosowania wbrew własnemu interesowi, a wyborcy nie raz z tej okazji korzystają. Jak mówił wielki „ojciec założyciel” Stanów Zjednoczonych, J. Adams: „*Twierdzenie, że lud jest najlepszym strażnikiem swych praw, to bzdura niczym nie usprawiedliwiona. Jest on najgorszym, wręcz żadnym ich strażnikiem*”.

Dlaczego tak się dzieje — dlaczego tłumy potrafią przypominać lemingi gromadnie maszerujące ku swej krzywdzie? Według potocznej diagnozy kontrrepublikanów — skutek zjawiska antynomicznego. Diagnoza owa mówi, że chociaż ustrój demokratyczny składa się z wielu grzechów, wszelako jego „*maxima culpa*” to sprzeczność między dwoma zasadami demokracji rozreklamowanymi przez obywatela Rousseau i przez jakobinów — zasadami tymi są czynne prawo wyborcze dla pełnoletniego i nieomyślność większości. Ponieważ większość każdego społeczeństwa tworzą całkowite przygłupy, nie mające dosłownie o niczym pojęcia — ich czynne prawo wyborcze parodiuje rzekomą nieomyślność werdyktu elekcyjnego, budując jej przeciwieństwo, zbrodniczość lub komiczność.

To fakt, że w każdym plemienu znajdziemy dużo więcej głupich niż mądrych (podobnie jak jest prawdą, że kobiety notorycznie wybierają przystojniejszego miast przyzwoitszego i przytomniejszego), lecz główną słabością tłumy „elektorów” wydaje mi się nie tyle zbiorowa głupota (tępota), ile cecha jej pokrewna — zbiorowa łatwowierność (naiwność) ludzi. Zresztą chorują na tę przypadłość (masowo!) również inteligentni ludzie. Oto czemu demokracja stanowi wymarzoną estradę dla

kłamców, zwłaszcza charyzmatycznych. Vulgo: dla uwodzicieli. Widać tu jawną analogię między demokracją a zawodowym podrywaniem dam — demokracja to technika uwodzenia. Biegli gracze w demokrację rozszyfrowali sekret owych facetów, którzy gorącą miłość zdobywają kiedy chcą — sztuka polega na tym, by kobieta kupiła cię takiego, jakiego udajesz. Społeczeństwa przypominają kobietę, lubią czarujących udawaczy. Choć prawie każdy wyborca ma świadomość, że politycy to gang dziesięciokaratowych skurwysynów — tłum daje się złowić co parę lat i biegnie do urn głosować na sympatyczną bandę sprzedającą nadzieję. Nadzieja to siła ślepa, bezrozumna i narkotycznie niepoohamowana, niczym libido. Spytajcie hazardzistów.

XVII-wieczny hiszpański myśliciel, jezuita B. Gracian y Morales, pisał: *„Uzależniać ludzi od siebie trzeba nadzieją, a nie wdzięcznością, ta bowiem jest krótkotrwała. Nadzieja ma lepszą pamięć”*. Fakt, ale przecież nadzieję (co prawda różnie opakowaną) sprzedają wszyscy kandydujący — wszyscy pretendenci podlizujący się wyborcom. Tu dochodzimy do sedna. Mówiąc krótko: demokracja daje tron temu, kto potrafi omamić (otumanić) większą niż przeciwnik masę wyborców. Prawdziwy raj dla wyszczekanych pochlebców i obiecywaczy, co umieją skryć przed wzrokiem tłumu własne zepsucie i jednocześnie udać, że nie dostrzegają zepsucia motłochu. Legendarny balkon (*„Dajcie mi kawałek balkonu, a będziemy rządzić!”*) został zastąpiony przez media skuteczniejsze (kawałek mikrofonu, kawałek ekranu), dzięki czemu świat roi się od szubrawców rządzących z łaski urny wyborczej.

Drugą główną (obok łatwowierności) cechą tłumu elekcyjnego jest kapryśność vel manieryczność. Masa elekcyjna zawsze

była *„mobile”* (zmienna) jak *„donna”*. Ta sama gawiedź w ciągu jednego dnia oklaskuje mowę Brutusa i mowę Antoniusza, którzy walczą ze sobą słowami na śmierć. Ten sam motłoch w ciągu tygodnia okrzykuje Jezusa królem żydowskim i ryczy, by Jezusa ukrzyżować — oto najcelniejszy symbol *„communis opinio”* (opinii publicznej) czyli fundamentu demokracji! Cesarz Bonaparte, świetny psycholog, pytany w dniu koronacyjnym czemu nie cieszą go wiaty ludu Paryża, mruknął: *„Ci sami ludzie będą wiatować, kiedy pojedę na szafot. Tłum jest zawsze taki sam”*. Zawsze taki sam, znaczy: zawsze niczym chorągiewka na dachu. Współczesne częste *„wyborcze wahadła”* są efektem tej kapryśności, efektem mądrym lub dumnym na przemian, co łącznie daje loterię jako platformę budowania polityczno-społecznego ładu. Ale wbrew pozorom właśnie ta loteryjność, ta zmienność, jest (z braku czegoś lepszego) najbardziej pozytywną cechą demokracji, umożliwia bowiem korektę złego porządku, dymisję władzy wrednej. To dlatego W. Churchill kpił, że *„demokracja jest ustrojem najgorszym, ale wszystkie pozostałe są jeszcze gorsze”*. Powiedział tak mąż stanu, któremu rodacy (angielscy wyborcy) odebrali władzę bezpośrednio po uratowaniu przezeń Anglii, czyli po wygraniu przez Churchilla najcięższej wojny jaką Albion prowadził kiedykolwiek.

Resumując: system demokratyczny mógł zatriumfować dopiero w XX wieku, kiedy wdrożyło go dużo państw. Jednocześnie planeta bardziej niż kiedykolwiek skąpała się w gwałcie i bezprawiu, w hańbie i żenadzie, we krwi i niesprawiedliwości. Olimpijski triumf demokracji nie przyniósł więc ludziom ani pokoju, ani wzrostu prawości, godności, bezpieczeństwa itp. — przyniósł rekordowy horror. W tym się zawiera kłamstwo *„najlepszego z ustrojów”*. Notabene ustroju akceptowanego

przez demokratyczny świat socliberałów tylko tam, gdzie obierani są „nasi”, co wykazał początek roku 2000. Jak się gdzieś wybiera nie „naszych” (casus J. Haidera w Austrii) — to czołowe demokracje globu pienia się, głośno protestują i ciężko grożą społeczeństwom (elektoratom) zbyt słabo „poprawnym politycznie”.

I jeszcze jedno: koniec XX wieku otworzył wielką bramę triumfalną wszechstronnej (zwłaszcza ekonomicznej oraz informatycznej) globalizacji. Ma ona rosnać jak na drożdżach. Uprzejmie przypominam zainteresowanym, że globalizacja częściowo lub całościowo pozbawia władzy instancje obieralne (demokratyczne) na rzecz instancji niewybieralnych (państwotowe koncerny, spółki, lobby, megasieci itd.), co w przyszłości może uczynić demokrację lokajem, jeśli nie trupem.

6. KŁAMSTWO POLITYKI 4 – KŁAMSTWO EKONOMII

Arystoteles terminem „*ekonomia*” zwał prawa rządzące gospodarką domową. Termin „*ekonomia polityczna*” robił karierę od drugiej dekady XVII wieku, by z końcem wieku XIX zacząć ustępować terminowi „*ekonomika*” („*economics*”). Bez względu na termin — chodzi o naukę badającą procesy gospodarcze.

Mało kto wie, że u kresu drugiego tysiąclecia nowożytnej ery funkcjonują we świecie absolutnie wszystkie rodzaje produkcji gospodarczej, prymitywnych nie wyłączając: gospodarka naturalna, niewolnictwo (zwłaszcza w Afryce), feudalizm, kapitalizm i komunizm (socjalizm). Stulecie XX było epoką dramatycznej wojny między parą tytanów: między bazującą na wskazaniach XVIII-wiecznych (A. Smith i in.) tudzież XIX-wiecznych (D. Ricardo i in.) gospodarką kapitalistyczną (z wolnym rynkiem jako mechanizmem głównym) a bazującą na tezach K. Marksa gospodarką komunistyczną (z centralnym sterowaniem jako priorytetem). Po siedemdziesięciu latach walki ekonomiczny komunizm musiał uznać swą klęskę (gdyż splajtował), ale nie wszędzie uznał — wciąż jeszcze ma kilka peryferyjnych bastionów (Kuba, Korea Płn. itp.), z którymi wkroczy w trzecie tysiąclecie, głodząc obdartych pechowców zamieszkujących te totalitarne reduty.

Bezważliwość (czasami wręcz barbarzyńskość) kapitalizmu XIX-wiecznego, napędzanego m.in. straszliwą pauperyzacją „*klasy robotniczej*”, wprost domagała się sanacji bądź alternatywy. Alternatywę stworzył niemiecki Żyd (notabene zajadły

antysemity!), K. Marks, publikując dzieło pt. „**Kapitał**” (1867), napisane dla ulżenia robotnikom (notabene Marks nigdy w życiu nie widział fabryki od wewnątrz!) i dla ukształtowania gospodarczej platformy-trampoliny komunizmu. Antykapitalizm był „*idee fixe*” tego sprytnego myśliciela, gromko piętnującego „*wrodzoną szacherkę Żydów*”, a równocześnie szacherką produkującego „**Kapitał**” (mnóstwo fałszowanych cytatów tudzież nie ujętych cytatach „*zapóżyceń*” od innych autorów) i szacherką promującego „**Kapitał**” (Marks sam, pod różnymi pseudonimami, publikował liczne recenzje swego dzieła, mocno tym książkę popularyzując). Gdy w drugiej dekadzie XX wieku grupa tajnie finansowanych przez Niemcy i mających dużo szczęścia zbirów (bolszewików) obaliła carat, a później wlepiła Rosji nakazowo-rozdzielczą „*gospodarkę marksistowską*” — zaczęło się największe szalbierstwo ekonomiczne wszechczasów. Gdy wskutek klęski Hitlera sowiecka Rosja opanowała duże tereny Europy, a kierowany i dogmatyzowany przez nią „*rewolucyjny ruch narodowowyzwoleńczy*” zniewolił prawie całą Azję i sporo afrykańskich tudzież latynoamerykańskich krajów — gospodarcze megalgarstwo rozpoczęło drugą (globalną) fazę śmiertelnego boju przeciw kapitalizmowi.

W tej walce z czujnie się reformującym (humanizującym i usprawniającym) kapitalizmem twardegłowy komunizm nie miał żadnych szans, więc kiedy dzisiaj patrzymy wstecz — budzi bezbrzeżne zdziwienie fakt, iż walka trwała tak długo. Teoretycy i praktycy XX-wiecznej gospodarki komunistycznej popełnili ten sam źródłowy błąd, który wcześniej popełnił ich belfer, Marks. Wzorem J.-J. Rousseau — Marks uznał, że człowiek z natury jest dobry (rozsądny, prostoduszny i cnotliwy), zatem wydajność pracy wzrośnie, gdy robotnicy będą

produkować dla samych siebie w fabrykach stanowiących wspólną, ogólnospołeczną własność. Tymczasem praktyka komunizmu wykazała, że gdy coś należy do wszystkich, to nie należy do nikogo prócz represyjnej władzy centralnej, zaś człowiek nie pracujący autentycznie dla siebie, lecz z przymusu — pracuje najgorzej jak tylko można. By realizować swoje wielkie cele inwestycyjne (często głupie, niszczące środowisko i przynoszące same straty) komunizm zmuszał miliony ludzi do pracy quasi-niewolniczej lub stricte niewolniczej (Biełomorkanał i in.), a by nie runąć — notorycznie wyłudzał pomoc od śmiertelnego wroga, od „*zachodnich imperialistów*”. Symbolem tej klęski można uznać fakt, iż przedrewolucyjna (kapitalistyczna) Rosja eksportowała znaczne nadwyżki zboża, gdy Rosja sowiecka bez wyżebranego (wielokrotnie) darmowego importu zboża umarłaby z głodu.

Stopa życiowa ludności krajów komunistycznych była rażąco niższa od stopy życiowej obywateli świata kapitalistycznego, więc kto tylko mógł, ten uciekał z „*obozu socjalistycznego*” (vel z „*krajów demokracji ludowej*”) do zachodniej Europy lub do Ameryki. Nędza gospodarcza komunizmu — pełna wytwarzania bubli, okresowego przydzielania kartek na brakujące produkty, łaskawego „*rzucania*” przez władze towarów do sklepów o rytualnie siermiężnym „*asortymencie*”, i ciągłego „*załatwiania*” rzeczy koniecznych (np. toaletowego papieru) przez obywateli nie mogących zwyczajnie tych rzeczy kupić — była jawna dla każdego. Co wcale nie przeszkadzało lizusowskiemu propagandzistom czerwonych reżimów głosić wyższości „*scentralizowanej gospodarki planowej*” nad „*wolnorynkowym kapitalizmem*” (czyli „*wyzyskiem człowieka przez człowieka*”), a czerwonemu aparatowi represji tępić opinie przeciwne (tu symbolem może być

wyrok PRL-owskiego sądu, który w 1950 roku skazał żołnierza na cztery lata więzienia i przepadek mienia za uwagę, że amerykańskie samochody są lepsze od radzieckich).

Dużo lepszy od „socjalistycznego” samochód gospodarki kapitalistycznej nie jest wszakże ideałem, czego dowiódł wielki światowy kryzys ekonomiczny lat 30-ych, a po II Wojnie Światowej m.in. „kryzys naftowy”. Stąd poszukiwania różnych „trzecich dróg” (rozmaite żenienie kapitalizmu z socgospodarką, systemu wolnorynkowego z nakazowo-rozdzielczym, „uspołecznianie wolnego rynku” itp.), charakterystyczne zwłaszcza dla socliberalnej zachodniej Europy w drugiej połowie stulecia, a nie wolne od najobrzydliwszych kłamstw, finansowych mega-„przekrętów” i zupełnych absurdów. Przykład jaskrawy, więc symboliczny: A. D. 1976 (pełny rozkwit parakapitalistycznej socdemokracji Szwedów) szwedzki fiskus obłożył nagrodę literacką dla znanej pisarki, pani Lindgren, podatkiem w wysokości 102% (sic!). Takie samo łupiestwo stosowano wobec reżysera Bergmana, więc najgłośniejszy Szwed czmychnął z ojczyzny i długo nie wracał, bo trudno permanentnie „dokładać do interesu”, jeść też trzeba, i ubrać się, a z czego, gdy państwo kradnie więcej niż obywatel zarobi? Wielu sławnych Wikingów (m.in. tenisista Borg) dało wówczas nogę, wołąc banicję niż kleptokrację — była to ucieczka przed finansową dżumą.

W dzisiejszym sockapitalizmie również nie brak złowrogich „cudów”. Według opiniotwórczego tygodnika „Der Spiegel” „stolica” jednoczącej się Europy, Bruksela, finansowo „jest sceną aferalnego kryminatu” pod tytułem „Marnotrawienie Europy”. Kto ją marnotrawi? Jej nadnarodowa, w pełni demokratyczna administracja. Już XIX-wieczny geniusz, de Tocqueville, ostrzegał

przed „despotyzmem demokratycznym” (zwał go też „tyranią administracji”) — ubezwłasnowolniającym, degradującym i okradającym ludzi nieomal rutynowo. Cytuję dalej „**Spiegla**” (tekst z listopada 1999): „Piętnastka krajów członkowskich jest wydana na łup dziecinnie łatwych oszustw (...) Gigantyczna rozrzutność, błędnie rozdzielane subwencje, fałszywe rachunki, brak kontroli (...) Samowola przy dysponowaniu setkami miliardów (...) Coroczne niszczenie gigantycznych plonów, byle tylko nie spadły ceny — długie kolumny samochodów ciężarowych transportują świeże warzywa i owoce tam, gdzie buldożery spychają ładunek do wykopów lub na stosy palone bądź oblewane ropą. Za cały ten absurd płacą miliony konsumentów (...) Komisarze unijni jawnie się rządzą niczym feudalni książęta, o czym świadczą choćby masa... niedatowanych umów! Badający stos takich afer trybunał nakreślił katastrofalny obraz sytuacji”.

Inne finansowo-gospodarcze absurdy i afery wieku XX to pańświatowe szalbierstwa giełdowych potentatów (m.in. wywołanie kryzysu „tygrysów azjatyckich”); pazerność zintegrowanych banków (m.in. „pranie” niewyobrażalnych kapitałów przestępczych); monstrialne „pułapki zadłużeniowe” krajów biednych pożyczających pieniądze od krajów bogatych; globalizm ekonomiczny narzucany (metodą korumpowania władz państwowych) przez wielkie firmy ponadnarodowe dla zysku własnego; piekielko wojennej gry protekcyjnej („bariery celne”); szczodre dotowanie zachodniego rolnictwa, aby jego produkty mogły kolonizować kraje uboższe, niszcząc tam lokalne rolnictwo; wreszcie (i zwłaszcza) — elektroniczny świat „wirtualnych finansów” (teleobracanie bajońskimi kwotami nie istniejącej fizycznie gotówki). W ostatniej dekadzie XX stulecia światowe finanse zostały całkowicie zdominowane przez transakcje nierzeczywiste (oderwane od realnej gospodarki), czyli

przez gigantyczne „puste pieniądze” alias „wirtualne waluty” spekulantów — przez ekonomię fikcji, będącą tak wielkim kłamstwem, iż kłamstwo gospodarki komunistycznej może się przy nim okazać hucpą drugorzędą. Cała ta zabawa błyskawicznie multiplikuje spekulacyjne fortuny, ale może pęknąć jak bańka mydlana, runąć jak domek z kart, i wówczas na gruzach zbudowanego w XX wieku rynku światowych finansów padnie pytanie: czy warto było tak ufać globalizacji?

Nikt natomiast nie może zadać pytania: czy warto było ufać spekulacji walutowej nakręcającej współczesną ekonomię?, gdyż spekulacja ta jest poza zasięgiem hamulców, zwłaszcza etycznych lub zdroworozsądkowych — niczym pogoda. Kaprysy pogody frustrują i krzywdzą zupełnie bezkarnie. Jeżeli coś jest możliwe, nie da się tego okiełznać — klonowanie ludzi będzie w przyszłości praktyką równie normalną jak stomatologia. I podobnie będzie ze spekulacją finansami, którą XX wiek uczynił królową gospodarki ziemskiego globu.

7. KŁAMSTWO POLITYKI 5 – KŁAMSTWO DEKOLONIZACJI

Jednym z czołowych politycznych przedsięwzięć XX wieku — inicjatywą reformującą świat, bo formalnie korygującą błędy cywilizacji politycznej — była dekolonizacja, czyli zlikwidowanie funkcjonującego kilka stuleci systemu zależności pewnych terytoriów, narodów i kultur od państw europejskich. W XIX wieku Hiszpania i Portugalia utraciły swe kolonie południowo-amerykańskie, lecz dopiero XX wiek przyniósł eksplozję i triumfalistyczny finał dekolonizacji (blisko setka „wyzwolonych” terytoriów). Dekolonizatorom jakoś nie wadziło, że sowiecka Rosja brutalnie kolonizuje liczne państwa środkowo-wschodniej Europy — skupiali się wyłącznie na strefach egzotycznych wulgo „kolorowych”, przede wszystkim na Azji i Afryce. Do roku 1957 zdekolonizowano prawie całą Azję, później zaś całą Afrykę (głównie w latach 60-ych, po antykolonialnej deklaracji ONZ-u).

Błędy procesu dekolonizacyjnego były liczne i czasami bardzo głębokie (choćby tragiczny podział brytyjskich Indii, skutkujący wciąż, czyli po 53 latach, permanentnym konfliktem o Kaszmir, co dzisiaj równa się groźbie wojny atomowej między Indiami a Pakistanem). Wszakże do połowy lat 70-ych nie przeszkadzało to liberalnej, światłej, humanistycznej opinii światowej pysznić się dekolonizacją jako koroną przyzwoitości politycznej naszego gatunku. Zwycięski antykolonializm paradował dumny niby paw. Później jednak rzeczywistość zaczęła mu wyrywać pióra. Zwłaszcza rzeczywistość niepodległej Afryki.

Murzyńską Afrykę podzielono na wolne państwa w sposób surrealistyczny tout court, lekceważąc fakt, że u Murzynów granice państwowe są abstrakcją, czymś zupełnie niezrozumiałym i niepotrzebnym, wręcz wrogim, a liczą się tylko związki trybalne (plemienne, szczepowe, klanowe). Stany amerykańskie można było wykreślać na mapie przy linijce, bo dzielono ledwo zamieszkane terytoria jednego plemienia (białych imigrantów), ale ta sama robota na mapie „Czarnego Lądu” miała charakter szyderstw pijanego geometry i wznieciła kataklizmy w postaci rzezi międzyplemiennych, które trwają do dzisiaj, z każdym rokiem tucząc się liczbowo (vide ostatnie hekatombry ruandyjskie i zairskie). Drugą katastrofą okazała się administracyjna i cywilizacyjna niedyspozycja afrykańskich tubylców.

Cel dekolonizacji był prosty i szlachetny — uszczęśliwić autochtonów w Azji i w Afryce. Kilka pokoleń mieszkańców Azji zostało nią zdziesiątkowanych i unieszczęśliwionych — exemplum Birma, Kambodża, Wietnam Północny czy Północna Korea, gdzie wskutek lewicowego „odzyskania niepodległości” padły miliony trupów (tylko w Kambodży 2,5 miliona przez jeden rok!), a ogromne rzesze wciąż konają z głodu. W Afryce prawie cała czarna ludność doznała regresu, i to pod absolutnie każdym względem. Rządy „kolonialistów” dawały ład, bezpieczeństwo, edukację, technikę, opiekę medyczną i sytość żołądka. Rządy rodzimych przywódców i prominentów (bez znaczenia czy lewicowych jak Kaunda lub Nyerere, czy prawicowych jak Mobutu lub „cesarz” Bocassa), nierzadko dosłownych bestii ludzkich (vide kanibal Bocassa, zwyrodnialec Amin i in.) — polegały na dewastowaniu państw, ergo: na pauperyzowaniu czarnych społeczeństw. Pisałem o tym już w 1987 roku:

„I stała się rzecz najstraszniejsza: białe rządy kolonialne zaczęły się jawić utraconym rajem wobec rządów czarnej elity. Paradującej w mercedesach i szynszylach wśród głodującego ludu. Tyranizującej plebs krwawym terrorem. Wznoszącej sobie pałace. Rozkradającej pomoc międzynarodową. Sprowadzającej wyzwolone państwa do epoki łupanego kamienia (...) Jakże złośliwa jest historia, która daje większą krzywdę z ręki swojego! Czymże jest rasizm kolorów skóry przy rasizmie egoistycznego nuworysza wobec głodnych braci?”.

Zwłaszcza wobec mas głodnych dzieci. Ile razy zamykaliście wzrok, gdy telewizja pokazywała żywe szkielety głodujących Murzyniątek? Ogromne sumy wpompowywane w Afrykę przez Zachód dla ratowania głodomorów i tworzenia tam systemów choćby znośnie funkcjonujących — nie dały absolutnie nic. To właśnie skutek kłamstwa dekolonizacji, ladies and gentlemen.

Notabene: dekolonizacja stała się blaskmiotnym ołtarzem, przy którym „socjalizm” Wschodu i „liberalizm” Zachodu wzięły ślub. Już jako narzeczem sprzedawali upiorny wizerunek okajdanionego Murzynka Bambo, którego biały nadzorca chłoscze pejczem po nagich plecach zgiętych przy nieludzkiej robocie. Później Murzynek Bambo się wyzwolił — przegnał białych nadzorców i cała Afryka (nie licząc RPA) stała się wolna. Odtąd Murzynek Bambo mógł już tylko płakać, krwawić, zdychać z głodu lub od zarazy i — jeśli miał trochę szczęścia — uciekać do kraju, w którym panował wstrętny (kolonialny) apartheid. Z całej czarnej Afryki Murzyni zwiewali do RPA, gdzie ich los był tysiąc razy lepszy niż w wyzwolonych i natychmiast po wyzwoleniu rujnowanych ojczyznach. W „rasistowskiej RPA” odzyskiwali siły i zdrowie, po czym z wrodzoną sobie inteligencją przyłączali się do niszczenia („odkolonizowywania”) RPA,

aby już do nikąd nie można było na tym kontynencie uciec.

Wskazywanie przez co odważniejszych publicystów, że dekolonizacja skrzywdziła Afrykę, zaczęło się w drugiej połowie lat 70-ych. A.D. 1979 Francuzi Dumont i Mottin wydali pracę pt. *„Zdławiona Afryka”*. Dumont: *„20 lat po uzyskaniu niepodległości kraje Afryki są bankrutami i żebrakami”*. Mottin: *„Wszystko to jest niewiarygodnym koszmarem. Ślepotą i brak elementarnego rozsądku”*. Mottin zarzucił owe cechy Murzynom, ale gdyby zarzucił je białym dekolonizatorom — też miałyby rację. Tak jak miał ją P. Doublet, który postdekolonizacyjną katastrofę Afryki zdiagnozował na łamach *„L’Express”*: *„Objawy: systematyczna degrengolada, rozkład podobny do skutków działania rdzy lub kolonii termitów — coś na kształt zupełnego bezwładu, który wynaturza całe społeczeństwo”* (1984). Podobnie pisały gazety całego świata:

„Los Angeles Times”: *„Kolonialna Gwinea Równikowa była perłą tej części Afryki, kwitnącym zakątkiem. Dzisiaj jest «izbą okropności», całkowitym bankrutem, moralnym i gospodarczym (...) W Ghanie Anglicy zostawili bogatą strukturę materialną i społeczną, nader sprawną kadrę urzędniczą i 481 milionów dolarów rezerwy walutowej, co zdawało się gwarantować świetlaną przyszłość niepodległemu państwu. Tymczasem wszystkie te atuty zostały błyskawicznie roztrwonione, czyniąc obdartusa z dawnego eleganta”* (1977).

„Jeune Afrique”: *„Najbardziej rozpowszechniony w niepodległej Afryce system polityczny to ślepa tyrania (...) Uzyskując niepodległość Gwinea była bogatym krajem — Hiszpanie zostawili tu spadek pokazy. Wszystko to zaprzepaszczone”* (1979).

„Die Weltwoche”: *„25 lat po odzyskaniu niepodległości Ghana — wcześniej kraj cennych surowców, bujnego rolnictwa i świetnych szans dalszego rozwoju — przedstawia widok chaosu, korupcji i rezy-*

gnacji (...) Bogata przed dekolonizacją Uganda chyli się teraz ku klęsce (...) Tanzania runęła wskutek przymusowej kolektywizacji, marnując rekordową pomoc Zachodu. Budowano «wspólną własność» — zbudowano wspólną nędzę” (1982, 1977, 1980).

„Paris Match”: *„Kenia, niegdyś spichlerz Afryki Wschodniej, musi importować żywność (...) Kolonialna Zambia była bogata jako czołowy producent miedzi; dzisiaj w nieudolności gospodarowania byłaby mistrzem Afryki, gdyby nie finansowany szaleńczo przez międzynarodowe banki Zair — absolutnie poza konkurencją”* (1980, 1981).

„New Statesman”: *„Dzięki długiemu kolonialnemu panowaniu Francji Madagaskar był tropikalnym rajem i wielkim eksporterem wysokogatunkowego ryżu. Dzisiaj jest bankrutem importującym ryż pastewny”* (1983).

Później takie relacje spowszedniały, rzeczywistość „wyzwolonej” Afryki ewoluowała bowiem konsekwentnie (czyli nudnie) tylko w jednym kierunku — do dołu. *„Afryka umiera”* — powiedział Kodjo, minister spraw zagranicznych Togo. Czemu umiera — sprecyzował w kwietniu 1993 roku P. Johnson, nonkonformistyczny gwiazdor zachodniej historiografii i historiozofii. Przełamując znowu milczenie wymuszana „antyrasistowskim” terrorem „political correctness” — Johnson napisał, że Murzyni zupełnie nie nadają się do tego, by sprawować rządy, więc kiedy rządzą, uprawiają rodzaj autoholocaustu, dzięki czemu prawie wszystkie kraje afrykańskie są śmietniskiem, gnojowiskiem, twierdzą masowego głodu, rzeźnią, umieralnią i kompletną ruiną, bez kultury i bez szans na poprawę sytuacji. To prawda. Większość czarnych Afrykanów głoduje, jedna trzecia (lub może połowa) choruje na AIDS, co drugi chce uciec do krajów Zachodu, co setny podejmuje taką próbę drogą niele-

galną. Mimo wszelkich barier Europa jest już dzisiaj mocno nasycona kolorowymi imigrantami z Afryki i Azji (detonuje to ciężkie napięcia społeczne, lokalne zbiorowe wybuchy rasizmu prof.), a w XXI wieku będzie nimi zalana (spowoduje to silne osłabienie łańciskiej cywilizacji i kultury), chyba że szermierze źle pojmowanej „tolerancji”, bezmyślnie realizowanych „praw człowieka” i fałszywie propagowanego „humanitaryzmu” — zostaną wyrzuceni na śmietnik. Tacy bowiem „dobrzy ludzie” za-fundowali Afryce dekolonizacyjne kłamstwo, by dzisiaj ich wnuki mogły czerpać przyjemność z charytatywnych koncertów rockowych organizowanych dla wspomaganie udęczonego „Czarnego Lądu”.

„Rasiści” pokroju Johnsona wskazują jeszcze jeden syndrom, którego nie chcą dostrzegać apostołowie „tolerancji”. Chodzi o tych kolorowych tubylców (Indian, Murzynów prof.), do których „białasy” przyszły z propozycją: wybudujemy tu dla was przemysł i zapewnimy wam takie dochody, że każdy, kto przepracuje dwadzieścia lat, będzie mógł później nic nie robić do końca życia. Tubylcy pokiwali głowami i odparli, że już teraz nic nie robią, z czym jest im bardzo dobrze...

8. KŁAMSTWO POLITYKI 6 – KŁAMSTWO KOMUNIZMU

Pierwotnie chciałem dać temu rozdziałowi tytuł: „Kłamstwo ideologii”, lecz wówczas musiałbym omawiać także tragedię narodowego socjalizmu i tragikomedie faszyzmu, których rządowe kariery (12 lat Hitlera i 21 Mussoliniego) były względnie krótkie wobec panowania komunizmu (72 lata, a przecież w kilku punktach globu komunizm jeszcze funkcjonuje). Wiek XX dał ideologom społeczno-politycznym o zakusach totalitarnych sprzyjające warunki społeczno-polityczne tudzież platformy państwowe do realizowania wszystkich (jawnych i kamuflowanych) celów. W sferze brutalnego odcywilizowywania socjotechniki władzy — despotcja bolszewicka pobiła konkurentów na głowę (mimo hitlerowskiej makabry Holocaustu), tak liczbowo (bilans ofiar), jak i asortymentowo (bogactwo typów kaźni i represji, różnorodność mordowanych nacji) oraz terytorialnie (faszyzm był włoski, nazizm niemiecki, a komunizm globalny). Wygrała zresztą tę dyscyplinę wszechczasowo, żadne bowiem dawniejsze tyranie — żadne Nabokadnezary, Nero ny czy Dżyngis-chany — nie mogą się z nią równać.

Kłamstwo komunizmu znaczy tyle samo, co kłamstwo socjalizmu. Już w wieku XIX używano obu terminów wymiennie, jako synonimów („Manifest komunistyczny” Marksa i Engelsa jest „katechizmem” socjalizmu), która to praktyka trwa i dzisiaj (komuniści bardzo chętnie nazywają się socjalistami), aczkolwiek dialektycy marksistowscy, pedantyczni doktrynerzy „marksistowskiej teorii rozwoju społecznego”, zawsze podkreślali, że

komunizm stanowi „*wyższe stadium ustrojowe socjalizmu*”. Kapitalizm miał być obalony przez socjalizm ewoluujący później ku szczytniejszemu ideałowi (komunizmowi), stąd Związek Sowiecki formalnie mienił się Socjalistycznym, ale kroczącym dziarsko ku Komunistycznemu. Dla klarowności wykładu będę używał tylko terminu na literę k (nomen omen).

Tak jak celem dekolonizacji było uszczęśliwienie ludów egzotycznych, tak celem komunizmu było uszczęśliwienie całej ludzkości — wszystkich ludów świata. Poligonem eksperymentalnym tego procesu stała się bolszewicka Rosja (od 1917), a pierwszymi szefami laboratorium towarzysze Lenin i Stalin. Fundamentami budowanego raju ogłoszono: wolność, równość, sprawiedliwość społeczną, zniesienie kapitalizmu (zastąpienie prywatnej własności ziemskiej lub bankowej, jak również prywatnej własności środków produkcji, „*własnością uspołecznioną*” czyli wspólną; likwidacja „*wyzysku i niesprawiedliwej dystrybucji dóbr*”; etc, etc), wreszcie wprowadzenie wymarzonego przez Marksa „*społeczeństwa bezklasowego*”. Trwająca 3/4 stulecia ogólnoświatowa praktyka komunizmu zaprzeczyła tej świetlanej teorii w sposób najbardziej drastyczny z możliwych, tworząc najobficiej zlane ludzką krwią i łzami kłamstwo polityczne (ideologiczne plus socjotechniczne) wszystkich epok.

Dialektycy marksistowscy notorycznie zwali dzierżoną przez komunistów władzę „*dyktaturą proletariatu*”, gdy była to wyłącznie dyktatura centralnego „*aparatu*” (partyjnego i policyjnego), przybierająca „*w terenie*” fałszywą maskę lokalnej samorządności, ergo: kształt różnych „*sowietów*” (rad) i komitetów, nie mających nic do gadania, całkowicie ubezwłasnowolnionych, muszących (pod groźbą śmierci) ślepo wypełniać dyrektywy „*centrali*”. „*Ludowa demokracja*” (wybory władz) funkcjonowała

tylko połowicznie na wzór „*demokracji kapitalistycznej*” — pierwsza połowa (pierwsza faza elekcji) niczym się nie różniła (wrzucanie głosów do urn), gdy druga różniła się wszystkim (ustalanie wyników bez liczenia głosów). Każdy aspekt funkcjonowania państwa i społeczeństwa opierał się na dualizmie identycznie kłamliwym — na rażącej sprzeczności między teorią a praktyką; sprzeczności, którą można szyderczo zwać rozdziwojeniem dialektycznym. Symbolem tego była konstytucja (konstytucje wszystkich komunistycznych krajów były dosłowną literaturą piękną — pękały od najszczytniejszych hasel i gwarancji praw ludzkich). Artykuł 125 sowieckiej konstytucji z 1936 roku zapewniał każdemu obywatelowi wolność słowa, manifestacji i zgromadzeń. W rzeczywistości każde nieprawomysłne lub nieocenzurowane słowo i każda samowolna aktywność publiczna równały się albo izolacji (odstawa do więzienia, do łagru lub do „*psychuszki*”, czyli do szpitala psychiatrycznego), albo fizycznej eliminacji, czyli eksterminacji „*wrogów ludu*”.

Bolszewizm już na starcie wiedział, że perswazja to strata czasu, i że nie zrealizuje swych celów bez użycia siły. Błyskawicznie więc rozwinął kolosalny (nie mający żadnego tej wielkości odpowiednika w dziejach) aparat represji, i wprowadził wobec całego społeczeństwa monstrualny (również bez historycznego precedensu) terror. Przymusowej kolektywizacji rolnictwa dokonano metodą wymordowania, uwięzienia i deportowania (co z reguły równało się śmierci) ponad 10 milionów chłopów, niszcząc tym całe rolnictwo skutecznie (i jak dotąd bezpowrotnie). Przemysł ożywiano niewolniczym systemem harówki, dekorowanym tytułami „*bohaterów pracy socjalistycznej*” i „*przodowników*”. System wywózek i przesiedleń

całych grup społecznych, plemion i narodów (największa przymusowa „wędrówka ludów”, jaką zna historia), system masowych uwięzień (największy, zwany Gułagiem, zespół obozów koncentracyjnych, jaki zna historia), system zorganizowanego ludobójstwa (największa w historii rzeź społeczeństwa dokonana przez przywódców) — sprawiły, że wszyscy poddani Krem-la stali się rabami śmiertelnego strachu. Od kąpieli nie chroniły ani niewinność, ani nawet wysokie (ministerialne) stanowiska, bo rytualne okresowe „czystki” bezlitośnie selekcjonowały wierchuszkę (w 1933 roku przetrzebiono partię, tak publicznie ową rzeź motywując: „wrogowie klasowi” — 13% usuniętych, „dwulicowcy” — 5%, „degeneraci sprzymierzeni z wrogiem klasowym” — 11%, „niezdyscyplinowani” — 17%, „karierowicze” — 8%, „elementy moralnie skorumpowane” — 18%, „elementy bierne” — 27%, „reszta” — 1%).

Prócz okrutnego i niesłychanie rozgałęzionego aparatu represji, sięgającego mackami wszędzie, również do łóżek (destabilizowanie małżeństw, konfliktowanie rodzin, sterowanie związkami męsko-damskimi) — komunizm na niebywałą skalę rozwinął ultrakłamliwą propagandę (totalna rewizja historii, całkowite fałszowanie rzeczywistości własnej i zagranicznej, etc), reklamując arcykatownię jako ziemski raj i wynajdując przy tym tzw. „nowomowę”, czyli język oficjalnej nieprawdy służącej manipulacjom. W „nowomowie” słowa zyskiwały dowolne, często zupełnie odwrotne znaczenia (np. regularny eufemizm „przejsiowe trudności” oznaczał, że trwa permanentny głęboki kryzys, zło stawało się dobrem lub vice versa, prof.). Nie istniały tu granice wstydu. Z trybuny Konferencji Historyków Marksistów (1929) okrzyczano XIX-wieczny carat „więzieniem ludów”, systemem „niewolnictwa, zbrodni i kolonizacji”, gdy

wokół panowało już największe łagrowe niewolnictwo, jakie widział świat, a „wyzwalanie” (podbijanie) sąsiednich terytoriów zyskiwało coraz większą dynamikę.

Wielki cel komunistów — „światowa rewolucja komunistyczna” vel „wyzwolenie ludów”, czyli zawładnięcie globem, bądź przynajmniej Europą — udał się komunizmowi i nie udał. Udał się o tyle, że wskutek II Wojny Światowej Rosja wszczepiła komunizm Chinom i połknęła dziesięć krajów środkowo-wschodniej Europy (tworząc wasalny „obóz państw socjalistycznych”, „obóz demokracji ludowej”, rządzone przez lokalnych renegatów występujących się Sowietom), a dzięki późniejszej głupocie Zachodu — dywersyjnie skomunizowała imponującą liczbę państw na całym globie (od Kuby i Nikaragui po Mozambik i Laos).

Za sprawą niewydolności gospodarki komunistycznej państwa te wegetowały w permanentnej nędzy i przeżywały regularne „kryzysy społeczno-polityczne”, jednak to skutkowało tylko wymianą garnituru władzy plus rytualną triumfalistyczną „odnową”. Cel każdej „odnowy” stanowiło wmówienie społeczeństwu, iż — jak to ujął węgierski politruk G. Aczel — „Przyszłość, czyli komunizm, do którego dążymy, będzie królestwem bezgranicznej wolności w humanistycznym sensie tego słowa” (1981). Całe pokolenia licznych narodów przesiedziały swoje życia wewnątrz regularnie odnawianej poczekalni komunizmu, słuchając dobrych wróżb dla swych prawnucząt. To wróżbiarstwo komunistów zwali „wychowywaniem ludu”. Nadwiślański politruk M. F. Rakowski: „Warunkiem skutecznego wychowania jest zdolność do wzbudzenia w każdym kolejnym pokoleniu wiary w przyszłość, zaszczepienie przekonania, że będzie ona lepsza niż teraźniejszość” (1986). Antoine de Saint-Exupéry (mój ulubiony pisarz) odpowiedział na ten bełkot już dawno temu: „A jeśli twierdzą, że

poświęcam swoje pokolenie dla szczęścia pokoleń przyszłych, poświęcam ludzi. Nie tych czy innych, ale wszystkich. Zamykam ich po prostu w ich nieszczęściu. Cała reszta to słowa puste jak wiatr”.

Reasumując: XX-wieczny komunizm jest największym ludobójcą świata odkąd świat istnieje (można tylko dyskutować, czy wymordował „prawie 100 milionów”, czy „ponad 100 milionów”). Żadne historyczne źródła nie usprawiedliwiają go — wszystkie wystawiają mu opinię koszmaru, pandemonium, ziemskiego piekła. H. Carrère d’Encausse: *„Jakikolwiek źródło o komunizmie weźmie się do ręki, wszędzie napotyka się na miliony zakatowanych, na niewyobrażalne cierpienia, na ludzkość zdziesiątkowaną”* (1979).

Puenta: świat, który ciągle oprotestowuje neonazizm (zupełnie marginalny, wręcz szczątkowy), a wszechrozkwitający neokomunizm wcale mu nie przeszkadza — jest światem załganym po dziurki w nosie, obrzydliwym jak toczona przez czerwonego żuka kulka gnoju.

9. KŁAMSTWO LEWACTWA

Chilijski przywódca, A. Pinochet Ugarte, który w 1973 obalił w swej ojczyźnie dewastujący ją pod każdym względem komunizm, i uczynił ten kraj kwitnącą gospodarczo enklawą Płd. Ameryki — rzekł 25 lat później: *„Mieliśmy dylemat: albo zwycięży zachodnia, chrześcijańska koncepcja życia, szanująca godność ludzką i fundamentalne wartości cywilizacji, albo zostanie nam narzucony system totalitarno-ateistyczny likwidujący prawa człowieka i wolność”*. Powiedział to będąc więźniem. Brytania haniebnie aresztowała sędziwego (83-letniego) gościa (przyjechał do Londynu na operację chirurgiczną), gdyż rządząca prawie całą Europą lewica nie może mu darować zdekomunizowania Chile.

Dlaczego u mety XX wieku — mimo gospodarczej i społeczno-politycznej kompromitacji reżimów „socjalistycznych”, mimo całej ich nikczemnej przeszłości — lewica rządzi tak licznymi krajami, większą częścią planety Ziemia? Bo demokracja jest napędzana bezmyślnością tłumów. Wielkie rzesze głosujących owiec słuchają się medialnych autorytetów (intelektualistów, ekspertów prof.), ci zaś przez całe mijające stulecie chronicznie (tudzież epidemicznie) chorowali na lewactwo, tocząc z prawdą nieustanny bój — dla jej zamaskowania lub zabicia. *„Lewica zdolna jest popełnić każdą niesprawiedliwość, i zawsze jest gotowa tłumić prawdę w imię swej własnej, wyższej prawdy”* (1988) — stwierdził P. Johnson, analizując dorobek intelektualistów kształtujących XX-wieczną opinię światową. Ich goszystowskie zboczenie plus ich władza nad większością mediów równały

się powszechnemu (mentalnemu i politycznemu) triumfowi lewactwa.

Tak jak komunizm nie został wynaleziony w wieku XIX przez Marksa i Engelsa, gdyż miał już swoje starodawne źródła i precedensy (szyccy karmaci IX wieku, renesansowa utopia Campanelli itp.), a swą nowoczesną kolebkę znalazł w tezach „filozofów” Oświecenia tudzież w rzeziach dokonywanych przez ekstremistów Rewolucji Francuskiej — tak i wojna sławnych mędrków przeciwko prawdzie, chociaż ma brodę sięgającą Antyku, lecz w swej wersji nowoczesnej jest dzieckiem francuskiego Oświecenia. Mimo że barbarzyńska, XVIII-wieczna Rosja Katarzyny II była wówczas najbardziej represyjnym państwem globu, bo prawo i cywilizację pisał w niej knut — czołowi zachodnioeuropejscy humaniści kształtujący wtedy opinię publiczną (Voltaire, Diderot, d’Alembert itd.) konsekwentnie gloryfikowali carycę jako arcykapłankę wolności, sprawiedliwości i humanizmu, mieniąc ją „Słońcem Północy”, wbrew najdrastyczniejszym faktom (chwalili nawet rozbiór Polski, twierdząc bezczelnie, że carat zagarnął Polskę aby ją wyzwolić!). Dokładnie to samo robili przez cały XX wiek czołowi intelektualiści tudzież artyści Zachodu wobec leninizmu, stalinizmu, maoizmu, breżniewizmu, castryzmu albo innych czerwonych satrapii, konsekwentnie nie chcąc oczyścić swych sumień i umysłów z lewactwa.

W „Biesach” Dostojewskiego nihilista Wierchowieniński prorokuje: „Zostaną tylko ci, którzy wyznaczyli się do zagarnięcia władzy! Mądrych zyskamy, a pojedziemy na plecach głupców!”. Bolszewizm błyskawicznie zyskał „mądrych” (zwłaszcza wpływowych intelektualistów Zachodu), więc nie tylko pojechał, lecz wprost pofrunął na karkach tych „głupców”. Kolaborantów

piekła, szubrawców wyzbytych elementarnej uczciwości, nie zawsze trzeba było werbować — werbowali się sami. Lenin określał ich mianem „pożytecznych idiotów”. Rzeczywiście, pożytki płynące z globalnej reklamy sowietyzmu uprawianej przez mandarynów zachodniej sztuki, nauki, literatury, filozofii, pedagogiki, publicystyki etc. — były dla Kremla nieocenione. Lewacka prostytutka koryfeusza Zachodu, podtrzymująca (firmująca) mit „socjalizmu” jako wyzwoliciela i dobroczyńcy ludzkości — nie tylko kreowała opinię tumanionych społeczeństw, lecz miała również istotny wpływ na finansową pomoc, jakiej Zachód udzielał państwom komunistycznym przez trzy czwarte wieku!

Nędza, wszelaka niedola, quasi-niewolnictwo dziesiątków milionów ludzi (najpierw w sowieckiej Rosji, a później w całym „bloku państw socjalistycznych”, od Mongolii po Zimbabwe) — byłyby nie do zakamuflowania przez dziesiątki lat, gdyby nie „reportaże” alias entuzjastyczne „naoczne świadectwa” mnogich „kontrolerów”. Z zapraszania tłumy cudzoziemskich dziennikarzy, myślicieli i twórców sowiecka Rosja uczyniła kunsztowne rzemiosło, starannie reżyserowane i dyrygowane przez bezpieczeństwo. Prezentowano gościom samych sytych, schludnych, szczęśliwych obywateli komunizmu. Oczywiście — nawet najliczniejsze „potiomkinowskie wioski”, najsprytniejsza scenografia granych dla cudzoziemców fars, najlepsze aktorstwo „wesółych ludzi radzieckich” nie mogły zasłonić rzeczywistości, gdy gość miał rozwarty wzrok. Większość lewaków wizytujących ZSSR doskonale znała realia bolszewickiego „raju”. I ogromna większość tej większości — blisko 90% — po powrocie do domu łągała jak z (kremłowskich) nut, zachwalając „imponujące osiągnięcia systemu socjalistycznego”, a także gromko piętnując nie-

licznych krytyków komunistycznego bagna. Całe to przeniewierstwo zachodnich intelektualistów nazywano później „*zdradą klerków*” (sam ów termin powstał już w roku 1927).

Zdrada prawdy, chociaż tak masowa, tak epidemiczna, byłaby reklamowo wąta bez gwiazd parnasowych, bez tuzów o renomie wszechświatowej. Komunizm miał szczęście, nigdy mu bowiem nie brakowało „*pożytecznych idiotów*” wśród wielkich twórców. Ich symbolem w pierwszej połowie stulecia był przesławny brytyjski dramaturg G.B. Shaw (Nobel 1925), a w drugiej połowie przesławny francuski filozof J.-P. Sartre (Nobel 1964). Shaw, który wizytował Sowiety wówczas, kiedy klęska głodu spowodowała tam śmierć 7 milionów ludzi (1932/1933; na Ukrainie komuniści celowo zagłodzili kilka milionów, rekwirując całą żywność i zamykając tę prowincję szczelnym kordonem) — wróciwszy wyśmiał informacje o tragedii: „*Nie widziałem żadnych głodomorów. Może ich wypchano watą dla poprawienia tuszy?*” (zdobywca Nagrody Pulitzera, moskiewski korespondent „*New York Timesa*”, W. Duranty, wtórując łgarstwom Shawa przezwie doniesienia o ludobójczym głodzie w sowieckiej Rosji „*złośliwą propagandą*”). Sartre wizytował ZSSR w roku 1954, a gdy wrócił, dopadli go dziennikarze. Uwagę, iż obywatelom „*Kraju Rad*” nie wolno wyjeżdżać za granicę, skwitował słowami: „*Bzdura! Nie wyjeżdżają, bo nie chcą, preferują siedzenie w domu*”. Uwagę, iż cenzura tłumi tam całkowicie wolność słowa, nazwał idiotyzmem, perswadując: „*Tam jest większa swoboda krytyki niż we Francji!*”. I tak dalej.

Nawet oficjalne zdemaskowanie stalinizmu (referat Chruszczowa) nie odkomunizuje Sartre’a, wymieni mu tylko jedną czerwoną flagę na drugą — na maoizm. Inni chwycą się trockizmu bądź różnych „*liberalnych*” lub anarchistycznych odmian

marksizmu, zachowując wszakże główne kanony starej wiary (jak udawanie całkowitej nieświadomości o komunistycznych procesach, torturach, łagrach, ludobójstwach), główne chwytły „*nowomowy*” (takie jak twierdzenie, że faszyzm = nazizm = prawica, co ma sens twierdzenia: kura = kaczką = ssak; notabene nazizm i faszyzm zostały założone przez socjalistów) oraz główne przyzwyczajenia propagandowe. Lewaccy „*klerkowie*” Zachodu wciąż tumaniają Zachód tą samą czerwoną magią — niedawno prof. D. Goldfrank wykładał w waszyngtońskim Instytucie Kennana, że Rosja nigdy nie uprawiała imperializmu (sic!), a „*eksperci*” pracujący dla rozgłośni BBC ogłosili Marksa „*myślicielem tysiąclecia*”!

Szczególny wpływ na kształtowanie opinii światowej, czyli na tumanianie społeczeństw XX wieku, miało zrazu intelektualne lewactwo brytyjskie (pokłosie marksisty Shawa, owocujące m. in. tym, że w połowie stulecia brytyjski wywiad i kontrwywiad roily się od sowieckich, piastujących wysokie stanowiska „*kretów*” — vide głośna „*piątka z Cambridge*”); później lewactwo francuskie (krąg Sartre’a, Aragona, Triolet i in.); potem niemieckie i włoskie (silne grupy goszystowskich terrorystów długo destabilizujących te państwa); wreszcie lewactwo amerykańskie (wykładowcy i absolwenci głęboko zlewicowanych uniwersytetów i „*college’ów*” — pisarze, dziennikarze etc). Ten ogólnoświatowy klimat produkował reżimom komunistycznym armie sługusów — od szpiegów i demonstrujących studentów-„*pacyfistów*”, po uczonych (wykradających dla ZSSR tajemnice naukowe) i artystów (propagujących pędzlami i dłutami zbrodnicze kłamstwo).

Wielkie uczelnie Ameryki i Europy — kuźnie zachodniego lewactwa — stały się kolebkami głównych ludobójstw drugiej

połowy wieku XX (chińska „rewolucja kulturalna”, kambodżańska „reforma” Pol Pota, rzezie afrykańskie). Pol Pot, kat prawie 3 milionów ludzi, to absolwent zmarksizowanej Sorbony. Afrykańscy oprawcy czarnych narodów to wychowankowie Harvardu, Oxfordu i Cambridge. Wszystkie lewicowe systemy „inżynierii społecznej”, które masakrowały ludzkość stulecia XX — narodziły się w głowach intelektualistów zaczadzonych już podczas studiów jakobinizmem i dialektyką Hegla-Marksa-Engelsa-Lenina, później zaś gromadnie stających się lokajami Moskwy gęgającymi przeciw własnym cywilizacyjnym tradycjom, własnym ojczyznom i narodom. Saint-Exupéry tak ocenił tych zdrajców: „Jeśli pozwolisz, by robactwo się rozmnożyło — rodzą się prawa robactwa. I rodzą się piewcy, którzy będą je wystawiać”.

10. KŁAMSTWO LIBERTYNIZMU 1 — EROTYZM

Recenzując wiek XX (u schyłku roku 1999) — naczelny redaktor „*Le Nouvel Observateur*”, J. Daniel, starał się wyszukiwać aspekty pozytywne (od naukowych do literackich), zauważając wszakże w końcu, iż nie sposób przy tym ominąć pola minowego, jakim jest „*sprzeczność między postępem naukowym a regresem etycznym*”. Cytat ten zdradza, że wszechstronny upadek moralności w XX wieku wlepił już gęsią skórę nawet liberalnym intelektualistom. Jest on produktem ich kuzynów mentalno-duchowych — tych samych lewackich krętaczy, których wcześniej piętnowałem jako propagandowych szkodników w służbie kremlowskiej. W sferze obyczajowej pełnią rolę diabła jako libertyni. Zajrzyjmy do słownika: „*Libertynizm — ruch skierowany przeciwko autorytatywności religii, ascetycznemu ideałowi życia i tradycyjnej obyczajowości (...), potocznie — praktykowanie i głoszenie niemoralności i bezbożności*” („*Nowa Encyklopedia Powszechna PWN*” 1995).

Starodawni Żydzi rozumieli, że etyka to opoka, a opoce nie wolno być słabą, chwiejną, dwuznaczną. Dlatego wykuwali przykazania w kamieniu, żeby moralność została niewzruszona. Tak samo czyniły inne ludy, powierzając słowa nakazów i zakazów nie pergaminowi lub glinianym tablicom, lecz płytom brązu i marmuru, żeby obyczajność zyskała wieczny wymiar. Miało to głęboki sens. Gdyż moralność winna być absolutem.

W przeciwnym razie jest niczym. I właśnie u schyłku drugiego tysiąclecia po Chrystusie — staje się ona niczym. Wieki cierplivej roboty diabelskich korników przyniosły ludzkości w darze najpokuśliwszy (bo zakazany) i najniebezpieczniejszy (bo zatruty) owoc: próchno dekalogowych praw. Vulgo: bezgrzeszność. Balujemy na ruinach wszelkich zakazów.

To gruzowisko ma (wbrew pozorom) nie tak długą historię. Mury dekalogowych norm przyzwoitego życia rysowały się już od dawna (exemplum hedonistyczne Rokoko), lecz dopiero w Oświeceniu pełny leseferyzm (po polsku: „*Róbita co chceta i z. kim chceta!*”) otrzymał pierwszą nowoczesną podbudowę teoretyczną (filozoficzną). Ateista Voltaire kpił: „*Człowiek wolny idzie do nieba taką drogą, jaka mu się podoba*”, nie bacząc, że ta dewiza może być herbem wszelkiej zbrodni i perwersji, nawet kanibalizmu. Ferajna Adolfa maszerowała do piekła drogą wysyłania milionów ludzi do nieba przez komin, bo tak się ferajnie podobało. Dzisiaj zaś miliardy ludzi, nie bez pomocy kilku przemysłów (farmaceutycznego, filmowego, mechanicznego itd.) uprawiają najdziwsze zbroczenia, bo arcytolerancjoniści XX wieku (lewicowi pyskacze deprawujący opinię publiczną, anarcho-liberalni szermierze „*społeczeństwa otwartego*”, neomarksistowskie filozofowie tzw. „*szkoły frankfurckiej*” zwalczający „*mieszczańską moralność*”, neognostycy, hippisi, sataniści, pederaci, „*new-age’owcy*”, feministki etc, etc.) zakończyli zwycięstwem walkę o obalenie wszelkiej moralności. Totalitaryzmy też wniosły swój wkład — komunizm propagował niejedną hańbę jako cnotę (np. donosicielstwo), zaś liberalizm (zwłaszcza socjoliberalizm) znosił etyczne bariery w ramach „*otwierania społeczeństwa*” ku materializmowi, konsumpcjonizmowi i hedonizmowi bez umiaru (hedonizm to rozkosz i unikanie trudów

jako jedyny cel życia), co zaowocowało m.in. nieprzeliczonym ludobójstwem aborcyjnym.

XIX-wieczna, dekalogopodobna „*mieszczańska moralność*”, przy wszystkich swoich maseczkach i sekretnych furtkach dla niepohamowanych lub incydentalnych grzeszników — była ogólnie szanowanym zbiorem kanonów prawego życia, podporządkowanych głównej zasadzie, mówiącej, iż „ *pewnych rzeczy się nie robi*”. Nie kłamie się, nie kradnie, nie uprawia (zwłaszcza publicznie) rozwiązłości, nie bierze łapówek, szanuje się starszych etc. Szwajcarski filozof D. de Rougemont już w 1942 roku zżymał się na coraz intensywniejsze szkalowanie i unicestwianie „*mieszczańskiej moralności*”, mówiąc: „*Stuszną pogardę winna budzić nie ona, lecz zabiegi jej wrogów*”, i wskazując seks jako główny instrument wykorzystywany przez diabła („*Seks dostarcza diabłu najczęstszych okazji, aby wpajać człowiekowi nadużywanie wolności*”). Czy kiedykolwiek diabeł postępował inaczej? Nigdy, jednakże wobec rozpusty wieku XX wszystkie minione wieki to tylko uwertura.

Lekceważąca nakazy i zakazy, „*grzeszna*” (pozamałżeńska) cielesna miłość jest stara jak świat, lecz dawniej, objęta anatema, musiała się kryć, bać, cierpieć, co mocno limitowało jej zasięg, i dopiero wiek XX przyniósł tu kolosalną (rewolucyjną) zmianę ilościową oraz jakościową wskutek naukowego postępu (pigulka antykoncepcyjna zlikwidowała strach przed ciążą, a „*guma*” i penicylina strach przed chorobą weneryczną, detonując eksplozję powszechnej rozwiązłości) oraz wskutek medialnego rozkolportowania przez libertynów bezpruderyjności seksualnej. Seks uległ totalnemu zegalitaryzowaniu (wszystkie grupy społeczne i kategorie wiekowe), zamieniając świat w „*globalną wioskę*” (Mc Luhan) dupczeniową.

Triumfująca „wolna miłość” (vel „seks wyzwolony”) XX wieku nie tylko przerabia samców na lubieżnych lowelasów, a samice na kurtyzany, które z niejednego łóżka chleb jadły — lecz wchłania również uczniaków, zwłaszcza miliony małych dziewczynek. Dzisiaj, nieomal zwyczajowo, już 14—letnie dziewczęta uprawiają seks, instruowane przez prasę dla młodzieży (międzynarodowe pismo „**Dziewczyna**”: „*Sprawisz przyjemność swemu chłopcu biorąc jego członka w buzię*”). Gazety całego globu roją się od reklamowych zachęt: „*Spuść mi się do mokrego pyszczka. Nastolatka*”, „*Siusiaj między moje młode cycuszki*”, „*Małoletnia obciągnie ci druta*”, itp. Dzisiejsze kroniki humoru pełne są libertyńskich seks-dowcipów, jak choćby ten dialog synka i tatusia. Synek: „*Tatusiu, dlaczego ty masz białą skórę, mama również ma białą, a ja czarną?*”. Ojciec: „*Synku, ciesz się, że nie szczekasz, taka była zabawa!*”. Żadna „zabawa”, nawet wewnątrz głównej politycznej komnaty globu, nie gorszy już nikogo. Wizerunek amerykańskiego prezydenta, wspartego o biurko w Pokoju Ovalnym i rozmawiającego przez telefon, gdy młode klęczące dziewczę ssie mu penisa (lub penetrującego cygarem wnętrze jej pochwy) — nie jest dla współczesnego świata szokiem, tylko ciekawostką.

XX stulecie najpierw uwolniło seks spod kołdry, później uprawomocniło jego perwersje (wszelkie zboczenia), i wreszcie uprzemysłowiło tę dziedzinę aktywności potomka małpy lepionej przez Pana Boga z mułu. Zajrzyjmy do tokijskiego kombinatu „Różowy Salon”. W obszernej hali, na rzędach numerowanych krzesel, siedzą faceci ze spuszczoneymi gaciami, a między ich kolanami klęczą panienki pracujące rytmicznie buzią. Sześćdziesiąt sekund i do kasy (wolne miejsca zajmować i zajęte zwalniać trzeba bez spóźnień, o czym dyspozytor kieru-

jący ruchem przypomina przez megafon). Długa kolejka, robota akordowa, taśma fabryczna mrowiska erotycznego — oto seksualny symbol XX wieku. Czy to już wtórna animalizacja ludzkości? Niemiecki kardynał J. Meissner mówi: „*Wszechobecny terror seksu zamienił człowieka w zwierzę*” (1998).

„*Męskie szowinistyczne świnię*” (jak określają panów feministki) lubią obwiniać kobiety o ten wszechburdel XX wieku, tłumacząc, że bez przyzwolenia kobiet („*klucze do sypialni są w rękach kobiet*”) nie ma gry erotycznej, więc ekshibicyjno-dewiacyjna emancypacja seksu byłaby wbrew kobietom niewykonalna. Głośny żydowski pisarz, I. B. Singer (Nobel 1978), nieustannie piętnował „*szokującą rozwiązłość kobiet dzisiejszych*”, pytając: „*Po co się żenić, skoro kobiety tak się zachowują?*”. Ale samce nie zachowują się lepiej. Gigantyczny przemysł pedofilstwa azjatyckiego kwitnie dzięki „*masowej turystyce*” (ze wszystkich regionów „*cywilizowanego świata*” ciągną do Bangkoku tudzież do innych „*rajów seksu dziecięcego*” zorganizowane „*pielgrzymki*” bogatych bydlaków).

Z kolei degenerująca gromady małych chłopców pedofilia „*gejowska*” kwitnie dzięki wszechświatowej „*tolerancji*” dla „*kochających inaczej*” zboczeńców. Ruch wyzwolenia pederastów w wielu krajach żąda superpraw — praw stawiających homoseksualizm nad heteroseksualnością — co jest prologiem zupełnej bezkarności i co wywraca do góry nogami naturalny porządek płciowy ludzkiego gatunku. Koroną zwycięstw propagandy emancypującej pedastwo staje się legalizacja małżeństw homoseksualnych, której towarzyszy prawo do adopcji dzieci (najpopularniejszy na świecie młodzieżowy produkt Hollywoodu — telewizyjny serial „**Beverly Hills 90210**” — poświęcił cały odcinek udowodnianiu, że najlepszymi rodzi-

camii dla adoptowanych maluchów są pary gejowskie, nie zaś tradycyjne heteroseksualne!). Dzieci wychowywane w rodzinach, gdzie „mamusia” to facet (vel „tatuś” to kobieta) będą psychicznie okaleczone wręcz morderczo. Winę za tę kastrację duchową — za tę produkcję czwartej płci — dźwigać będzie libertyński permisywizm, owo totalne (totalitarne) „laissez-faire”, które na „dopingu” szerzonej przez media pornografii sprostytuowało cały glob.

Finał XX stulecia w dziedzinie erotyki stał się triumfem nieskrępowanej wolności „wszystkich zachowań”, właściwie już kultem wszelkich zbroczeń (transwestytyzmu, kazirodztwa, nekrofilii itp.). Nie bez powodu główne anglojęzyczne czasopismo biseksualistów nosi tytuł: „**Anything that moves**” („**Wszystko co się rusza**”). Nie bez przyczyny stateczni Nowozelandczycy, niesieni falą „obyczajowości postmodernistycznej”, wybrali do parlamentu (1999) transseksualistę, vulgo: chirurgicznie zmaistrowanego George’a Bertranda, który był wcześniej prostytutką i striptizerką Georgią Bayer. Nie tylko ich wybór, lecz cały ten wybór — globalny wybór rozpasanego seksu jako imperatywu — jest kłamstwem, gdyż pozornie uszczęśliwia ludzkość, wzmagając etyczną katastrofę naszego świata.

11. KŁAMSTWO LIBERTYNIZMU 2 — RELATYWIZM

Relatywizm (od łacińskiego „relativus” — względny) to pogląd filozoficzny, według którego wszelkie wartości, normy, zasady czy oceny (dobro i zło, prawda i fałsz, piękno i szpetota), tak etyczne, jak i kulturowe — mają charakter względny, a więc są do logicznego (zatem i do praktycznego) obalenia. Według etycznego relatywizmu — absolutne dobro nie istnieje (co dla jednego dobre, to złe dla drugiego). Relatywizm epistemologiczny neguje obiektywność prawdy. Etc, etc.

Nim przejdę do czarnych stron relatywizmu, chcę zauważyć, że twardy antyrelatywizm też bywa źródłem frustracji, kłopotów i dylematów rozwiązywalnych trudno lub wcale. Antyrelatywistom nie żyje się lekko. Dam jeden przykład. Gdy „Ojciec Święty” Jan Paweł II, strażnik Dekalogu („Nie zabijaj!”), co raz to wymienia bezpośrednio (spotkaniowe) uprzejmości z wielokrotnym mordercą, Arafatem, lub „ekumenicznie” kokietuje muzułmanów (vide pielgrzymka do Ziemi Świętej) zamiast im chociażby wypomnieć, że w krajach islamskich chrześcijanie są okrutnie represjonowani — to jest relatywizm moralny, czy tylko pragmatyzm polityczny wymuszający etyczną selektywność?... Życie m.in. dlatego jest tak trudne, że stanowi teleturniej z podobnymi pytaniami.

Przez całe tysiąclecia ludzie wiedzieli co jest złe, a co dobre. Kiedy gwałcono ich, oszukiwano i mordowano — nie wmawia-

no dręczonym, że to dla ich dobra. Nikt dawniej nie próbował mieszać powszechnie w głowach ludzi, iż zbrodnia, kradzież czy rozpusta zasługują na laur (grzechy mogły zasługiwać na przebaczenie — to wszystko). Wiek XX radykalnie tę sytuację zmienił, produkując nową jakość — nową chytrą sztuczkę Lucyfera. Dokładniej: druga połowa tego wieku, a jeszcze dokładniej: trzy ostatnie dekady (od paryskich rozruchów 1968). W pierwszej połowie tylko totalitaryzmy usilnie relatywizowały rzeczywistość; komunizm sowieckiego chowu nazywał rabunek prywatnej własności „*uspołecznieniem*” „*rozkułaczeniem*” i „*nacjonalizacją*”, ludobójstwo — „*sprawiedliwością ludową*”, jednoosobową bądź paruosobową tyranie — „*dyktaturą proletariatu*”, powszechną nędzę i mękę „*kolejkową*” — „*wyższością socjalizmu nad kapitalizmem*”, własną imperialistyczną agresywność — „*umiłowaniem pokoju*”, etc., etc., gdy hitleryzm twierdził (również naukowo), że narodem wybranym nie są Żydzi, tylko Niemcy, i że wymordowanie Żydów przez aryjczyków zbawi świat. Notabene zbrodnicza kłamliwość komunistów mogła budzić mniejsze zdumienie niż morderczy faryzeizm nazistów, bo Rosję zawsze postrzegano jako barbarzyńską dzicz, jako bastion azjatyckiego Wschodu, gdy Niemcy, ojczyzna Goethego, Heinego, Schillera, Dürera czy Gutenberga, były jednym z filarów cywilizacji europejskiej. Fakt, że naród o tak imponującej kulturze mógł nagle ulec amokowi barbaryzacji i próbował doszczętnie wymordować inny naród jako gorszy rasowo — to silny argument nie tylko przeciwko demokracji, ale i przeciwko tezie o ewolucji duchowej hominidów.

Dzisiejsi posthitlerowcy (tak mało liczni, że wprost skanseniwi) tytułują Holocaust dobrem, które Niemcy wyrządzili światu, co jest przez światową opinię publiczną brane za aber-

rację, za eksces ludzi bez piątej klepki. Jednocześnie ta sama opinia publiczna gremialnie toleruje miliony poststalinistów (głośno ubolewających, że Stalin nie zdażył „*wyzwolić*” świata swym ludobójczym sierpem i młotem) oraz gremialnie ulega libertyńskiej demagogii zwanej dzisiaj „*polityczną poprawnością*”, a będącej wierzchołkiem moralnego relatywizmu. Istniejące od zawsze Zło mogło dawniej władać, mogło sądzić, mogło kręcić ludzką karuzelą permanentnie, ale nie mogło się kanonizować lub deifikować, gdyż było przekłete *ex definitione*, bez prawa łaski. Tymczasem wiek XX, za sprawą heroldów „*postępu*”, konferansjerów „*humanizmu*”, komiwojażerów „*liberalizmu*”, czyli kapłanów permissywizmu totalnego — libertynów zmierzających do obalenia wszelkich barier „*mieszczańskiej moralności*” — tak zrelatywizował etykę, iż Zło uległo legalizacji, stając się swoistym „*Dobrem inaczej*”. Według ich dyrektyw — wszelka moralność ma być względna, wszelki grzech darowany z góry prawem „*carte blanche*”, a wszelki zdrowy rozsądek wyeliminowany za pomocą „*tolerancji*” bezgranicznej, czyli akceptacji ekstremalnego leseferyzmu.

Magiczną różdżką (słowem-wytrychem i słowem-alibi) jest dla apostołów relatywizmu *t o l e r a n c j a*. Ona usprawiedliwia każdy gwałt na prawdzie, honorze, cnocie, sumieniu i przyzwoitości, i ona werbuje nieświadomych akolitów Zła, gdyż jako piękne słowo ma imponującą moc przekonywania ludzi nie umiejących samodzielnie wnioskować (takich jest zdecydowana większość) do tolerancji wszechogarniającej — do akceptowania odmienności, egzotyczności, dziwaczności (najpaskudniejszych i tradycyjnie potępianych), patologii nie wyłączając. Jest to zarazem słowo-matka, bo pielęgnuje rozliczne bękarty, dzieci tego samego libertyńskiego fałszu (jak choćby bardzo

modny relatywistyczny fetysz „mniejszego zła”), i słowo-masko, bo dekoruje wzniesiony w XX wieku gmach kłamstwa, który całkowicie zasłużył na miano „*maison de tolérance*” (tak w wieku XIX zwano domy publiczne oferujące perwersyjność). Ludzie ulegający tej „tolerancji” nie są (wbrew temu, co się im wmawia) wolni — „*wolni od nienawiści*”, „*wolni od ksenofobii*”, „*wolni od uprzedzeń*”, itd., itp. Albert Camus: „*Być wolnym — to móc nie kłamać*”.

Wszechobecna dzisiaj kultura „tolerancji” jest subkulturą wyniesioną do rangi nadkultury i obejmującą mnóstwo negatywnych zjawisk. Fałszywie rozumiana „*wolność słowa*” (tolerowanie braku odpowiedzialności autorów i producentów) skutkuje deprawującym całe generacje, nieograniczonym zailem pornografii literackiej, filmowej i medialnej. Setki kanałów telewizyjnych ścigają się i przelicytowują hektolitrami krwi oraz spermy tudzież nielimitowanym bestialstwem degenerującym młodzież, czego skutkiem jest mnożenie się młodocianych gangów. Im też należy się „tolerancja”, czyli praktyczna bezkarność (w najgorszym razie gangsterzy-„*małolaty*” idą do wesołego poprawczaka). Dalszym ciągiem staje się „tolerancja” dla subkultury „*ćpunów*” (niektóre kraje, jak Holandia, już ją zalegalizowały), dzięki czemu narkomania szerzy się niczym ogień po stepie. Wszelkie zdeprawowane leseferyzmem „tolerancji” młodzieżowe grupy przestępców funkcjonują jako wylęgarnie narybku dla półświatka — tam się rekrutuje „*żołnierzy*” wielkich gangów i armie nieletnich prostytutek.

Również dorosłym bandytom należy się „tolerancja”. Propagatorzy relatywizmu mówią: odpowiedzialność za morderstwo ponosi nie morderca, lecz społeczeństwo, które nie dało mu szansy bycia aniołem (nie ukształtowało, nie dopieści-

ło, zmarginesowało etc), czyż więc można surowo karać morderców? Nie można, nie wolno gnębić żadnych przestępców, trzeba karać prawdziwego winnego (społeczeństwo), i tak się robi, łagodząc na całym prawie świecie kodeksy, dając zbrodniarzom częste „*przepustki urlopowe*”, bądź co rychlej amnestionując, dzięki czemu radykalnie wzrasta krzywa zbrodni i wszelakich gwałtów, wbrew „tolerancjonistycznej” propagandzie, która kłamie, iż surowość represji nie odstrasza bandytów. Wystarczyło, że w Nowym Jorku burmistrz Giuliani wprowadził system „*zero tolerancji dla łamiących prawo*” (nawet dla zaśmiecających ulicę folią czekoladowego batona), a przestępczość w tej metropolii spadła o kilkadziesiąt procent!

Globalny terror relatywizmu dewastuje bardzo dużo wartości tradycyjnych, takich jak choćby wstręt do łapówkarstwa, czy patriotyzm piętnowany dziś mianem: „*nacjonalizm*”. Już w ubiegłym stuleciu genialny malarz Delacroix wołał: „*Zamiast przekształcać rodzaj ludzki w nikczemne stado, pozostawcie mu jego prawdziwe dziedzictwo — przywiązanie do swej ziemi*”. Przywiązanie do swej ziemi uchodzi dzisiaj za akt szowinizmu. Nowoczesnych przyzwoitych ludzi winien znamionować kosmopolityzm, elegancko zwany globalizacją. Co jest, oczywiście, kłamstwem, jak cała totalitarna ideologia relatywizmu. Przyzwoitość bowiem winna być niezmienna wobec czasów i warunków. XVII-wieczny hiszpański mnich-myśliciel, B. Gracián, dawał prostą receptę: „*Tak się zachowuj, jakbyś miał świadków dookoła*”. Ale to recepta na przyzwoitą bierność, gdy Zło trzeba zwalczać, bo jak uczył wybitny angielski konserwatysta, E. Burke: „*Dla triumfu Zła potrzeba tylko, żeby dobrzy ludzie nic nie robili*”. Niestety — dobrzy ludzie coraz słabiej walczą przeciwko Złu, więc etyka karleje i

obumiera. Milionom ssaków „naczelných” ułatwia to życie, wedle mojego aforyzmu z roku 1995: *„Dzisiaj dużo łatwiej być przyzwoitym człowiekiem. Każdy bez trudu może się wznieść do wymaganego poziomu etyki, gdyż ten obniżył się do poziomu każdego”*.

12. KŁAMSTWO ANTYKATOLICYZMU

Wizytując swą ojczyznę roku 1999 Jan Paweł II rzekł: *„Wbrew pozorom, praw sumienia trzeba bronić także dzisiaj. Pod hasłami tolerancji, w życiu publicznym i w środkach masowego przekazu szerzy się bowiem coraz większa nietolerancja. Odczuwają to boleśnie ludzie wierzący. Zauważa się tendencje do spychania ich na margines życia społecznego, ośmiesza się i wyszydza to, co dla nich stanowi nieraz największą świętość. Te formy powracającej dyskryminacji budzą niepokój i dają wiele do myślenia”*. Zakończył rozpaczliwym apelem: *„Bracia i siostry! Papież nie przestaje was prosić — brońcie krzyża!”*.

Pytanie, które tyczy wielu wysoce rozwiniętych państw końca drugiego milenium, brzmi: o ile procent spadło tradycyjne poczucie przyzwoitości u społeczeństw sterroryzowanych forsowną propagandą relatywizowania cnót, grzechów, kanonów i terminów fundamentalnych, tudzież praktyką relatywizmu, zwłaszcza patologicznym systemem „tolerancji” określanym jako „political correctness”? System ów wynaleziono w najpotężniejszym (i najbardziej globalnie wpływowym kulturowo) kraju świata, aby dowartościować czarnoskórych obywateli Stanów, lecz później rozciągnięto go na wszystkie dziedziny funkcjonowania społeczeństwa, nie wyłączając sfery semantycznej (stąd homoseksualista to „kochający inaczej”, złodziej to „uczciwy inaczej” itd.), lecz przedobrzo ku zupełnej paranoi. Będąca osią tego systemu „akcja afirmatywna” wprowadziła rasizm à rebours, nie ograniczając się do ustawowego (procentowego)

faworyzowania wszędzie Murzynów (przyjmowanie na studia czy zyskiwanie posad kosztem białych), ale sięgnęła także nonsensownych przewartościowań kulturowych i historycznych (usuwanie z podręczników Homera, Szekspira, Leonarda, Chopina tudzież innych białych twórców, i zastępowanie ich trzeciorzędnyimi „kolorowymi mistrzami”, rapowcami itp.) bądź anomalii jurysdykcyjnych (exemplum głośne uwolnienie przez sąd sportowca O. J. Simpsona, który bestialsko zamordował dwoje białych ludzi, co zostało ewidentnie udowodnione, m. in. testami DNA, jednak jako murzyński czempion był idolem czarnej społeczności żądającej wyroku uniewinniającego!). Brytyjski minister kultury Ch. Smith nakłania właśnie (1999) producentów filmu o „agencji 007”, by kolejny James Bond był Murzynem lub jeszcze lepiej: Murzynem-pederastą.

Tegoż roku dziennikarka zapytała dyrektora Misyjnej Agencji Informacyjnej (MISNA), księdza A. Albanese: „Czy zgodzi się ksiądz z opinią, że wiek XX był dla chrześcijan najtrudniejszy?”. Albanese odparł: „Bez wątpienia. W mijającym stuleciu Kościół katolicki był najczęstszym obiektem prześladowań”. Ona pytała o cały Chrystianizm — on sprowadził ripostę wyłącznie do katolicyzmu. Całkowicie słusznie. Żaden bowiem Kościół, żadna religia nie była w XX wieku tak mocno napastowana, szkalo-wana i prześladowana, jak katolicyzm.

Źródłowym dla nowoczesnej wojny antykatolickiej (wcześniejszą była Reformacja protestancka) stał się wiek XVIII — stulecie masonów, libertyńskich „filozofów” (exemplum Voltaire) i jakobinów. Masoneria od swego zarania po dzień dzisiejszy stawiała sobie zwalczanie katolicyzmu jako cel numer jeden, werbalizowany dla naiwnych i głupców hasłami typu „wolność, równość, braterstwo”, „prawa człowieka”, „tolerancja” itp.

(wielki francuski pisarz, Emil Zola, ukończywszy 56 lat wystąpił z łoży, demaskując całą antykatolicką furję masonów, i bijąc się w pierś za „*tajdactwo, w którym brałem udział*”). Voltaire oraz jego kumple piętnowali katolicyzm ze wszystkich sił, a wyedukowani przez nich jakobini kontynuowali dzieło ogniem i mieczem, znosząc we Francji religię (przywrócił ją cesarz Napoleon) i burząc lub paląc setki kościołów oraz monasterów. Dalszym efektem oświeceniowego, wojującego ateizmu stała się antykościelność komunistyczna (państwowa) tudzież gorsza jeszcze forma totalitaryzmu — „*antyklerykalizm*” elit intelektualnych XX wieku, owa wykluczająca religię „*faustowska transakcja z lewicowością*”. Ceną płaconą diabłu było zwalczanie katolickiego Kościoła.

Dla Kościoła Rzymu stulecie XX to prawdziwy wiek męczeństwa. Kościół ów ciągle podczas owych stu lat sphywał krwią, sekowany przez ludobójców — że wymienię Rosję bolszewicką i komunistyczne Chiny (permanentna wojna z katolicyzmem), Meksyk (mordercze tępienie kapłanów, zakonników i obrońców Kościoła zwanych „*cristeros*”) czy Hiszpanię (rzezie kleru i klasztorów podczas terrorystycznych rządów „*republikańskich*”). H. Arendt, znakomita analityczka totalitaryzmu, jakże celnie podkreślała, iż geneza każdego systemu totalitarnego zawiera sekularyzację, walkę z Kościołem. Można tylko dodać: głównie (prawie wyłącznie) z Kościołem katolickim.

Herszt bolszewików, W. I. Lenin: „*Religia — to opium dla ludu, jak powiedział Marks. Religia — to duchowa gorzałka dla niewolników kapitału, którzy niczym dzikusy bezsilne wobec przyrody szukają ratunku w bogach i cudach*” (1905); „*Powinniśmy walczyć z religią. Jest to abecadło całego materializmu, zatem i marksizmu*” (1909); „*Ale tę walkę z przesądami religijnymi należy prowadzić bar-*

dzo ostrożnie” (1918). Jako błąd wskazywał brutalną ofensywę Bismarcka przeciwko katolicyzmowi („*Kulturkampf*”) w latach 70-ych XIX w. Czymś innym niż walka z samą religią — była walka z instytucją religijną (Kościołem). Tu bolszewizm jeszcze mniej się patyczkował. Dzisiejsze lewactwo i libertyństwo — jadą po szynach ułożonych dawno temu.

Cytowane na wstępie słowa Jana Pawła II w obronie katolicyzmu zostały przez lewackich liberałów skomentowane tak: „*To są za daleko posunięte uogólnienia, nie nadające się do naukowej weryfikacji*”. Trudno o bezczelniejsze kłamstwo. Zweryfikować naukowo (statystycznie, faktograficznie etc.) można każdy przejaw antykatolickiej ofensywy lewaków, zaczynając od „*wielkich cyfr*” — od liczby ofiar antykatolickich masakr na kilku kontynentach. Notabene azjatyckie hekatombie mniej dziwią, gdyż kliniczne barbarzyństwo domaga się swoich praw, lecz rzezie katolików, mnichów i kapłanów w państwach tradycyjnie katolickich (Meksyk i Hiszpania) — szokują. Nawet kiedy się wie, że hiszpańskimi masakrami dyrygowali komisarze przysłani przez Kreml, a meksykańskie podjudzali agenci Kremla. Pius XI mówił o tych masowych bestialstwach swoją encykliką z roku 1937: „*Jawnie tam przyznawano, że chodzi o zniszczenie religii i podstaw cywilizacji chrześcijańskiej niehumanitarnym terrorem*”. Tak jest — o to chodziło i o to chodzi do dzisiaj.

Katolicyzm miał w stuleciu XX rekordową liczbę wrogów — tu nikt nie może się równać z Maryjnym Kościołem. Profesjonalni i amatorscy laicyzatorzy, komuniści, socjaliści, rozliczni lewicowcy i lewacy (między innymi trockiści, maoiści, goszyści), naziści, homoseksualiści obojga płci, libertyni i wszelakiej maści „*liberałowie*”, Żydzi (nienawidzą Chrystusa bardziej od Hitlera), feministki, masoni, różni sekciarze tudzież

chrześcijanie innych obrządków (prawosławni, protestanci), wreszcie wszystkie odłamy muzułmanów. W krajach islamu antychrześcijański terror wyklucza posiadanie krzyża czy Pisma Świętego, a zabijanie katolików dalej bywa masowe (vide rzezie roku 1999 w Timorze Wschodnim). W krajach kultury zachodniej lub latynoamerykańskiej mnożą się „*wyzwoleni teologowie*”, czyli antykatolicycy dywersanci podkopujący marksistowsko fundamenty Kościoła, oraz pleni się „*zdziczała religijność*”, czyli sekty vel „*religie alternatywne*”. Pseudohumanistyczna podkultura „*New Age*” głosząca nadejście „*Ery Wodnika*”, która zastąpi chrześcijańską „*Erę Ryb*” (ryby były pierwotnym symbolem Chrystianizmu) — całe to sekciarskie panoptikum rozpięte między neognostycyzmem, okultyzmem i różnymi wyznaniowymi „*movementami*” a niezliczonością religii azjatyckich — serwuje kontrkatolicką patologię pełną wynaturzeń i zbroczeń, nie tylko seksualnych. Rolę guru z Hameln, który wabi „*dzieci New Age*” melodią sekciarskiego fletu, gra prąd leseferycznej „*tolerancji*” szerzonej przez libertyńskich socliberałów.

Dlaczego katolicyzm stanowi cel główny? Bo chociaż wprowadził reformę (Sobór Watykański II), to jednak odrzucił rewolucję — oparł się nadmiernemu „*liberalizowaniu*”, mimo że sabotażyści wewnątrz Kościoła robili dużo, aby stało się inaczej. Najgłośniejszym z nich był H. Küng, katolicki „*teolog postępowy*”, zwalczający konserwatyzm Jana Pawła II. Za wszystko niech starczy anegdota z konferencji prasowej Künga (lata 90-e), gdzie setny raz wyłożył on swój repertuar postulatów zmierzających do „*modernizacji katolicyzmu*”, a więc: kapłaństwo dla kobiet, żony dla księży, wolność dla konkubinatu, ułatwienia dla homoseksualistów, prawo wyboru kapłanów (od proboszczów do papieży) dla społeczeństwa, przyzwolenie dla aborcji,

braterska cześć dla schizmatyków i heretyków, ambony kościelne dla pogan, ateistów i agnostyków, bo „*od nich wiele się można nauczyć*”, itd. Tokował tak, i tokował, a jego zwolennicy wypełniający salę bili mu brawo i zadawali „*pytania*” pod dawno znane odpowiedzi. Lecz na sali był również protestancki pastor, który wreszcie zabrał głos: „*To bardzo piękne i budujące, profesorze Küng, że ksiądz chce przeprowadzić wewnątrz swego Kościoła tyle reform. My, protestanci, już dawno temu zrobiliśmy w naszym Kościele wszystko to, czego ksiądz się domaga. Proszę mi więc powiedzieć: dlaczego nasze świątynie są dzisiaj puste, a katolickie pełne?...*”. Künga zamurowało, nie był w stanie wykrztusić jednej sylaby.

Szczera odpowiedź (gdyby Herr Küng mógł się na nią zdobyć) obnażyłaby całe wielkie kłamstwo „*antyklerykalizmu*”, złożone z wielu podrzędnych kłamstw. Zakłamane są bowiem totalnie wszystkie aspekty krytyki Kościoła katolickiego — tak historyczne, jak i współczesne. Pośród historycznych głównym dla wrogów Kościoła bębmem do walenia jest Święte Oficjum, chociaż wzrasta liczba bezstronnych prac naukowych, które w proch i pył rozbijają tradycyjną złowrogą „*mitologię*” Inkwizycji. Nawet ogólnoamerykański telewizyjny History Channel musiał poinformować miliony swych abonentów, że Inkwizycja stosowała najbardziej humanitarną (z reguły beztorturową) procedurę śledczą i wydawała łagodniejsze werdykty niż sądy cywilne, a kłamstwa o niej (szerzone przez protestantów) tyczą również bilansu wyroków śmierci (osławiona Inkwizycja hiszpańska w ciągu paru wieków uśmierciła sześciokrotnie mniej ludzi niż „*postępowa*” Rewolucja Francuska gilotyną w ciągu dwóch lat!). Z kolei współcześnie głównym celem ataków jest Karol Wojtyła, do którego strzela się ołowianymi kulami KGB i

kulami medialnymi lewaków (dla przykładu: włoska „**La Repubblica**” nazwała go „*wschodnim satrapą*”, a jego pielgrzymki „*podróżami dla fanatyków*”), bo zabronił mordować nienarodzone dzieci i w ogóle brak mu permissywnej „*tolerancji*” wobec wszelkich grzechów.

„Grzech śmiertelny” Kościoła — zasadniczy powód wściekłej XX-wiecznej nagonki przeciwko katolicyzmowi — stanowi obrona Dekalogu. Katolicyzm to twierdza Dekalogu, a szturmujący ją kłamcy to zastępy piekielne. Odniosły już dużo sukcesów, jak choćby destrukcja tradycyjnej rodziny, będącej jednym z filarów Kościoła (to osobne, niesłychanie ważne zagadnienie — patrz rozdział następny), ale mimo całowiekowej brutalnej ofensywy, ich główny cel — stanąć na gruzach Watykanu — wciąż pozostaje mrzonką.

13. KŁAMSTWO ANTYFAMILIARYZMU

Gangsterzy zwalczający Dekalog, Kościół i tradycjonalistyczną „moralność mieszczańską” ergo „chrześcijańską” — wiedzieli, iż nie osiągną nawet progu tych celów, jeśli nie zniszczą (lub przynajmniej mocno nie nadwerężą) tradycyjnej rodziny. Albowiem rodzina (łac. „*familia*”) była kością świata przez nich znienawidzonego — była fundamentalną komórką społeczną, najzdrowszym gniazdem i klanem człowieka, najlepszym kulturowym, cywilizacyjnym i opiekuńczym wynalazkiem wszechczasów, chroniącym ludzkość przed poczynaniami diabła. Nie zawsze i nie wszędzie skutecznie chroniącym, lecz ciągle stawiającym silny opór i przez to psującym piekłu plany produkcyjne. Ku wściekłości libertynów. Polska wojująca feministka, K. Dunin, grzmiała w 1995 roku: *„Odwieczną rolę sekatora pełnią Kościół i Rodzina! Ich rola jest przede wszystkim represyjna!”*. W tym samym roku znany francuski publicysta lewicujący, B. Margueritte, przyznał rację konserwatystom, którzy mówią o światowej strategii diabła chcącego rujnować rodzinę jako bazę katolicką, prawną, społeczną i etyczną: *„Wyśmienitym sposobem zagwarantowania władzy pewnych grup, pewnych elit, jest podejmowana szeroko próba deprawowania ludzi, co czyni ich podatnymi na wszelkie manipulacje”*.

Teoretyczne fundamenty eksterminacji familiaryzmu dał Antyk: Platon projektował, że w jego idealnej Republice dzieci będą matkom natychmiast zabierane (by się nie przywiązywały) i wychowa je państwo. Średniowieczni gnostycy (np.

katarzy) zwalczali małżeństwo i trwałą rodzinę, bo zwalczali Kościół. Renesansowi fantaści planowali swoje Utopie jako systemy bezrodzinne, gdzie królować miał wolny seks (exemplum teokratyczno-komunistyczne „*Miasto Słońca*” Campanelli). Oświeceniowy francuski terror roił bliskoznaczne systemy, lecz nie zdążył ich realizować. Kilkadziesiąt lat później Marks i Engels przewidywali już rychły zgon rodziny, krytykując ją jako protektora i produkt kapitalistycznego zysku. Trzeba było wszakże czekać jeszcze długo — dopiero tyrani i alfonsi XX wieku przypuszczają decydujący szturm.

Warunki społeczno-ekonomiczne podkopujące tradycyjną rodzinę patriarchalną stworzyła druga faza rewolucji przemysłowej (kilka ostatnich dekad wieku XIX). Rozwój przemysłowy był wówczas tak dynamiczny, że brakowało pracowników, a nie myślano jeszcze o masowym imporcie „*gastarbeiterów*”. Brak taniej siły roboczej uzupełniano tedy wabiąc kobietę, by zarabiała pieniądze poza domem. Hordy (z roku na rok większe) pań ruszyły ku fabrykom i biurom, co musiało nadwerężyć struktury rodzinne. Vulgo: musiało prędzej czy później wywrócić do góry nogami tradycyjne stosunki między samcem a samicą, zwłaszcza że feministki wszystkich faz (emancypantki, sufrażystki itd.) paliły ogień pod tym kotłem bez ustanku. Gdy G. Steinem wymyśliła feministyczne credo: *„Kobieta potrzebuje mężczyzny jak ryba roweru”* (1970) — nie znaczyło to wyłącznie, że kobieta ma alternatywę lesbijską; znaczyło również, że winna przekląć męża, czyli rodzinę.

I „*machofobia*”, i homoseksualizm równały się antyfamiliarności, lecz nie ta pierwsza, tylko ten drugi będzie potężnym antyrodzinnym deprawatorem stulecia XX (A. D. 1999 kardynał T. Winning, głowa szkockiego Kościoła katolickiego, ubolewa:

„Wielkim zagrożeniem dla rodziny jest mocarne i wszędzie aktywne lobby homoseksualistów”). Notabene — właśnie homoseksualny (lesbijski) czyli destrukcyjny dla świata aspekt feminizmu sprawił, że co przytomniejsze feministki zaczęły porzucać ów ruch. Głośna niegdyś feministka, K. Paglia, rzekła: *„Feminizm to zaraza!”*. Głośna lekarz-psycholog, L. Eickkoff, wtórowała jej bardziej naukowo: *„Feministki okradają kobiety za pomocą propagandy destrukcyjnej. A okradając kobiety — okrada się cały świat”*. Jednak siła feminizmu antyrodzinnego była przygniatająca. Gromady męskich „pożytecznych idiotów” libertynizmu wsparły głośno feminizm (A. Hanuszkiewicz: *„Feminizm jest dla mnie humanizmem XX wieku”*), umacniając tym kontrfamiaryzm. Rodzina musiała paść.

Musiała również dlatego, że totalitaryzmy stulecia XX wsparły libertynów. A wsparły, bo widziały w rodzinie naturalnego wroga, gdyż miała ona kłopotliwy zwyczaj zajmowania miejsca przed klasą społeczną lub przed państwem jako główny obiekt lojalności swych członków. Sowiecki komunizm, ustami prominentnych towarzyszek (exemplum „pierwaja” sufrażystka ZSSR, towarzyszka A. Kołłontaj) i towarzyszy (minister oświaty, towarzysz A. Łunaczarski: *„Rodzina to szkodliwa konstrukcja społeczna!”*), tudzież prawodawstwem (łatwe rozwody etc.) — deprecjonował famiaryzm przez kilkadziesiąt lat. Symbol to uczeń P. Morozow, który „samorzutnie” wydał swego ojca „kułaka” na śmierć — małego kapusia zrobiono „wszechzwiązkowym” idolem młodzieży (tak kanonizowano niszczące rodzinę donosicielstwo). Pius XI, mówiąc, że komunizm chce *„zniszczyć podstawy przyzwoitości i cywilizacji chrześcijańskiej w sercach ludzi”*, słusznie dodał: *„Zwłaszcza w sercach młodzieży”*. Młodzież bowiem była jednym z dwóch głównych osobowych kluczy mor-

dowania famiaryzmu.

Pierwszym była kobieta. *„Uwalniając”* kobietę (propagandą libertyńsko-feministyczną, łatwością aborcji i rozwodu, pigułką antykoncepcyjną) od erotyzmu wyłącznie małżeńskiego, i w ogóle od wstrzemięźliwości seksualnej — zaszczerpiono rodzinie geny śmierci, gangrenę postępującą nieubłaganie wraz z rozwojem medialnej pornografii, laicyzmu, permissywizmu obyczajowego etc. Drugi łatwy punkt do atakowania stanowiły dzieci i młodzież. W Sowietach rodzinę zastępowały im Pionierstwo i Komsomoł, w nazistowskich Niemczech — Hitlerjugend, w Chinach — młodzieżówka maoistowska itd. Lewica współczesna również nie jest wolna od deprawowania nieletnich, lewica bowiem zawsze uważa, iż rodzice wychowują dzieci gorzej niż państwo. Niedawną (1999) decyzję francuskiego ministerstwa oświaty, że każda uczennica może bez zwłoki, bez wiedzy rodziców i bez żadnych problemów otrzymać pigułkę poronieniową — konserwatyści nazwali *„kradzieżą dzieci przez państwo, które brutalnie zastępuje rodzinę w szczególnie intymnych obszarach jej funkcjonowania”*. Alibi dla tego typu działań kontrrodzinnych — dla wszystkich działań socliberalnych deprawujących młode pokolenie — stanowią haselka typu *„prawa człowieka”, „prawo dziecka do samorealizacji”, „tolerancja”, „antyrepresyjność”* itp. Biskup Paryża, J.-M. Lustiger, tak skomentował ów wieloletni proceder kłamców:

„Na pokaz plecie się o prawach człowieka. To jest oficjalna piosenka, którą nucą wszyscy, i ci, co tylko fałszują, i ci, co zwyczajnie kłamią. Ale za tą fasadą kryje się świat abstrakcyjnych kalkulacji (...) Chodzi o wewnętrzną sprzeczność dzisiejszej kultury, która ma postępową ambicję, by chronić godność człowieka, a wywołuje odwrotne skutki, degradując kondycję ludzką i budując fundament antyhumanizmu

(...) *Przede wszystkim młodzież. Gdy rodzice są nieobecni i gdy nie przekazuje się młodym niczego — młodzież staje się zagubiona, zbląkana (...) Przypomina ona wówczas ptactwo wodne w plamie ropy, które na próżno chce się oczyścić, nie ma dla niego ratunku. Również ta młodzież zraniona brakiem miłości rodzicielskiej, złym wychowaniem, kiepską edukacją, narkotykami i brutalnością — staje się podobna owemu ptactwu. Jak ich ratować? (...) Dzisiejsza stechniczowana kultura uczyniła młodzież klasą odrębną, pozostawioną samej sobie. Młodzi nie przejmują już dziedzictwa kulturowego, ani nie szanują racji uznających życie jako wartość. Jest to znak bezprecedensowego kryzysu*" (1995).

XX-wieczny głęboki kryzys familiaryzmu to nie tylko zanik rodziny patriarchalnej, gdyż patriarchalność była ledwie jednym z atrybutów owej tradycji. To także zanik wielodzietności i wielopokoleniowości rodziny tradycyjnej (postęp obniża płodność i rozdziela kolejne generacje), zanik międzypokoleniowej wewnątrzrodzinnego opiekuńczości, zanik dawnych rytuałów rodzinnych cementujących familijność. Gdzie się podziały wspólne obiady, debaty, spacerunki i zamyślenia? Tradycyjne matki są gatunkiem wymierających ssaków. Tradycyjni seniorzy rodów to już archeologia. P. Moynihan (senator USA): *„Społeczność bez ojców uprasza się o chaos i ten chaos dostaje”*.

Statystycznie chaos ów wygląda tak: w wysoce rozwiniętych krajach liczba rozwodów przekracza 50%, a liczba dzieci nieślubnych 45% (w Norwegii 50%, w Islandii 60%). Zaś terminologicznie tak (nazewnictwo socjologów): *„rodzina zrekomponowana”* to efekt nowych małżeńskich związków rodziców (co dubluje dzieciom liczbę mamusi i tatusiów oraz multiplikuje liczbę babć, wujków itd.); *„rodzina korespondencyjna”* to taka, której członkowie komunikują się tylko karteczkami przylepia-

nymi do lodówki; wreszcie *„rodzina internetowa”* to globalny związek ludzi uzależnionych komputerowo, będący dla nich ersatzem życia rodzinnego. Sięgnijmy jeszcze do ekonomiki — według brytyjskich ośrodków badawczych (Królewski Instytut Ekonomiczny, Rowntree Foundation i in.): *„Przestępczość i ubóstwo są w dużo większym stopniu następstwami niż przyczynami destrukcji rodziny”*. I sięgnijmy do prawodawstwa: w wielu krajach Europy i Północnej Ameryki (tych socjoliberalnych-rozwiniętych) traci się prawa rodzicielskie (odebranie dzieci siłą i przekazanie „rodzinie zastępczej”), a nawet zostaje się lokatorem więzienia — za klaps wymierzony własnemu dziecku. Przymusowa bezkarność dzieci stanowi jeszcze jeden antyfamilijny nowotwór.

Sto lat temu Nietzsche głosił, że Bóg umarł. Bóg nie umarł (umarł Nietzsche), lecz obumieranie rodziny — dzieło antyfamilijnych szachrajstw wieku XX — jest równoznaczne z obumieraniem Boskości. Rodzina to przecież sacrum.

14. KŁAMSTWO HISTORII

Dzieje świata pełne są kłamstw produkowanych przez historiografię (naukę o przeszłości), publicystykę czy mitologię oddolną (ludową). Stara prawda mówi, że zwycięzcy piszą kronikę wydarzeń, i że robią to mijając się z prawdą pokonanych. Nowsza teza dodaje nowego mocarnego dziejopisa — media („fakt prasowy”), czyli siłę, którą w XX wieku komplementująco nazwano „czwartą władzą”, gdy ona często stanowi kreującą, a więc pierwszorzędną energię. Kłamstwa rozpowszechniane przez taką globalną tubę są silniejsze od fałszów historiograficznych, te drugie bowiem jako tezy naukowe mogą być obalone przez inne naukowe tezy, kontrdowody (słowem przez prawdę udowodnioną), gdy „mit wstanie królem z każdego upadku” (V. Hugo). Powszechna fałszywa gędźba, blaga zaszczepiona wszystkim ludom, zamienia się w kłamstwo królujące — kłamstwo historii.

Propagandowa kosmetyka historii — „poprawianie” minionego — była w XX wieku rozwijana na mniejszą lub większą skalę przez każde państwo (to właściwie już „odruch warunkowy” wszelkich politycznych systemów), i chodziło tu zazwyczaj o własną przeszłość lub przeszłość własnego wroga (z reguły bezpośredniego sąsiada). Czymś innym były wielkie ideologiczne (komunizm) lub faktograficzne kłamstwa ponadnarodowe (globalne) tumaniące całą ludzkość. Społeczność żydowska całego globu twierdzi, iż największym faktograficznym kłamstwem XX stulecia są osławione „**Protokoły Mędrców Syjonu**”, czyli drukowany pierwotnie w 1903 (prasa) i 1905 (książka) apokryf, dzieło rosyjskiego szpiega, M. Goło-

wińskiego, mające służyć jako dowód „wszechświatowego spisku Żydów”. „Jest to najtragiczniejsze fałszerstwo XX stulecia, będące genezą współczesnego antysemityzmu i Holocaustu” („L'Express” 1999) — głoszą rozliczne media światowe. Mijają się z prawdą, „**Protokoły**” bowiem to mistyfikacja, bez której Hitler i tak mordowałby Żydów, gdyż dużo wcześniej, zanim jeszcze carskie tajne służby zleciły upichcić ten pasztet, literatura globu pękała już od wynurzeń na temat spisku montowanego przez Żydów dla zagarnięcia światowej władzy, i nie brakowało w tej kwestii głosów ludzi, których dzisiejsi „liberałowie” czczą jako świętość (exemplum Dostojewski: „Wszystkie mocarstwa polityczne to złudzenie — jedynie Żydzi i ich banki są panami Europy i świata, rządzą nauką, kulturą, cywilizacją, socjalizmem, wszystkim”, 1880). Media zwące „**Protokoły**” „najtragicznijszym fałszerstwem stulecia” mylą się dlatego, że autentycznie najtragicznijszym światowym fałszem minionego wieku jest żydowskie kłamstwo o Polakach jako bezkonkurencyjnych antysemitach i żydობójcach, głównych sprawcach Holocaustu.

„Wrodzony antysemityzm Polaków” (teza publicznie dzisiaj głoszona przez przywódców izraelskich: „Polacy wysysają antysemityzm z mlekiem swych matek”) obejmuje teraźniejszość, przeszłość i pewnie długą przyszłość. Niedawno (1999) znany międzynarodowy muzyk, A. Schiff, ogłosił, że nie lubi Chopina, bo Chopin „był zajadłym antysemitą”. Wśród wielkich twórców kultury i wśród ogólnie uznanych autorytetów humanizmu pełno było „zajadłych antysemitów” (nie wyłączając Kanta, ojca „kategorycznego imperatywu moralnego”), lecz jak słusznie zauważył lider niemieckich Żydów, I. Bubis: „Tyle się plecie o antysemityzmie i antysemitach... Jeżeli kogoś nazywają antysemitą — niekoniecznie musi on nim być naprawdę” (1998). Wcześniej wielki

pisarz żydowski, noblista I. B. Singer, wyjaśniał: „*Żyd współczesny nie może żyć bez antysemityzmu. Jeśli antysemityzm gdzieś nie istnieje — on go stworzy*”. Po czym dodał dłaczego: „*Dzisiejsi Żydzi są jak kobiety — pragną władzy, nie jawnej, lecz zakamuflowanej*”. Jeszcze wcześniej, już w XIX wieku, Asnyk prorokował:

*„Antysemityzm często hodują handlarze,
Z których każdy dla siebie pewien zysk w tym widzi;
Kiedy się interesem korzystnym ukaże,
Ujmą go w swoje ręce niezawodnie Żydzi”.*

Okazał się bardzo korzystnym interesem. Pozwala terroryzować i szantażować liczne państwa, społeczności i organizacje, wymuszać niezliczone ustępstwa, łamać karki, blokować lub promować kariery, dawać nagrody, niszczyć jednych („*antysemitów*”) i wywyższać drugich (*filosemitów*). Dla globalnego interesu warto nawet czasami przymykać wzrok i słuch, vulgo: „*odpuszczać*” niektórym zmarłym antysemitom, choćby Marksowi (marksizm był świecką „*religią*” kilku pokoleń Żydów, mimo że Marks pluł na żydostwo bez pardonu: „*Praktyczne żydostwo to szacherka i pieniądze (...)* Szalbierstwo opanowało wszystkie ich myśli; jedyne, co ich emocjonuje, to urozmaicanie sobie celów tego oszukaństwa”). Ale żywemu nie przepuszczają, choćby był bardzo sławny. Ledwie M. Brando (wielki aktor) mruknął (1996), że Hollywood to żydowski folwark, a już Żydzi publicznie deklarują: „*Zamienimy w piekło każdy dzień tego człowieka, aż do grobu!*”. Grobu chcieliby i dla Polski. Dla nikogo tak bardzo, jak dla Polski.

Pechem Polaków okazał się fakt, że gdy w średniowiecznej i renesansowej Europie masowo „*starozakonnych*” mordowano bądź krwawo przepędzano (rozliczne eksterminacje i ekspulsje

Żydów jak Europa długa i szeroka) — jedynie Polska udzieliła im bezpiecznego i bezterminowego azylu, gwarantując prawem niebywałe gdzie indziej (pełne) możliwości rozwoju ekonomicznego tudzież kulturowego, suwerenność ich religii, a nawet własny terytorialny samorząd. Z całego kontynentu Żydzi walili jak w dym do Polski, zwał ten kraj żydowskim rajem — „*paradisus Iudaeorum*”. Dlatego Adolf H., realizując „*ostateczne rozwiązanie problemu Żydów*”, krematoria budował na terenie okupowanej przez Niemców Polski — z przyczyn ergonomicznych (koszty transportu), bo tutaj mieszkała większość narodu żydowskiego.

We wszystkich zdobytych krajach Niemcy wyłapywali Żydów i wywozili ich do obozów zagłady, ale tylko w jednym kraju — tylko w Polsce — wprowadzili bestialskie prawo zbiorowej odpowiedzialności za ukrywanie Żyda (rozkaz gubernatora Franka z 15-X-1941): karali za to śmiercią całą rodzinę ukrywającego, nie wyłączając starców i dzieci. Według badacza tych problemów, historyka T. Bednarczyka (współzałożyciela Żydowskiego Związku Wojskowego) — Polacy uratowali 300-400 tysięcy Żydów (według historyków izraelskich — około 40 tysięcy, lecz polskie źródła wskazują, że w samej Warszawie ukrywało się na zewnątrz getta 20-30 tysięcy Żydów), za co Niemcy rozstrzelali i powiesili 150 tysięcy Polaków! Żaden inny naród nie ofiarował takiej daniny krwi dla ratowania „*dzieci Abrahama, Izaaka i Jakuba*”. Dzisiaj potomkowie tych ocalonych głoszą, że to Polacy wymordowali kilka milionów Żydów.

Do końca lat 70-ych (mniej więcej) żydowskie kręgi ksenofobiczne piętnowały Polaków „*tylko*” za „*genetyczny antysemityzm*” (rabin H.M. Shonfeld, autor „**The Holocaust Victims Accuse**”; „*Żydzi w Polsce mają przysłowie: «Jeśli Polak mija mnie*

na gościńcu i nie morduje, to wyłącznie z lenistwa»”) oraz za ludobójczą współpracę z Niemcami („**Shoah Memorandum**”: „*Polacy robili to jako alianci nazistów*”), chętniej zresztą używając słowa naziści niż słowa Niemcy. Później „współpraca” została rozszerzona („**Canadian Jewish News**”: „*Polacy wymordowali więcej Żydów niż hitlerowcy*”), a do regularnego użycia wszedł termin „polskie obozy zagłady”. Następnie „historycy” izraelscy i publicyści żydowskiej diaspory zaczęli gremialnie „udowadniać”, że polska Armia Krajowa była organizacją programowo żydobójczą; dzisiaj jest to już dla Żydów obiektywnym pewnikiem (przykładowe cytaty z książek — M. Verstanding: „*AK, na rozkaz polskiego rządu emigracyjnego w Londynie, systematycznie mordowała Żydów*”, 1995; A. H. Biderman: „*AK prowadziła zdradziecką wojnę przeciwko Żydom, zabijając więcej Żydów niż Niemcy*”, 1996). Wreszcie, w ostatniej dekadzie stulecia, eskalacja piramidalnego kłamstwa przekroczyła barierę wydawałoby się niemożliwą: Żydzi piętnują Polaków jako głównych sprawców „Shoah”. Z wielu przykładów trzy świeże:

Popularny radiowiec amerykański, mający kilkadziesiąt milionów słuchaczy H. Stern, od dwóch lat (1998, 1999) głosi Ameryce zupełnie bezkarnie (i zupełnie skutecznie), że „za II Wojny Światowej Polacy eksterminowali 3 miliony Żydów, jako projektodawcy i wykonawcy *Endlösung*”. Słynna amerykańska dziennikarka telewizyjna, L. Stahl, na kartach bestsellerowej książki „**Reporting live**” (1999) pisze: „*Polacy, z pomocą zaprzyjaźnionych sąsiadów, Niemców, wymordowali w latach 40-ych swą tradycyjną klasę kupiecką, Żydów*”. Dla belgijskiego tygodnika „**Le Soir Illustré**” (22-III-2000), a więc i dla jego czytelników — Polska to „*kraj, który wymyślił Auschwitz*” (czyli zagładę Żydów).

Jednocześnie szkoły całego świata, od Australii po Kanadę, uczą historii Holocaustu według motywu „*zbrodnie nazistów polskich*” (sic!), a wśród pokoleń młodych Żydów utrwała się przekonanie (sformułowane *expressis verbis* w doktorskiej pracy I. Rubina z roku 1988), że „*getta i niemieckie obozy pracy były jedyną enklawą, która dawała Żydom schronienie przed Polakami*”. Tym sposobem dziękuje się nam teraz za masowe ratowanie Żydów i masowe płacenie za to śmiercią. Stara żydowska mądrość pyta: „*Jakie dobrodziejstwo ci uczyniłem, że mnie tak nienawidzisz?*”.

Nic nie pomagają ani „sprostowania” (rzadkie) z ust prominentnych Żydów (dyrektor Yad Vashem, prof. I. Gutman: „*Naród polski nie jest ani trochę odpowiedzialny*”; I. Cukierman, zastępca dowódcy buntu w warszawskim getcie: „*Ileż poświęcenia ze strony Polaków! Jacy wspaniali ludzie! Kto hoduje powszechną nienawiść do polskiego narodu — czyni krzywdę Polakom*”; etc), ani oświadczenia autorytetów międzynarodowych, jak przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec, biskup K. Lehmann: „*Winni są tylko Niemcy, Polacy nie mieli z tym nic wspólnego. Polskiego sumienia nie bruka żaden cień, bo Polska nie mogła wstrzymać diabelskiej maszyny śmierci na jej zgwaltowanym terytorium*”.

Nic nie pomaga — Polska stała się ofiarą monsturalnego kłamstwa, typowym „*chłopcem do bicia*” dla światowej społeczności Żydów. Tak właśnie zwano w dawnych czasach chłopca bitego za przewiny brytyjskich następców tronu — książętom wymierzano chłostę bijąc nie ich tyłki, lecz tyłek zastępczy. Niemcom (autorom Holocaustu), Rosjanom i Ukraińcom (mistrzom pogromów), Hiszpanom (prymusom holocaustu średnio-wiecznego), Francuzom (gremialnie kolaborującym z Niemcami

przy eksterminowaniu francuskich Żydów) tudzież innym żydobójcom — Żydzi już wybaczyli. Znęcają się tylko nad narodem swoich dobroczyńców, lansując najbardziej makabryczne (bo krematoryjne) kłamstwo XX stulecia.

„**Talmud**” mówi: *„Ten, kto świadczy fałszywie przeciw drugiemu, godzien jest, aby go rzucić psom na pożarcie, jako powiedziano: «Rzucicie go psu», i tuż obok powiedziano: «Nie będziesz rozgłaszał fałszywych wieści»”* („**Pesachim**” 118).

I mówi „**Talmud**”: *„Albowiem powiedziano: «Będziesz stronił od kłamstwa»”* („**Szewuot**” 30)*.

* — Tłum. Szymon Datner i Anna Kamińska.

15. KŁAMSTWO MITOLOGII 1 — EPOSY

Mitologia to „*żywoty bogów*”, czyli dziedzina kultowa, swoista religia, co mówią nam encyklopedie: *„Mit, w odróżnieniu od bajki, legendy, podania ludowego itp. — to opowieść sakralna, wyrażająca i kodyfikująca wierzenia religijne związane z magią, kultem i rytuałem”* („**Wielka Encyklopedia Powszechna PWN**” 1966). Rangę mitów zawsze najwyżej oceniali badacze mitologii; cytuję dwóch. M. Lurker: *„Mity dają prawdę ponadczasową, gdyż ich treści i znaczenia są powtarzalne, ciągle wracające (...) W micie człowiek rozpoznaje siebie samego, ze wszystkimi swymi sprzecznościami”* (1990). M. Eliade twierdził, że w micie dostrzegamy jeszcze więcej, bo *„modelowy przykład istnienia rzeczywistości”* (1958).

Kapłani nauk ścisłych (laboratoryjnych, eksperymentalnych, wymiernych) — dość długo traktowali mity pobłażliwie, nie bez przymrużania oka, wiążąc je z zamierzchłą przeszłością, godną trudu li tylko historyków, etnografów, etnologów i baśniurobów. Tymczasem obecny rozwój nauk zaczął rehabilitować mity, co nam wykłada nowsza encyklopedia: *„Dostrzegając w kulturze współczesnej (literatura, kultura masowa, ideologia) działania mechanizmów i postaw myślowych analogicznych do tych, które zaobserwowano w przypadku społeczeństw archaicznych, współcześni badacze są skłonni do «dowartościowania» mitów i «myślenia mitycznego» jako jednej z możliwych form świadomości ludzkiej,*

zdolnej do modelowania całościowej, sensownej i opartej na niezmiennych wartościach wizji świata” („Nowa Encyklopedia Powszechna PWN” 1996).

Mitologia, chociaż sprzedaje „prawdę ponadczasową” (Lurker) — jest „religią” zazwyczaj doraźną, szybko przemijającą. Każda epoka tworzy własne mity, których żywot trwa krótko, a ślad po nich zostaje jeno w archiwach, dawnych dziełach sztuki i magisterskich lub doktorskich rozprawach. Mitologie nieśmiertelne, jak mitologia starożytnych Greków, są rzadkie — któż dzisiaj pamięta mitologię asyryjską czy fenicką? I druga ważna konstatacja: do XVIII wieku produkowano mitologie legendowe, co niezbyt różniło mity od baśni. Dzisiejsze poszukiwanie autentycznych korzeni mitologii „króla Artura i rycerzy okrągłego stołu”, czy historycznych pierwowzorów Robina Hooda i Wilhelma Tella — może być sympatyczną przygodą badawczą, ale nie zmienia bajkowości tych figur (ostatnią baśniową mitologię — Osjanizm — wyprodukował Szkot Macpherson w latach 60-ych XVIII wieku). Dopiero wszechświatowy kult genialnego Korsykanina, vulgo: XIX-wieczna mitologia napoleońska (zaciemniająca wówczas antyczną, a i dzisiaj bardzo żywa) przesunęła punkt ciężkości — teraz mity będą szybko majstrowane na autentycznej kanwie fabularnej i paraautentycznej bądź całkowicie autentycznej kanwie personalnej. Zaczęło się mitologizowanie (idealizowanie tudzież dramatyzowanie) ledwo minionych lub bieżących dziejów. Oraz deifikowanie śmiertelników.

Nierzadko — dramatyzowanie (dodatkowe) fatalnych przypadków albo idealizowanie „złych chłopców”. Tak mitologia epicka XX wieku, jak i personalna — znalazły sobie bohaterów negatywnych, choć tylko pierwsza celowo. Druga szukała

geniuszów i świętych, którzy jednak po „zlustrowaniu” (weryfikacji historiograficznej) okazywali się niezbyt bliskimi ideału, czyli niekoniecznie zasługującymi na hagiografię. Ich tyczy rozdział następny. Ten zaś tyczy mitologii epickiej, w której konkretne personalia — chociaż mogą być obecne — generalnie grają rolę drugorzędą. Taki typ mitologii wylansowały w XX stuleciu literatura (głównie przygodowa, podróżnicza, wojenna i sensacyjna), komiks, film, radio i telewizor. Osia fabuły była zazwyczaj walka ze złem (ze złem upersonifikowanym, lub przynajmniej z wredną dziką naturą bądź z katastrofami czy innymi przeciwnościami losu), gdyż według banalnej prawdy — „zło jest bardziej kolorowe”.

Epos (epopeja) to — definicyjnie — „utwór epicki o charakterze mityczno-dziejowym”, jak również „szereg wydarzeń fabularnych”. Epika, epicka fabuła — znowu definicyjnie — „prezentuje życie bohaterów w tkance społecznej i w fazie historycznej, na tle konfliktów grupowych oraz indywidualnych, nie bez realiów obyczajowych i folklorystycznych, a zdarzeniom (przygodom) towarzyszą przeżycia wewnętrzne (psychologiczne)”. XX wiek stworzył piórami, grafiami, pędzlami, mikrofonami i kamerami liczne epickie mitologie bazujące na gruncie autentycznym, m. in. podróżniczą, wojenną, gangsterską, westernową, tudzież epos walk wschodnich czy mitologię „science fiction”. Wszystkie są fałszywe. Fałsz polega na tym, że notorycznie zwycięża dobro.

W wieku XIX kończono kasowanie geograficznych białych plam grubszego kalibru. Jednak glob wciąż był pełen trudnej do przebycia dziczy, więc egzotyczne podróże miały heroiczny wymiar, zaś literatura podróżnicza stanowiła literaturę przygodowo-sensacyjną. W pierwszej połowie wieku XX należała ona do młodzieżowych bestsellerów i wytworzyła trampowską

mitologię dla kilku generacji — mitologię dzielnego glob-trottera-eksploratora („*obieżyświata*”), co zawsze wychodzi cało z każdej opresji, każdej pułapki ryzykownych szlaków (wyjąwszy szlaki arktyczne i antarktyczne, bo ich tragedie były zbyt częste i zbyt głośne, aby dało się je ukryć). Tymczasem nawet w drugiej połowie XX wieku, przy cywilizacji technicznej dużo bardziej rozwiniętej i przy radykalnym zawężeniu terenów niebezpiecznych — podróżowanie przez dzicz (zwłaszcza bez odpowiedniego rynsztunku i środowiskowych zabezpieczeń) bywa ryzykiem samobójczym. Dokumentalny film o fotografie, który zabłądził w puszczy kanadyjskiej i umarł z głodu, notując przez kilka dni słabnącą ręką swoje męczarnie — był świadectwem prawdy o niefrasobliwym penetrowaniu głąszy.

Mitologia wojenna XX wieku (zwłaszcza lotnicza, podwodniacka i komandoska) ubierała w szatę nowoczesnego rycerstwa agresywną zbrodniczość bądź czarną, regulaminową, wyzbytą romantyzmu harówkę polową defensywnej lub kontr ofensywnej (np. wyzwolicielskiej) młócki. Mitologia gangsterska, zwłaszcza mafijna, z genialnie romantycznym poematem trzech części „**Ojca chrestnego**” na czele — uwznioślała prymitywnych zbirów (notabene FBI stwierdziło, że po obejrzeniu tego filmu bossowie „*cosa nostra*” naśladują zachowanie się Marlona Brando, który grał szefa mafii — tak właśnie działa prawdziwa mitologia). Mitologia walk wschodnich, która uwiodła cały (zwłaszcza młodzieżowy i męski) glob, zaś jej arcykapłanem był Bruce Lee — przekonywała, że mistrz karate czy kung-fu poradzi sobie z każdym wrogiem. Duchową stolicą tej mitologii mianowano chiński klasztor Shaolin, którego mnisi mieli być nauczycielami-wirtuozami wschodnich walk. Podczas „*rewolucji kulturalnej*” Mao-Zedonga chińscy żule („*hunwejbini*”)

weszli do klasztoru Shaolin i kijami przepędzili mnisie bractwo, bo ono nie umiało się bronić.

Największą mitologią epicką wytworzoną przez kulturę XX wieku była mitologia północnoamerykańskiego Dzikiego vel Starego Zachodu — mitologia westernowa („*kowbojsko-indiańska*”). Dzięki piórom Maxa Branda, Zane Greya i spółki, oraz (głównie) dzięki produktom „*made in Hollywood*” — mitologia ta czarowała przez więcej niż pół stulecia cały glob, nie wyłączając Eskimosów i Papuasów. Jako jedyna (prócz napoleońskiej) mitologia nowożytna daje się ona porównać z Nibelungami bądź z epiką bogów i herosów wykreowanych geniuszem Homera. Wojna Secesyjna była Wojną Trojańską westernu, obrona Alamo była obroną Troi i obroną Termopil, a marsz pionierów na Zachód — „*Iliadą*” i „*Odyseją*”. Achillesami i Patroklosami byli autentyczni rewolwerowcy („*Doc*” Holliday, „*Wild Bill*” Hickok, Bat Masterson etc). Honor był honorem, cnota cnotą, odwaga odwagą itp. Wszystko na niby. Większość głośnych „*gunfighterów*” (exemplum Wyatt Earp) lubiła łączyć noszenie gwiazdy szeryfa z uprawianiem bandytyzmu.

Jak każda mitologia wyprodukowana przez XX wiek — mitologia westernowa „*krzepiła serca*” fałszem uczesaniem na prawość, szlachetność, finalny triumf dobra etc. W obu swoich fazach, „*rasistowskiej*” i „*postrasistowskiej*”. Co prawda w każdej fazie idealizowała brudny, cuchnący, bezwzględny i wyzbyty choćby cienia romantyczności świat „*Old Westu*”, nie szczędząc uwznioślającej kosmetyki prymitywnym typom z obu stron barykady prawa (tak szeryfom, jak i bandytom), czy pastuchom krowim (kowbojom) i tanim prostytutkom — lecz wobec konfliktu między białymi a Indianami miała dwie fazy różne. Najpierw długo Indianie grali tylko „*złych dzikusów*”, a biała

hołota kradnąca im tereny łowieckie to byli „dzielni osadnicy”, krzewiciele cywilizacji. Później „polityczna poprawność” odwróciła proporcje — Indianie zamienili się w krzywdzonych permanentnie aniołów. Nikogo nie obchodziło gładzenie historyków, że przed nadejściem „bladych twarzy” Indianie bez ustanku i bez żadnych racjonalnych przyczyn toczyli między sobą krwawe wojny, wyrzynając się wzajemnie li tylko „dla sportu”, i to z okrucieństwem arcsadystycznym (np. owijanie jelit żywego jeńca wokół pnia drzewa). Dla „liberałów” vel „humanistów” Indianin był „dobrym dzikusiem” już od czasu XVIII-wiecznych bredni pana Rousseau, zaś to, że Aztekowie zjadali niemowlęta wrogów i regularnie mordowali dla celów kultowych kilka do kilkunastu tysięcy jeńców (na raz!), wrywając bijące serca z piersi żywych — nikomu nie przeszkadzało.

U schyłku wieku XX mitologia westernowa przygasła, młodzież bowiem woli nowocześniejszą mitologię „science fiction” typu „Wojny gwiazdne” czy „Matrix”, oczywiście też sprzedającą nieuchronność triumfu regulaminowego Dobra nad dużo bardziej fascynującym Złem.

16. KŁAMSTWO MITOLOGII 2 – HEROSY

Heros był u starożytnych Greków bohaterem-półbogiem, czasami wkładanym po śmierci do orszaku bogów. Deifikująca śmiertelników mitologia nowożytna robi to samo.

Idol współczesny, aby stać się bohaterem mitu, musi spełniać jeden prosty warunek: musi być figurą globalną, czyli bóstwem przynajmniej dla połowy globu. Takich figur XX wiek stworzył kilka. Nie licząc, oczywiście, gwiazd filmowych, sportowych czy estradowych. Ich „mitologię” trzeba wszakże pominąć, jest ona bowiem równie głośna co efemeryczna i kończy się (najpóźniej) wraz z kilku(nasto)letnią rocznicą śmierci gwiazdy (kto dziś czci takie świętości, jak przed II Wojną Paavo Nurmi dla świata sportowego, Rudolf Valentino dla pań i Greta Garbo dla panów?; nawet dużo młodsza od nich Marilyn Monroe nie jest już dla dzisiejszego pokolenia archetypem „głupiutkiej blondynki”). Wyjątkami potwierdzającymi regułę (reguła bez wyjątków nie byłaby zdrową regułą) są: w branży filmowej Chaplin (który dał rzecz być może nieśmiertelną — zmitologizowany już i wciąż nie gasnący archetyp współczesnego kłowna), zaś w branży estradowej „król rock’n rolla” Elvis Presley (którego mitologia nie tylko nie gaśnie, lecz z każdym rokiem potężnieje, czego dowodem nieustające masowe pielgrzymki do Memphis i mnożące się „sekty Elvisa” vel „Kościoły Presleytarianów”, gdzie kult przybiera formy stricte religijne).

Jeśli chodzi o figury bardziej serio (spoza branży rozrywkowej) — to mitologia XX wieku ogranicza się do pięciu bóstw (Marks, Darwin, Lenin, Freud i Kennedy), wobec których możemy mówić albo o kulcie globalnym (Darwin, Freud i Kennedy), albo quasi-globalnym (Marks i Lenin). Wszyscy inni „kandydaci” nie spełnili warunków: de Gaulle i Peron byli idolami tylko lokalnymi (Francuz europejskim, Argentyńczyk latynoamerykańskim); Hitlera nawet wśród Niemców, gdzie miał prawdziwy kult, skompromitowały klęski i zbrodnie; Stalina na śmietnik wyrzucił demaskatorski „referat Chruszczowa” (choć w Rosji Stalin ma wciąż tłumy fanów); chiński „kult jednostki” (kult Mao), wyznawany też przez europejskich (głównie francuskich) goszystów — już zgasł; o paru żyjących światowych symbolach trudno mówić, póki czas (XXI wiek) nie zweryfikuje ich rozgłosu.

Było w XX wieku kilku takich, którzy sami sobie budowali mitologię, licząc, że stanie się nieśmiertelna. Exemplum: szef FBI (przez prawie pół wieku!) J. E. Hoover, reklamujący się jako policyjny superman, „bicz na przestępców” (w co opinia publiczna USA długo wierzyła); lub marszałek B.L. Montgomery, reklamowany jako wojskowy superman, który zwyciężył Hitlera. Obu panom udowodniono pośmiertnie wiele klęsk i błędów — Hooverowi kłamliwą autoreklamę, fałszowanie statystyk i zupełne nierozeznanie mafii wskutek jej karygodnego zlekceważenia, a Montgomery’emu brak talentów strategicznych i krwawą katastrofę głośnej operacji „Market Garden” (notabene obu fałszywym herosom udowodniono też pederaście; Hooverowi nawet homo-orgie zbiorowe). A co z „boginiami”? Evita Peron (prosyndykalistyczna filantropka argentyńska, obwieszająca się brylantami za pieniądze ze zbiórek

charytatywnych) — to wyłącznie lokalna świętość; jej kult (niegdyś ekstatyczny) wciąż tli się wśród Argentyńczyków. Diana Spencer („lady Di”, cudzołożna żona brytyjskiego następcy tronu, wielbicielka „tolerancji” rasowo-seksualnej, co przejawiało się upodobaniem do egzotycznych kochanków z Pakistanu, Egiptu itp.) — swą śmiercią w „pijanym samochodzie” wywołała kultową eksplozję funeralnego hołdu wśród milionów przygłupów całego świata, lecz mimo produkowania bluźnierczych statuetek z jej twarzą (à la Matka Boska) — kult zdaje się szybko gasnąć.

Spójrzmy na prawdziwe mity, które oferował nam XX wiek. Teoretyk komunizmu i gospodarki socjalistycznej, Karol Marks, otaczany w mijającym stuleciu na paru kontynentach kultem ideologicznym, także państwowym (póki „marksistowska” doktryna i gospodarka hucznie nie zbankrutowały) — był demagogiem tego rodzaju, jaki współczesny mu Delacroix określał mówiąc: „*Ich gadanie ujawnia cały fałsz płynący z grzesznych łbów. Ten gatunek ludzi to zaraza. Bez skrupułów poświęcają naród dla idei zrodzonych w chorych mózgach*” (1849). Cytat ów pasuje idealnie również do źródłowego praktyka „*dyktatury proletariatu*”, demiurga wszechświatowego komunistycznego kłamstwa i terroru, Władymira I. Lenina, będącego zmumifikowaną (w mauzoleum) ikoną nieprzeliczonych lewicowców świata. Prof. W. Dzwonkowski, który uznał Stalina „*typem patologicznym o nieznannej psychiatrom chorobie*” — mózgiem Lenina szerzej się zajął, nazywając bolszewizm „*próbą straszliwego eksperymentu, który wyklął się z chorego mózgu w kałmuckiej czaszce Lenina i który nie wiadomo dokąd zaprowadzi*” (1934). Dziś już znamy odpowiedź. Eksperyment zaprowadził do nienaturalnego zużycia około stu milionów świnek morskich na terenie globalnego laboratorium

komunizmu.

Polityczną ikoną dla wszelakich „liberałów” (zwłaszcza socliberałów), „humanistów” i młodzieży zwyczajowo polityków nie-nawidzącej, stał się w drugiej połowie XX wieku młody, tragicznie zmarły prezydent USA, John Fitzgerald Kennedy. Personifikował wieczną tęsknotę do przywódcy czystego, szlachetnego, kryształowego — za takiego uchodził. Deifikująca go wszechświatowa mitologia była klasyczną baśnią o niepokałanym rycerzu, zdławionym przez ciemne moce Zła tej Ziemi. Musiało minąć sporo lat, nim historycy odważyli się ujawniać prawdę na temat Kennedy’ego. Dziś wiadomo, że był fatalnym politykiem, jednym z najgorszych amerykańskich prezydentów, wybranym minimalną przewagą głosów tylko dzięki aktywnej pomocy mafii (z którą od dawna współpracował jego ojciec), nadto patologicznym dwulicowcem, notorycznym dziwkarzem (za czasów prezydentury m.in. wspólna metresa z szefem „*cosa nostra*”) i erotomanem, który gustował w zwyrodnieniu. Mentalnym „wdowom po Kennedy’u”, jakże liczny wciąż na świecie, dedykuję fragment wspomnień jego bliskiego kumpla, G. Vidala: „*Ochroniarze brali dziewczynę do łazienki, wpychali jej głowę do pełnej wanny, pod wodę, i trzymali ją, a on walił od tyłu*” (1996). Główną swą klęskę polityczno-militarną („*Zatoka Świń*”) Kennedy zrzucił na szefa CIA, Dullesa, a triumf Ameryki podczas „*kubańskiego kryzysu rakietowego*” przypisał swej odwadze, chociaż zawdzięczał go wyłącznie informacji dostarczonej przez rosyjskiego pułkownika, szpiega O. Pieńkowskiego. Zginął wskutek uwikłań w gry mafijne (niespłacony dług wyborczy) i kontrmafijne (działalność jego brata na stanowisku generalnego prokuratora).

Wśród uczonych Einstein, chociaż był i jest przedmiotem

swoistego kultu (i chociaż został właśnie mianowany u Amerykanów „*symbolem stulecia*”) — nie otrzymał mitologii „*boskiej*” (podobnie jak największy geniusz sztuki XX wieku, bardzo popularny, lecz nie zmitologizowany Picasso; to już automitologista Dali bliższy był mitologicznego zdeifikowania). Darwin dostał „*darwinizm*”, ekscytujący ludzkość zwłaszcza w pierwszej połowie XX wieku hasłem „*człowiek pochodzi od małpy*”, i antagonizujący naukowców lukami tudzież mankamentami tezy (błędami, nedoróbkami etc). Wprawdzie nikt poważny (nawet Kościół) nie kwestionuje dzisiaj, że gatunki ulegały ewolucji, jednak teorie Darwina i neodarwinistów względem sposobu ewoluowania (zwłaszcza w fazach pierwotnych) mają się raczej kiepsko. Jak pisał Ch. Booker na łamach prestiżowego tygodnika „**Time**”: „*Ironią losu jest, że książka Darwina, która stała się sławna dzięki temu, iż wyjaśniała pochodzenie gatunków — wcale tego nie wyjaśniała. Jakikolwiek byłyby zasługi pracy Darwina — nie wyjaśniała ona wciąż bardzo tajemniczych procesów, w czasie których dana żywa forma rozwija się, przekraczając barierę powstawania zupełnie nowego gatunku, niezdolnego już do krzyżowania się z członkami gatunku wyjściowego (...)* Prawda jest taka, że sto lat po śmierci Darwina nie umiemy objaśnić choćby trochę wiarygodnie, jak rzeczywiście przebiegał proces ewolucji, co mnoży liczbę tyjących tego zagadnienia sporów (...) Wbrew rozlicznym dywagacjom — nie wiemy, jak życie na Ziemi rozwijało się od prostych do skomplikowanych form. I być może nigdy nie będziemy mieć o tym pojęcia” (1982).

Znacznie większą mitologią niż tezy Charlesa Darwina obrosła doktryna Sigmunda Freuda („*freudyzm*”), dzięki światowej karierze „*teorii snów*” i psychoanalizy. Mimo że już w pierwszej połowie XX wieku uderzyła ją krytyka (zarzucano Freudowi

słusznie: skrajny biologizm, demonizowanie popędów, lekceważenie czynników socjologicznych, bezczelne fałszowanie eksperymentów itp.) — mitologia ta stała się jednym z ważniejszych fenomenów stulecia mijającego, oddziaływując na medycynę, kulturę, sztukę, terapię, filozofię, świadomość publiczną itd. Jej blask nie przygasł nawet wtedy, gdy w drugiej połowie stulecia Freudowi dowiedziono mnóstwa naukowych oszustw i zwykłych bzdur. Wielu światowej renomy uczonych (lekarzy, psychiatrów, biologów i socjologów) — Sulloway, Fleming, Masson, Eschenröder, Benesch, Hemminger, Strachey, Szasz i in. — udowodniło, że psychoanaliza jest doktryną i praktyką szarlatańską, vulgo: że terapia psychoanalityczna to absurd. Brytyjski biolog, noblista Medawar, określił tę doktrynę jako „*najstraszliwsze hochsztaplerstwo XX wieku*” ; inny noblista, wielki Austriak Hayek, jako „*najszkodliwszy zabobon XX wieku*”; a niemiecki biolog Hemminger stwierdził, że cała freudowska „*teoria snów*”, psychologia i charakterologia to urojenia — „*interpretacje o wartości zabawnych bajeczek zdolnego dziadziunia*”. Masson, sam zresztą były psychoanalityk, nazywa to wszystko „*kolosalnym łgarstwem*”.

Każda mitologia jest kolosalnym łgarstwem lub nie jest mitologią, zatem nie mamy wyboru. Problem w tym, czy dana mitologia jest pożyteczna, czy neutralna, czy raczej szkodliwa. I tu nasuwa się puentująca mądrość: każda epoka tworzy takie mity, na jakie zasługuje.

17. KŁAMSTWO KULTURY

Rozwój kultury, ewolucja kultury, postęp kultury — ta motoryczna siła kultury funkcjonowała nieprzerwanie od wieków, aż do drugiej połowy stulecia XX, czyli do schyłku drugiego tysiąclecia po Chrystusie. Style goniły style, nurty rodziły nurty, i wszystko to było pełne blasku, więc nikt nie spodziewał się regresu. Nie ma śladów kryzysu jeszcze w pierwszej połowie wieku mijającego, opromienionej fenomenalną poezją (Rilke, Eliot, Auden itd.), literaturą (Joyce, Babel, Saint-Exupéry itd.), architekturą (Wright, Le Corbusier, Aalto itd.), sztuką (Picasso, Magritte, Moore itd.), filozofią (Husserl, Heidegger, Popper itd.), muzyką (Ravel, Strawinski, Gershwin itd.), etc. A później wszystko sparszywiało. Lewaccy propagandziści nie zaprzestali co prawda dudnić, iż „*postmodernistyczna*” awangarda ostatnich dekad stulecia jest właśnie kolejnym szczyblem kulturowego rozwoju, ale to tylko kolejne wielkie kłamstwo tych ludzi. Na całym świecie słychać już odmienne głosy — głosy pełne niepokoju, czy wręcz żalu; coraz większa liczba autentycznych humanistów wyraża opinię, iż — jak to ujął socjolog J. Wocial — „*Jesteśmy świadkami procesu zanikania ciągłości kultury, obserwujemy przerwanie tej ciągłości. Kultura zdaje się wygasać, jej znaki przestają być czytelne*” (1997).

„*Znaki kultury*” to jej produkty — obrazy, filmy, książki, rzeźby, teatr, muzyka etc. Ale również przejawy kultury obyczajowej. Ta druga szybko chamieje pod wpływem „*masowej kultury*”, której głównym sprzedawcą (pedagogiem) został telewizor; ta pierwsza, kultura twórcza, zdegenerowała się wskutek ofensywy „*kontrkultury*”. Dramaturg E. Bond nazwał to bez

ogródek: „*Żyjemy w erze postkultury. Mówi się o «postmodernizmie», ale właściwym słowem jest postkultura*” (1994).

Dla milionów ludzi świadectwem „postkultury” były koszmarnie totalitaryzmy XX wieku. Ludobójstwa Gułagu i Holocaustu sprawiły, że niejeden człowiek miał prawo myśleć o kulturze Niemców per Obersturmbahnführer Goethe, a o kulturze Rosjan per komisar Puszkin. Jednak kiedy ta trauma minęła (a wraz z nią mega-kicze „sztuki III Rzeszy” i „Socrealizmu”) — okazało się, że prawdziwie (dogłębnie) zagraża kulturze inny, nie polityczny, lecz trwalszy, bo intelektualno-duchowy totalitaryzm: terror pseudopostępu, pseudotolerancji, pseudonowoczesności, czyli „kontrkulturowa” propaganda lewaków i libertynów, którzy mianowali się skutecznie „arbitrami elegancji” współczesnego świata. Mają tytuły „autorytetów” i klientelę dwojakiego rodzaju. Pierwszym jest charakterystyczny dla drugiej połowy wieku XX ćwierćinteligent (bezrefleksyjny niedouczek, który uważa się za inteligenta, bo czyta, ogląda i „dyskutuje” przy kawiarnianym stoliku lub przy imieninowym drinku w kręgu takich samych zlewicowanych mentalnie ludzi; wszystko, co „autorytet” wkłada mu do głowy — „inteligent” traktuje jako prawdę objawioną). Drugim zaś rodzajem baraniej klienteli lewaków jest tzw. „szary odbiorca”, który ulega syrenim śpiewom modotwórczej loży farmazonów budujących w mediach drogowskazy smaku artystycznego, lansujących werdykty katechetyczne dla publiki, kształtujących nie autentyczny zbiorowy gust, lecz gust regulaminowy, „politycznie poprawny”, czyli kulturowe prawo.

Ile wart jest „profesjonalizm” „postmodernistycznych” kręgów opiniotwórczych, wszystkich tych kulturowych „ekspertów” i propagandzistów, świadczy choćby taki fakt: znany krytyk i

kolekcjoner, B.H. Feddersen, urządził w galerii we Frankfurcie nad Menem wernisaż prac odkrytej przez niego awangardowej japońskiej malarki Yamasaki. Po kilku dniach wszystkie dzieła Japonki były sprzedane, a prasa drukowała entuzjastyczne recenzje krytyków. Wówczas Feddersen ujawnił, że obrazy te są produktami szympansicy Berbelchen z cyrku „Williams”. On tylko dostarczył jej pędzel i farby, a małpa w ciągu trzech godzin stworzyła dwieście „wybitnych dzieł”. Prawie trzydzieści lat później (1998) jeden z czołowych amerykańskich koneserów kupił w nowojorskiej galerii dzieło namalowane przez tajlandzkiego słonia, bo wziął je za wybitną pracę głośnego ekspresjonisty-neofiguracjonisty de Kooninga. Tacy ludzie są dyrygentami i jurorami „postmodernizmu”.

A.D. 1975 opublikowałem tłumaczony później na wiele języków esej pt. „**Quo vadis ars?**” („**Gdzie zmierzasz sztuko?**”), pełen drastycznych (obscenicznych, bluźnierczych itp.) przykładów patologizacji sztuki. Już wtedy było oczywiste, że farmazoni ustalający „postmodernistyczne” gusta mianują sztuką wszystko co tylko trafia do galerii przez ekscentryzm, tchórzostwo lub prowokacyjny humor „galerników” (F. Schuller: „*Wszystko się dziś zżera, co tylko zostaje wystawione*”; G. Sello: „*W galeriach i muzeach walają się przedmioty zwane sztuką jedynie dlatego, że znajdują się tutaj, a nie gdzie indziej*”). Do końca stulecia sytuacja się zmieniła — pogorszyła. Swoistym symbolem, głośnym na cały świat probierzem triumfu sztuki patologicznej, stał się proces między władzami Nowego Jorku a Brooklińskim Muzeum Sztuki o dotację z kasy miasta. Sąd federalny zawyrokował, że burmistrz musi finansować muzeum (cytuje werdykt) „*nawet gdy wystawia ono przedmioty jego zdaniem obsceniczne, obrażające uczucia religijne, nacechowane agresją, chore, obrzydliwe i*

pełne nienawiści” (1999). Muzeum wystawia m.in. figury przedszkolnych dziewcząt z genitaliami na buziach; Madonnę, której biust tworzą ekskrementy, itp. Protektorem ekspozycji jest Narodowa Fundacja Sztuki, głośna dzięki lansowaniu „Szczykowego Chrystusa” mistrza A. Serrano (krzyż w moczu) i „Pierdzącego bata” mistrza R. Maplethorpe’a (pejcz w odbycie). Rację miał J. Clair (szef Centrum Pompidou, a później dyrektor Muzeum Picassa), gdy mówił: „Dzisiejsza awangarda jest destrukcją. Destrukcją gromadzonego przez stulecia potencjału” (1992).

Niszczenie kultury i tradycji rękami „kontrkulturowców” było wyraźnie synchronizowane z dezawuowaniem katolicyzmu, czyli głównego obrońcy tradycji kulturowej (T. S. Eliot: „Jeżeli zniknie chrześcijaństwo — zniknie cała kultura”, 1946). Wiodącym medium tego procederu stał się telewizor. „Le Figaro” (tzw. „artykuł redakcyjny”): „Wśród czynników determinujących dzisiejsze życie intelektualne, pierwsze miejsce przypada straszliwej machinie telewizji, która likwiduje odstęp między myśleniem a propagandą” (1997). Dzięki telewizji niektórzy (zdecydowana mniejszość) mogą poznać przyrodę, sztukę, egzotykę, cały świat bez ruszania się z domu, ale dzięki tym samym ekranom „życie intelektualne” znacznej większości mieszkańców globu sprowadza się do codziennego absorbowania — prócz wodnistej papki publicystycznej (tu kran i ekran niewiele się różnią) — krwawych jatek, erotycznych macanek, sercowych bajek „dla kucharek” (vulgo: cikliwych tasiemców zwanych „operami mydlanymi”) i pseudokomedioowych „sitcomów” dla zupełnych kretynów, gdzie bohaterami są również kliniczni debile, a producenci tego główna wskazują telewidzom, w którym miejscu trzeba się śmiać. „Sitcomy” — z ich humorem na poziomie „wiców” piłkar-

skiego kibica, bywalca pijackich melin („menela”) lub bazarowego handlarza „disco-polo”; z żarcikami niezbyt się różniącymi od dialogu koszarowego i od graffiti klozetowego — stanowią międzynarodowy symbol poziomu kultury u jej przeciętnego zjadacza w końcu XX wieku. Do tego dojechaliśmy po stu latach obowiązkowej szkoły.

Siłą lewackiej „kontrkultury” i libertyńskiej „kultury masowej” są — rzecz jasna — nie tylko prostackie upodobania milionów teległupków, ale i pieniądze. Lewica dysponuje gigantycznymi funduszami „różowych” sponsorów (miliarderzy Soros, Turner itp.) tudzież socjalistycznych bądź krypto-socjalistycznych (ergo: socliberalnych) rządów wielu bogatych państw. Media świata zachodniego są w większości lewicowe. Dlatego tak łatwo jest ogłupiać i deprawować ludzkość subkulturą totalnego permissywizmu, i jednocześnie promować szumowiny na idoli, na ulubieńców elit, na gwiazdy kultury XX wieku. Vide „genialny Pasolini”. Zwyródniałego pedała o „inteligencji i talencie rozlepiacza afiszów” (A. Rinaldini 1995) lewicowi iluzjonści wylansowali na geniusza, bo był równocześnie marksistą i homoseksualistą. Jego filmów nijak nie da się oglądać, jego literatury nie można czytać (exemplum powieść „Nafta”, której bohater, Carlo, cały czas zajmuje się świadczeniem usług oralnych swym męskim partnerom) — wszystko to były produkcje obleśne, skatologiczne, w najlepszym razie tandetne, nigdy artystyczne. Lecz europejscy dyrygenci snobistycznego gustu wzniecili kult „wielkiego Pasoliniego”. Inne włoskie beztalencie, estradowy pajac Dario Fo, otrzymał.. literackiego Nobla (!) tylko dlatego, że jest komunistą wojującym. W ostatniej dekadzie wieku Szwedzka Akademia przyznająca tę nagrodę zupełnie zrzuciła maskę, fundując laury i czeki wyłącznie lewicow-

com — socjalistom, goszystem, komunistom i eks-stalinistom. Wcześniej miała więcej wstydu — zaledwie dwa na trzy literackie Noble szły dla lewicy.

Picasso, nim umarł (1973), rzekł z dezaprobatą: „Sztukę współczesną spycha do kresu przyzwolenie absolutne”. Całą kulturę współczesną spycha do rowu przyzwolenie absolutne — leseferyzm, permissywizm, tolerancjonizm, czy jak go tam zwał. Zgoda na każdą hańbę, głupotę i zbrodnię, na każdy fałsz i każdą obrzydliwość — na pornografię, którą globalnie upowszechniono niczym hamburgery; na „polityczną poprawność” (czyli na lewicowy terror), która zabrania cenić sztukę Renesansu wyżej niż sztukę Dahomeju; na budowanie urokliwych pomników zbirom („Ojciec chrzestny”, „Leon zawodowiec” itp.); na lubieżne bluźnierstwa jako „performance” lub „instalacje”; na bohomyzy jako obrazy; na cały cuchnący bełkot „kontrkultury”.

Czy to, co nam sprzedają jako kulturę, to jeszcze kultura? Tak — kultura barbarzyńska. Zataczamy koło.

18. KŁAMSTWO SPORTU

W sporcie niewątpliwie najważniejszym — w zapasach mocarstwowych — bezapelacyjnym zwycięzcą wieku XX zostały Stany Zjednoczone. Ich muskulatura oraz kultura podbiły świat. Tylko ich ulubiona dziedzina wyczynowej „kultury fizycznej” — baseball — musiała się zadowolić prymatem lokalnym, bo europejsko-południowoamerykańska piłka nożna zdominowała krągły jak ona sama glob. Tyle wstępu; reszta będzie o kłamcach.

W stuleciu wyemancypowanych heter i szczwanych nabieraczy długo reklamowano sport jako ostatnią dziewicę — jako jedyny azyl rycerskości i zdrowia tudzież dziedzinę szlacheckiego (nie krwawego, nie wojennego) dążenia do triumfu drogą walki. Okazał się takim samym szalbierstwem jak wszystko.

Wśród haseł XX wieku hasło „Sport to zdrowie!” było chyba najpopularniejsze. Jednak tylko sport rekreacyjny, i to bardzo umiarkowany, stymulował prawidłowo ludzką „tężyzną fizyczną”, pomagając zdrowiu, gdy wszystkie inne rodzaje sportu, czyli prawdziwe sporty (intensywny amatorski, wyczynowo-półzawodowy, całkowicie profesjonalny) były fabryką kalek, monstrów i przedwczesnych trupów, oraz — za sprawą chemikaliów dopingujących — wylęgarnią degeneracji płciowej (u kobiet sięgającej hermafrodytyzmu). Dla milionów młodych obywateli XX wieku (zwłaszcza drugiej jego połowy) szybka utrata zdrowia okazywała się ceną mistrzowskich medali i pucharów, zaś dużo częściej — ceną samego wysiłku przedstartowego nie uwieńczonego laurami czy choćby szansami boju o mistrzostwo. Symbolem (aż się prosi, by rzec brzydko: komicz-

nym) jest fakt, iż Amerykanin, który wynalazł „jogging” dla poprawiania grubasom, sztywniakom oraz leniuchom zdrowia, dla „rozprostowania kości” i uelastyczniania mięśni bliźniego swego, dla korygowania ludziom krążenia, dla zwiększania wytrzymałości, wydolności i odporności ludzkich organizmów — zmarł w wieku 52 lat wskutek uprawiania „joggingu” regularnie. „Sport to zdrowie!”.

Sport jako gra wyczynowa i metoda szlachetnej walki był już popularny w Antyku. Nowożytność długo preferowała wojny zamiast olimpiad, i dopiero przy samym końcu XIX stulecia (1896) wskrzesiła igrzyska olimpijskie. Wiek XX stał się pierwszym nowożytnym wiekiem sportu jako fenomenu powszechnego, uprawianego i oklaskiwanego na całym globie, pasjonującego całą ludzkość, a liczbę dyscyplin sportowych multiplikowano tak szczerze, iż dzisiaj kobiety profesjonalnie uprawiają zapasy i boks, dźwigają ciężary, „dmuchają” sobie bicepsy (kulturystyka damska) i kopią piłkę futbolową. Startowano amatorskim; później amatorskim współistniało z zawodowym; dzisiaj sport amatorski uprawiany bywa jeszcze w przedszkolach i szkołach podstawowych. Obecny sport wyczynowy to grube pieniądze, a tam gdzie można robić grube pieniądze — tam rządzą wyłącznie grube pieniądze, nie zaś reklamowane cnoty bądź ideały. Reklama sportu jako oazy prawości jest przeznaczona dla masy naiwnych i głupców. Masa winna kupować dużo biletów i gadżetów (klubowych, mundialowych itp.). Równocześnie reklama sportu jako panaceum jest przeznaczona dla klientów przemysłu sportowego (sprzęt, buty, ubrania itp.).

Główne grzechy i kłamstwa sportu wyszły na jaw rażąco dopiero w drugiej połowie XX stulecia. Już w pierwszej prag-

nienie osiągania wyników bliskich granicy możliwości organizmu ludzkiego stawało się przyczyną tragedii (śmierci i kalectw), przetrenowania niweczyły długofalowy cykl ćwiczeń, istniała korupcja sportowa, funkcjonowały prymitywne (wobec dzisiejszych) formy niedozwolonego dopingowania, a głośnym sportowcom wlepiano ciężkie kary (exemplum: sławny fiński biegacz długodystansowy, P. Nurmi, któremu wystawiono pomnik za życia i któremu w 1932 roku karnie odebrano status amatora) — lecz było to tylko preludium sportowych skandali i „przekrętów” połowy drugiej. Dzisiaj już można orzec bez wątpliwości, że sport plasuje się pośród najbardziej korupcjogennych dziedzin aktywności człowieka. Można również stwierdzić, iż prócz korupcji wypaczającej rezultaty zmagania — dwie zasadnicze hańby owej dziedziny to: trwający kilka dekad polityczny kabaret profesjonalnego sportu komunistycznego udającego amatorskim (hańba już historyczna) i doping degenerujący nie tylko żywe organizmy, lecz i tabele medalowe sportowców (hańba wciąż aktualna).

Twardy podział na zawodowców (sportowców oficjalnie płatnych, nie mających praw uczestniczenia w olimpiadach, mistrzostwach etc.) i na amatorów (ludzi nie czerpiących pieniędzy z uprawiania sportu) — zawsze był fikcją; początkowo niegroźną, później stopniowo wyrodniewającą ku zupełnej aberracji. Tworząca fundament idei olimpijskiej koncepcja amatorskiego purystycznego brzmiała bardzo szlachetnie, ale stanowiła czyste marzycielstwo. Takie amatorskim nigdy nie istniało, bohaterowie starożytnych olimpiad zdobywali dzięki zwycięstwom nie tylko laury, lecz i fortuny. Zaś tak zwane amatorskim XX wieku nie było niczym innym, jak kryptozawodowstwem, więc karanie pechowców („amatorów” przyłapanych na braniu

pieniędzy) stanowiło niesprawiedliwość. Jeszcze większą niesprawiedliwość stanowiło eliminowanie zachodnich profesjonalistów z olimpiad, z mistrzostw Europy, Ameryki lub świata, dzięki czemu komunistyczni profesjonaliści, udający bezczelnie amatorów, zdobywali worki trofeów. Właśnie przez to kroniki sportowe (głównie kroniki lat 1945-1990) — pełne triumfów i medali sportu sowieckiego, KDL-owskiego, chińskiego, kubańskiego itd. — są tylko rejestrami wielkiego hochsztaplerstwa. Głośny gest A. Brundage'a (przewodniczącego Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego), który za reklamowanie czegoś nie dopuścił sławnego austriackiego narciarza, K. Schranza, do olimpiady japońskiej (1972) — był gestem faryzeusza, bo Brundage miał świadomość, iż Schranz nie jest bardziej winny od kolegów i konkurentów. Dopiero dwadzieścia lat później (1992) zezwolono pierwszym profesjonalistom (koszykarzom i tenisistom) wziąć udział w olimpiadzie.

Analogicznym faryzeuszostwem była toczona prawie całą drugą połowę XX w. (i dalej toczona) walka przeciw dopingowi. Tak jak w sferze militarnej każde zwiększenie siły pocisku determinuje zwiększanie odporności (grubości, twardości) pancerza — tak w wojnie z „koksem” każde usprawnienie środków demaskujących powodowało ulepszanie (zwiększanie niewykrywalności) środków dopingujących. W tej zabawie rej wiodły przez kilka dekad komunistyczne Niemcy (NRD), bo pragnąc zdobyć międzynarodowy autorytet (gdy wiele rządów formalnie nie uznawało tego państwa) — stworzyły cały specjalistyczny dział nauki, medycyny i farmacji (tajny „przemysł dopingu”), dzięki czemu NRD-owscy sportowcy robili furorę (i złoto) na wszystkich (także olimpijskich) arenach, a sportsmenki NRD-owskie musiały przed zawodami

golić wasy i brody (testosteron). „Kiwany” tą metodą świat kapitalistyczny poszedł wreszcie po rozum do mózgu i wytworzył konkurencyjny przemysł „szprycowniczy”, co utrudniło NRD-owcom triumfy masowe.

W latach 80-ych bez dopingu nie praktykowano już sportu wyczynowego, a walka z dopingiem była grą hazardową, czyli festiwalem niesprawiedliwości. Co trwa po dziś dzień. Sześć lat temu mówiłem dla „**Sportu**” katowickiego: *„Istnieje tylko jeden sposób — akceptacja dopingu. Doping budzi moje obrzydzenie, lecz jeszcze większe obrzydzenie budzi we mnie wszelka niesprawiedliwość. A obecnie walka z dopingiem to loteria, gdzie wszyscy zawodnicy grają, i większość wygrywa, wpadają nieliczni głupcy i pechowcy. Cały sport jedzie na dopingu, więc albo trzeba to usankcjonować, albo zlikwidować wyczynowość, inaczej będzie to zawsze ceremonia z kosztami ofiarnymi (...) Żadne kary nie zlikwidują dopingu, są one tylko wyzwaniem dla tajnego przemysłu farmaceutycznego. Chcą się «koksować», niech się «koksują», każdy na własny rachunek zdrowotny, to w końcu dorośli ludzie. Panie, wybacz im, bo świetnie wiedzą co czynią”*.

Również łapówkarze świetnie wiedzą co czynią. Współczesny sport jest tak przeżarty korupcją, iż sędziowie sportowi stali się — obok celników — synonimami łapownictwa. Do mniej więcej połowy wieku symbolicznym dla tego procederu był świat zawodowego boksu w USA, gdzie mafia „ustawiała” wyniki walk notorycznie. Później symbolem sportowego przekupstwa został najpopularniejszy wyczyn globu — futbol. Czołowe ligi piłkarskie (włoska, niemiecka, angielska, hiszpańska, węgierska i in.) wstrząsane były nie raz mega-afetami korupcyjnymi. Łebski kibic wie dzisiaj, że kupić można każdego piłkarza i każdego sędziego, że robi się to bardzo często na

całym świecie, że wszystkie ligi mają gros „ustawionych” meczów, zaś wyjątki to (prócz meczów towarzyskich) mecz finałowy mistrzostw świata czy mistrzostw kontynentu, choć i tu bywały już podejrzenia i „numery” bulwersujące bardzo. Pieniądz rządzi nie tylko światem, ale i sportem. Legendarne splecione „kółka olimpijskie” (herb olimpiad) jawią się dziś zerami na kontach „robiących w sporcie” magików.

Sport miał m. in. pacyfikować wrodzoną agresywność gatunku ludzkiego — miał być silnym, skutecznym ersatzem wojen. I stał się silny — został gigantem, jednym z tych zjawisk, które zyskały w XX wieku rangę pierwszorzędą — lecz nie uchronił Ziemi od ludobójstw. Sam zresztą produkuje czasami krwawe łaźnie na trybunach stadionów (wtedy ofiary śmiertelne liczy się w dziesiątkach), a wandalskie rozruchy produkuje rutynowo. Wszystko to ma z przyzwoitością tyle wspólnego, ile fakt, że przeciętny kopacz piłki zarabia sto (lub tysiąc) razy więcej niż wybitny uczony. Cóż — bez nauki idzie wytrzymać. Ale bez „chleba i igrzysk” nie daj Boże!

„Fakt prasowy”

(termin współczesny, wywiedziony z werdyktu prof. B. Geremka, według którego kłamstwo opublikowane stanowi prawdę faktyczną)

część II

POLSKA

*„Nałogi ludzi kłamliwych są bezecne,
sromota iest z nimi bez przestanku”*

„ELEMENTARZ DLA MŁODZIEŻY
POLSKIEJ”, Warszawa 1831

1. KŁAMSTWO POSTĘPU

Postęp jest: mogę opublikować tę książkę bez przeszkód. Nie bezkarnie, gdyż zostaną za nią ukrzyżowani gwoździami lewaków, ale dopiero wtedy, gdy będzie już ona własnością Czytelników, co przed rokiem 1990 byłoby niemożliwością nad Wisłą. Dla mnie to jest postęp.

Dla innych (dla ilu innych?) postęp to „Big Mac” do jedzenia, Daewoo do jeżdżenia, Agencja Towarzyska do je..nia i „shop” zamiast sklepu. Lecz to wszystko jest liche kłamstwo. Postępu technicznego (wibratory i komputery) mamy stosunkowo dużo. Autentycznego postępu cywilizacyjnego i kulturowego mamy niewiele, prawie wcale.

Między dwiema Wojnami Światowymi robiliśmy co można, by gonić naukowo-techniczny postęp świata. Między końcem II Wojny Światowej a końcem PRL-u robiliśmy co nam kazały kuranty kremlowskie (Stalin, Chruszczow, Breżniew i dalsza swolocz), więc względem postępu cofnęliśmy się mocno ku epoce łupanego kamienia. Przez ostatnią dekadę stulecia (III Rzeczpospolita) gorliwie nadrabialiśmy stracony czas i dystans, ale to potrwa jeszcze bardzo długo. Sytuacja jest taka, że polska nauka, technika, medycyna itp. są (wobec tych samych dziedzin w krajach rozwiniętych) na szczyblu cywilizacji prymitywnej. Resumując: fata sprawiły, że stulecie kolosalnego postępu materialnego nie było łaskawe dla Lechitów — postęp nas oszukał. Dokładniej : oszukali nas komuniści wmawiający społeczeństwu przez pół wieku, iż tzw. „Polska Rzeczpospolita Ludowa” oferuje „ludowi” postęp pierwszorzędnego gatunku. Gdy wiele krajów biegło do przodu — my staliśmy w miejscu,

czyli pełzliśmy do tyłu, uprawiając „dalszy dynamiczny rozwój dla dobra socjalistycznej ojczyzny”.

Finałowa dekada tysiąclecia to dziesięć lat Polski „wyzwolonej” rzekomo z kajdanów komunizmu, z chomąta „socjalistycznej gospodarki” itp. Jednak krajem rządzi komunistyczny prezydent; wielkimi przedsiębiorstwami, bankami, telewizją, radiem tudzież administracją prowincjonalną rządzi dalej komunistyczna nomenklatura, zaś jej gwiazdy łatwo zdobywają również centralną władzę — więc gdzie tu polityczny postęp? Gospodarka PRL-u stała na głowie i gospodarka III Rzeczypospolitej również stoi na głowie (mega-afer finansowych i „przekrętów” jest w niej nawet więcej). Że co — że można swobodnie wymienić dolara na złotówkę wewnątrz kantoru? Wymieniamy go u tego samego cinkciarza-esbeka, u którego swobodnie wymienialiśmy za komuny wewnątrz bramy banku, a który po roku 1989 otworzył kantor; postęp jest więc tutaj wyłącznie lokalowy, gdy miód spija to samo bractwo „firmowe”. „Firma” się trzyma.

Chwilowe rządy retorycznych „antykommunistów” vel „prawicowców” (czyli solidarnościowców, zetchaenowców, eskaelowców itp.) także przyniosły antypostęp w wielu dziedzinach, z czego najboleśniejszy jest dla „ludu” nie tylko brak komfortu socjalnego (bezrobocie), lecz i drastyczny spadek publicznego bezpieczeństwa. Im bardziej rósł bandytyzm — im bardziej wzrastała liczba mordów, napadów, gwałtów, pobić, skatowań i dowolnego sadyzmu — tym bardziej wszystkie rządy po roku 1989 (i czerwone, i antyczerwone) łagodziły sankcje przeciwko zbrodniarzom, gwizdząc na swoje obietnice wyborcze i na terroryzowane bandytyzmem społeczeństwo. Prawdziwy postęp obserwujemy tylko w dziedzinie motoryzacji, gdzie lawino-

wo rośnie liczba nowoczesnych samochodów prowadzonych przez bezkarnie pijanych kierowców po sieci drogowej nie naprawianej i nie rozbudowywanej od ery „socjalizmu realnego”. Droga jest dalej ta sama — czerwona.

Drogę globalną wyznacza postęp elektroniki — komputery, ekrany, „myszy” i „piloty” rządzą światem. Kłamstwo, które dotknie nas tutaj (już w ostatniej dekadzie wieku dotknęło mocno), jest tym samym handicapem dla półgłówków, jaki niepowstrzymanie otrzymuje cały glob ziemski. System tradycyjny miał taki cykl: babcia, tato, wujek lub inny członek rodu czytał dziecku bajeczkę, później dziecko brało do ręki elementarz, jeszcze później samo czytało bajeczkę, by wreszcie jako człek gramotny sięgać po księgi dające wiedzę i kulturę, czyli inteligencję erudycyjną oraz refleksyjną. Dzisiaj nie musi umieć czytać — musi tylko umieć naciskać klawisze komputerowe. Wysiłek intelektualny zostaje zastąpiony manualnym; książeczka z bajeczką — bajeczką na kasecie wideo; księga z mądrością — tekstem lub obrazkiem na ekranie. Formalnie (tak się mówi) można przeczytać wyświetloną na ekranie powieść Prousta lub „Jesień Średniowiecza” Huizingi. Ale nie wmawiajcie mi, że ludziom będzie się chciało czytać z ekranu wszystko to, co czytali z zadrukowanych stron papieru. Ten postęp przyniesie „wtórny analfabetyzm”, vulgo: trochę bardziej ogłupi ludzkość, zmniejszając liczbę inteligentów i humanistów.

2. KŁAMSTWO EWOLUCJI

Przez pierwsze dziesięć lat po II Wojnie Światowej naj-mądrzejsi i najślawniejsi z Polaków tłumaczyli reszcie Polaków, że ewolucja gatunku ludzkiego została w XX wieku zakończona, a jej ukoronowaniem — szczytem, którego już przekroczyć nie można — są dwaj „ludzie radzieccy”, Lenin i Stalin. Jak każda teza naukowa — ta również spotkała się z polemiką. Bystrzejsze bowiem grono koryfeuszy nadwiślańskich stwierdziło, iż Lenin oraz Stalin przeskoczyli tradycyjną darwinowską ewolucję (od małpy do geniusza), stając się pierworódcami nowego gatunku, lepszego niż zwyczajna ludzkość. W. Szymborska (późniejsza noblistka właśnie za to) ogłosiła Lenina „Adamem nowego człowieczeństwa”. S. Dygat tak pisał o Stalinie w imieniu „nowego człowieczeństwa”: „Stalin dał nam życie”. Potwierdził to inny badacz, T. Breza: „My wszyscy z Niego”. Inni — obaj Brandysowie, Lec, Ważyk, Przyboś, Gałczyński, Broniewski, Andrzejewski, Woroszyłski, Ficowski, Międzyrzecki, Konwicki, Marianowicz, Broszkiewicz, Iwaszkiewicz, Kulisiwicz e tutti quanti — wykrzykiwali najbardziej blaskomiotne hasła i najbardziej czołobitne chwalby dla deifikowania owego (dubeltowego) triumfu ewolucji biologicznej. Mimo takich hołdowniczych chórów — z upływem czasu teza „się rypla”.

A cóż możemy dzisiaj rzec o ewolucji? W ogóle nie musimy o niej gadać. Starczy popatrzeć na jednego z czcigodniejszych obywateli Rzeczypospolitej, J. Urbana (szef tygodnika bijącego rekordy popularności, przyjaciel A. Michnika będącego wielkim „autorytetem moralnym”, persona uświetniająca wszelkie spedy towarzyskie) — by zrozumieć, jaki jest etap ewolucji bio-

logicznej gatunku nad Wisłą. Gdy ktoś nie lubi kontemplować czerwonych, może się obrócić w prawo i przyjrzeć H. Goryszewskiemu (gwiazdor „prawicy”, sejmowy szef budżetowych finansów państwa doradzający prywatnym przedsiębiorcom na boku i nie bezpłatnie jak te finanse uszczuplić) — rezultat będzie taki sam. Gdziekolwiek spojrzymy w lewo (prezydent „magister” A. Kwaśniewski bełkoczący jak dętka „golenią”) lub w prawo (poseł G. Janowski skaczący i wyjący jak prawdziwa małpa na salonach sejmu) — wszędzie ten sam widok wyewoluowanego ssaka zwanego „homo sapiens”. Ewolucja ołgała Polaków.

„Homo sapiens politicus” prywiślański. Patrząc na różnorodną galerię rodzimych „mężów stanu” — posłów, senatorów, ministrów itp. — szary człowiek jest gotów uwierzyć tym facetom w białych kitlach, którzy mówią, że przodkami ludzi były takie małe stworzenia podobne do ryjówek. A przecie od czasu wyrżnięcia (rękami hitlerowców i stalinowców) prawdziwej polskiej inteligencji, którą zastąpiono parobkami i szumowinami — minęło kilkadziesiąt lat! Kilkadziesiąt lat ewolucji gatunku politycznego. Dobrym przykładem jest tu choćby dyplomacja PRL-u. W dekadzie lat 60-ych nasi ambasadorowie i konsulowie przyswajali sobie całą gamę takich utrudnień, jak nie siusianie do umywalki lub nie podcieranie się ręcznikiem, coraz częściej zamiast sztuców ze stołu kradli pastę do zębów z butiku hotelowego, a niektórzy interesowali się już nawet kwestią: w której dłoni powinno się trzymać widelec, jeśli w prawej dłoni trzyma się zdjęty z talerzyka befsztyk tatarski? Za dekady następnej (lata 70-e) procent analfabetów zmalał wśród nich prawie do zera, a jeszcze później (lata 80-e) wyłoniła się spośród naszych dyplomatów elita mózgowców o umiarko-

wanie przyzwoitej lub czasami wręcz błyskotliwej półinteligencji. Tak było ze wszystkim, nie tylko z dyplomacją. Oddolna rewolucja lat 1988-1990 przerwała ten pięknie rokujący proces. Rewolucje są nagminnie wrogami ewolucji. E. Delacroix pisał o tym półtora wieku temu:

*„Wszystkie rewolucje dają podniecie naturom niskim i gotowym do czynienia zła. Zdradzieckie dusze wkładają maski; nie mogą powstrzymać się na widok powszechnego rozkładu, czując, że oto właśnie nadeszła chwila, która przyniesie im łup. Ani pogarda uczciwych ludzi, ani lęk, że zostaną rozpoznani — nic nie może ich okiełznać. Wydaje im się, że odtąd świat należy do łajdaków; czują się wybornie wśród milczenia ludzi uczciwych; łudzą się, że nie ma już nikogo, kto by ich sądził i napiętnował tak, jak na to zasługują”**.

Czyż nie tacy są nasi obecni (1990-2000) „mężowie stanu”? Wszyscy — czerwoni i antyczerwoni — wszyscy bijący się o koryto III Rzeczypospolitej. Juliusz Słowacki, który jako jedyny wróż globu wyprorokował biskupstwo Rzymu Karolowi Wojtyłę, pięknie swą wizję formułując: *„Dla słowiańskiego oto papieża otwarty tron”* (1848) — gdzie indziej wyprorokował nam również dzisiejszą klasę polityczną czapkującą papieżowi, a grzeszącą ewolucyjnym niedorozwojem:

*„..... i pod tronem siedzą,
I krwią handlują, i duszą biedactwa,
I sami tylko o swym kłamstwie wiedzą,
I swym bezkrewnym wyszydzą palcem
Człeka, co nie jest trupem — lub padalcem”*.

* — Tłum. Joanna Guze i Julia Hartwig.

3. KŁAMSTWO POLITYKI 1 — KŁAMSTWO WOJNY

Tylko I Wojna Światowa nie okłamała Polaków. Już w wieku XIX, gdy kolejne powstania bezskutecznie próbowały wrysować nasze państwo na mapę kontynentu — co światlejsi Polacy rozumieli, że bez dużej wojny między zaborcami kraj suwerenności nie odzyska. Tego zdania był również „Komendant” Józef Piłsudski, twórca Legionów. I tak się stało — trzej zaborcy (Rosja, Austria, Prusy) wzięli się za łby i wykrwawili doszczętnie, zabrakło im więc sił, by przeszkadzać zmartwychwstaniu państwa polskiego.

Zmartwychwstało nie takie, jakie winno było zmartwychwstać — zbyt okrojone terytorialnie — lecz zrzucenie kajdanów po ponad stu latach niewoli łagodziło ten dyskomfort. Gorszą cenzurę trzeba wystawić kolejnej wojnie Polaków — zainicjowanej agresywnością Rosji wojnie bolszewicko-polskiej (1919-1920). Polski oręż („*Cud nad Wisłą*” i zwycięstwo nad Niemnem) uchronił wówczas Europę od „*dyktatury proletariatu*” (lord Abernon: „*Bez wątpienia wybawił cały kontynent europejski od fanatycznej tyranii sowietów*”, 1931), lecz triumf został przez Polaków fatalnie skonsumowany. Polscy negocjatorzy rozejmowi zupełnie niepotrzebnie, bez nacisku ze strony wrogów, sprezentowali bolszewikom duże (głównie białoruskie i ukraińskie) terytoria, które całe wieki należały do Rzeczypospolitej. Przykładem Mińsk, który Rosjanie bez targów proponowali Polsce, a nasza delegacja... nie wzięła tego miasta! Wybitny emigracyjny historyk, W. Pobóg-Malinowski, słusznie ocenia, że trak-

tat rozejmowy z Sowietami „*mimo wielkiego militarnego zwycięstwa Polski — stawał się dla niej olbrzymią klęską polityczną*”, gdyż „*skazywał na straszliwą niewolę i na szybkie wytępienie ponad milion ludności jak najbardziej polskiej*” (1961). Ta wojna — mimo legendarnego triumfu wojskowego — rezultatem politycznym okłamała naród.

Kolejna — II Wojna Światowa — okłamała Polskę rezultatem każdym: początkowym i końcowym, militarnym i politycznym. W ciągu miesiąca armie polskie zostały rozpedzone przez najeźdźców (Niemców i Rosjan), chociaż wcześniej co roku szła na wojsko 1/3 całego budżetu państwa (!), a propaganda warszawska zapewniała, że jesteśmy „*silni, zwarci, gotowi*” i że „*guzika nie oddamy*” wrogom. Oddaliśmy wolny byt i miliony ludzkich istnień. Pięć lat później zostaliśmy „*wyzwoleni*” przez jednego z agresorów i zamknięci w sowieckiej klatce na pół stulecia. Fatalny był więc finał tej wojny, która okłamała naród, szczególnie zaś okłamała żołnierzy — tych z roku 1939 (pozbawionych samolotów i czołgów), tych z wojsk polskich będących na Zachodzie aliantem „*aliantów*” (zostali zdradzeni przez sojuszników), i tych z Armii Krajowej walczącej przeciw okupantom (ich gorzką „zapłatą” było męczeństwo Powstania Warszawskiego i krwawe represje NKWD-owskie w PRL-u).

Dla XX-wiecznych Polaków kłamstwo wojny równa się głównie zdradliwości „*sprzymierzeńców*” naszego państwa. Miało to już głęboką XIX-wieczną tradycję. Gdy w latach 1813-1814 Francja została zaatakowana przez całą Europę i gremialnie zdradzona przez swoich sojuszników — tylko Polacy, „*les dernieres fidèles*” (ostatni wierni), nie złamali słowa i do końca, jeszcze na rogatkach obleżonego Paryża, bronili Francję. Gdy później wznieciliśmy wielkie niepodległościowe powstania

przeciwko Rosjanom — Francja ani myślała o spłaceniu długu. Za Powstania Listopadowego (które, notabene, uchroniło Francję od planowanej wówczas zbrojnej interwencji caratu) — francuski premier, C. Périer, nazwał powstańców „zbrodniczymi buntownikami” i gniewnie wykluczył jakąkolwiek pomoc francuską dla Polaków, mówiąc: „Krew francuska należy tylko do Francji!”. Bardzo dowcipne, zwłaszcza wobec faktu, że kilkanaście lat wcześniej Polska dała Francji wszystkie swoje zasoby finansowe i ludzkie, i wylała morze krwi w beznadziejnej walce o uratowanie francuskiego imperium. Łatwiej już zrozumieć, że Anglicy nikczemnie traktowali zrywy Polaków, życząc Rosjanom antypowstańczych sukcesów (premier Grey), zwąc upadek Polski „triumfem sprawiedliwości” (R. Cobden), zaś polskie marzenia o suwerennym bycie — „szkodliwą chimerą” (lord R. Cecil).

XX wiek przyniósł apogeum tej nikczemności. Zaczęło się w roku 1907, gdy H. Sienkiewicz głośno protestował przeciwko niemieckiemu terrorowi wobec Polaków, a francuski minister spraw zagranicznych, J. Cambon, ustalił obojętność Francji warknięciem: „Nie trwońmy naszych sentymentów!”. Nie trwonili; w 1939 pili wino i rżnęli karciętami wewnątrz ciepłych kazamatów Linii Maginota, pokrzykując: „Nie będziemy umierać za Gdańsk!”. Anglicy byli równie wredni. Powojenny Traktat Wersalski (1919) zabrał Rzeczypospolitej rdzennie polskie terytoria i radykalnie ograniczył nasz dostęp do Bałtyku — przede wszystkim wskutek dyktatu premiera Wielkiej Brytanii, polakożercy Lloyda George’a. A później był rok 1939 i „gwarancje” brytyjskie. A później Jałta i spokojne cygaro Churchilla, mimo że wcześniej polska nauka (która rozszyfrowała niemiecką „Enigmę”) i polskie lotnictwo (w „bitwie o Anglię”) uratowały

Wyspiarzy od klęski. Konszachtem Jałtańskim (1945) USA i Anglia sprzedały swego wojennego sojusznika Stalinowi na niewolę trwającą pół wieku.

Ciekawostka — w roku 1945 Stalin (zabierający Polsce wschodnie terytoria i rekompensujący tę grabież „Ziemiemi Zachodnimi” oderwanymi Niemcom) chciał Polakom zostawić rdzennie polski Lwów, lecz wyperswadowała mu to jego chwilkowa wojenna kochanka, Polka, renegatka-komunistka W. Wasilewska.

4. KŁAMSTWO POLITYKI 2 — KŁAMSTWO PACYFIZMU

Blisko półmetka wieku XX Polacy — doświadczeni w ciągu minionych 30 lat kilkoma dużymi wojnami boleśnie — winni byli marzyć jedynie o pokoju, stanowiąc pacyfistyczną czołówkę świata. Tymczasem wszyscy ówczesni patrioci polscy marzyli o III Wojnie Światowej, dzięki której kapitalistyczny Zachód zdruzgocze komunistyczny Związek Sowieców. Generał Anders miał wjechać na białym koniu do wyzwolonej Warszawy (jak później kpili komuniści polscy). Opresyjność czerwonego reżimu była tak wielka, że reedukowany prostalinowsko „lud” nie bał się nawet wojny atomowej, pragnąc, by jądrowa bomba („bania”) eksterminowała komunistów niczym trutka na szczury. Stąd śląska przyśpiewka, kierowana do ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych jak modlitwa:

*„Truman, Truman — spuść ta bania!
Tu jest nie do wytrzymania!”*

W następnych dekadach pacyfizm polski przejawiał się pochodami 1-Majowymi i „masówkami” fabrycznymi. Doroczne „święto pracy” przynosiło wysyp gromadnych marszów w miastach i miasteczkach. Kroczący niezbyt spontanicznie „lud” wznosił chóralne okrzyki przeciwko „wrogom pokoju”, „wojennym podżegaczom”, „kapitalistycznym ludobójcom” i „krwawym zachodnim imperialistom”, czyli przeciwko politykom zachodnim; te same apele widniały na dużych biało-czerwonych transparentach (białe litery, czerwone tło). Z kolei gdy tylko Zachód wymyślił lub rozmieścił w Europie jakąś broń defensywną

uniemożliwiająca Związkowi Sowieckiemu rychłe najechanie Zachodu — „polska klasa robotnicza” organizowała (niezbyt spontanicznie, ale regularnie) tzw. „masówki”, czyli zebrania całej załogi wewnątrz największej hali fabrycznej, by wysłuchać partyjnego aparatczyka, który gorąco piętnował „zachodnich podżegaczy wojennych” itp., oraz by wznieść parę stosownych okrzyków, ku radości koordynatora reportażu radiowego czy telewizyjnego. Czasami wieńczono imprezę odśpiewaniem „Międzynarodówki”, i wtedy załoga wyrażała szczerą nadzieję, iż „bój to jest ostatni”, lecz nadzieja ta długo nie chciała się spełnić, ciągle bowiem trzeba było toczyć jakiś pacyfistyczny bój — a to przeciwko bombie neutronowej, a to przeciw „per-shingom”, itd., itp.

W PRL-u wybudowany został wielki (wielogarnizonowy) skansen pacyfizmu, co jednak Polski specjalnie nie wyróżniało — takie skanseny miała każda „demokracja ludowa” kontrolowana przez ZSSR. Nasz skansen miał może tylko rekordową archaiczność, gdyż Sarmatów zawsze podejrzewano o szczególną niesubordynację i waleczność, więc nie można było powierzać im broni zbyt skutecznej. Dlatego pełną ochronę militarną „oboju socjalistycznego” wzięł na siebie Kreml, a polska armia stała się gigantycznym muzeum zabytkowych rodzajów broni i nadawała się jedynie do straszenia rodaków. Po „okrągłym stole”, czyli po „wyzwoleniu” (1989) nic się w tym muzeum nie zmieniło, tylko eksponaty zestarzały się bardziej, naturalnym biegiem rzeczy. Europejskie poliszynele (strażnicy tajemnic) szepczą, iż „wolną” Polskę wzięto do NATO wyłącznie z propagandowych przyczyn politycznych, bo dzisiejsza armia polska nie spełnia żadnych, nawet minimalnych standardów Sojuszu i nie nadaje się do żadnego współdziałania — do

żadnej walki prócz pozorowanej. Jest instytucją czysto pacyfistyczną.

Najszczytniejszym aktem polskiego pacyfizmu był według generała Jaruzelskiego pucz z 13 grudnia A.D. 1981. Przemaszając tego dnia w telewizji (jako szef junty wojskowej) generał dał do zrozumienia społeczeństwu, iż wytacza mu wojnę (wprowadzając „*stan wojenny*”) jako pacyfista, bo gdyby on nie wytoczył — wytoczyłyby Polsce wojnę Związek Sowiecki, i to wojnę makabryczną, wojnę krwawą, okrutną itp. Kilkanaście lat później, jako emeryt, mógł generał truć to samo już bez puszczenia perskiego oka, tylko „*otwartym tekstem*”: „*Wprowadziłem stan wojenny, aby zapobiec radzieckiej inwazji na Polskę*”. Tymczasem miał pecha, bo niedawno wyszło szydło z worka — odtajnione dokumenty kremlowskie (stenogramy dysput wierchuszki) wykazały nad wszelką wątpliwość to, co antykomuniści twierdzili dawno temu: Sowieci, mając łapy poparzone w Afganistanie, za żadne skarby nie weszliby wtedy do Polski, mimo że Jaruzelski... błagał ich o to! Zwyczajnie odmówili mu. Pacyfistyczne polskie kłamstwo stulecia zostało zdemaskowane, a renegat proszący wrogów, by napadli jego ojczyznę, zażywa dalej spokoju, bo jest libacyjnym przyjacielem Michnika i pupilem sił tajemnych.

5. KŁAMSTWO POLITYKI 3 — KŁAMSTWO DEMOKRACJI

Wszelkie problemy demokracji tyczą też Lechistanu, bo demokrację zadekretowano między Bugiem a Odrą, mimo że polski szczerp nadaje się do demokracji niczym koń kawalerski do akrobacji cyrkowej. Mieliśmy kiedyś, dawno temu, rozległą demokrację (tzw. szlachecką) i wykorzystaliśmy ją (m.in. dzięki utraceniu królewskiego absolutyzmu) dla skasowania własnego państwa. Przez następne sto kilkadziesiąt lat (minus 7 lat Księstwa Warszawskiego) ćwiczyliśmy niewolę i krwawe buntownictwo, gdy inni ćwiczyli reguły gry politycznej, ergo: kształtowali społeczeństwo politycznie świadome i niezbędną, długą tradycję współodpowiedzialności obywatela za suwerenny kraj. Pod koniec I Wojny Los zwrócił nam niepodległość i wręczył demokrację, lecz nie mógł dać nam owej tradycji, więc masy rodaków były zupełnie nie przygotowane do korzystania z urn, czyli do bawienia się polityką. Piłsudski właśnie dlatego bał się demokracji. W styczniu 1919 roku (kiedy miano wybierać ustawodawczy Sejm) przekonywał listownie R. Dmowskiego:

„Masa polskiego społeczeństwa jest rzeczą niczyją, luźnie chodzącą, nie ujętą w żadne kadry organizacyjne, nie posiadającą żadnych właściwie przekonań, jest masą bez kości i fizjonomii. O tę gawiedź politycznie bezmyślną, o przyciągnięcie jej choćby na jeden moment w jedną lub drugą stronę, chodzi w pierwszym rządzie tym wszystkim, którzy robią w Polsce politykę. Cel ten zaślepia i przestania oczy na wszystko inne działaczom zdolnym prowadzić tylko zajadłe i konku-

rencyjne duszołapstwo (...) A ponieważ ogół społeczeństwa jest politycznym niemowlęciem, więc konkurencja musi dostosować swe metody do tego poziomu. Stąd spekulacja na najbardziej prymitywne i naiwne odruchy masy, stąd zapominanie o interesach całości państwa — jest regułą i normą, a deklamacje o Ojczyźnie frazesem, z którym działalność deklamujących stoi w najzupelniejszej sprzeczności”.

Piłsudski miał rację. Sto kilkadziesiąt lat łańcuchów tak zdemoralizowało „masę polską”, że jako armia wyborców rodacy byli tylko trochę mniej groźni od armii najeźdźców. Wtedy zwycięska Bitwa Warszawska, a później Przewrót Majowy, zażegnały niebezpieczeństwo. Tymczasem dzisiaj nie widać większej szansy, żeby „Cud nad Wisłą” powtórzył się. Sytuacja wyjściowa właściwie analogiczna — pół wieku bolszewickich kajdan, suwerenność odzyskana bardziej kaprysem Losu niżli staraniem patriotów, lud makabrycznie sk.....ny (skomunizowany) — i w rezultacie Kreml nie musi palcem kiwnąć dla rekomunizowania Rzeczypospolitej, bo tym się zajmuje jej elektorat. Mimo pamięci o bestialstwie komunizmu, o krwawych represjach UB i SB (niezliczone mordy, tortury, szykany), a także pamięci o impotencji ekonomicznej komunistów — już cztery lata po ich formalnym upadku nadwiślańska demokracja zreanimowała komunę jako formację rządzącą (1993). Drugi raz zrobi to za rok (wybory parlamentarne 2001).

Rzecz prosta — nie ma mowy o rekomunizacji dosłownej, totalnej — nie wróca (przynajmniej nieprędko) esbeckie katownie polityczne, cenzura przewencyjna czy nakazowo-rozdzielczy system sterowania gospodarką. Przefarbowani na socjalistów komuniści Millera polubili kapitalizm, i to raczej „volens” niż „nolens”. Mowa zatem „tylko” o personalnej rekomunizacji, której jarzące godło stanowi pierwszy fotel kraju. Polska

demokracja uczyniła prezydentem Rzeczypospolitej byłego dygnitarza kompanii, Kwaśniewskiego, i uczyni to znowu, gdyż osobnik ten cieszy się sympatią aż 70% Polaków, czego dowodzą sondaże. Masowym jego wielbicielom nie przeszkadza fakt, iż — jak to ujął Z. Koreywo (współtwórca audycji „Głos Polonii” w polonijnym australijskim radiu): „Trzeba było być nie lada świnią, by zgodzić się na piastowanie choćby podrzędnej funkcji w aparacie partyjnym PZPR”. Kim wobec tego trzeba było być, żeby piastować tam funkcje decyzyjne? Eks-prominent PZPR-u, wczorajszy służalec Rosji, a dzisiejszy prezydent Polski — pijany jak bela nad grobami polskich męczenników w Charkowie, i mimo to kochany przez elektorat — jest bezbłędnym syndromem kłamstwa ustroju demokratycznego.

Czemu katolicki naród wybiera sobie takich politruków? To zjawisko zostało już dawno zdiagnozowane. R. J. Schoenberg: „Niezależnie od tego jak żarliwie wierni modlą się w niedzielę — podczas głosowania okazuje się, że większość hołduje zasadzie, iż wszystko jest dla ludzi” (1992). Elektorat „kuma”, że Dekalog można traktować serio w religii, retoryce i pedagogice — ale nie w praktyce i polityce. Co z tego, że był mandarynem partii wtedy, kiedy ta partia seryjnie zabijała księży? Co z tego, że jako dygnitarz reżimu rozdawał duże państwowe pieniądze czerwonym koteriom? Co z tego, że kłamał mówiąc o swoim wykształceniu? Co z tego, że gołnął sobie ostro „w goleń” przed państwową ceremonią na cmentarzu? Wszystko jest dla ludzi.

Oczywiście nie mam racji piętując wyłącznie elektorat i postkomunistów. Czyż w roku 1997 nie wybraliśmy do władzy „antekomunistów”? Okazali się tacy sami. Dlaczego nie są lepsi niż czerwoni? Bo są dziećmi demokracji — są zawodowymi politykami wybieranymi przez tłum, a taki polityk nie ma

sumienia.

I już na marginesie: kłamstwem technicznym obecnej polskiej demokracji jest wybieranie „*list partyjnych*”, a nie konkretnych ludzi, przez co do parlamentu dostają się politycy, na których głosowało w skali całego kraju kilkadziesiąt osób (rodzina i kumple). Mniej kłamliwy byłby system bezpośredni, gdzie rywalizują żywi kandydaci, których wyborca może obserwować i oceniać.

6. KŁAMSTWO POLITYKI 4 — KŁAMSTWO EKONOMII

Gospodarka II Rzeczypospolitej (1918-1939) miała ciężki start, wznoszono ją bowiem na morzu ruin (a finanse na odmiennych systemach monetarnych trzech zaborów). Mimo to dopłynęła do twardej złotówki, do COP-u (Centralny Okręg Przemysłowy), do portu gdyńskiego itd. Gospodarka PRL-u (1945-1989) też startowała na zgliszczach, jednak rozkwitłaby szybko, gdyby przyjęła amerykański „*Plan Odbudowy Europy*” (tzw. „*Plan Marshalla*” — przyjęło go 16 krajów, które dzięki temu rychło zyskały stabilizację gospodarczą; Polska, z nakazu Stalina, odrzuciła go w 1947, przez co została żebrakiem). Owa „*marksistowska*”, „*planowa*” (kolejne „*plany pięcioletnie*” wzorowane na sowieckich), centralnie sterowana, nakazowo-rozdzielcza gospodarka — była kłamstwem totalnym, stawiała bowiem do góry nogami prawa zdrowej ekonomii, również te fundamentalne, których wywracanie można porównać ze zwalczaniem w życiu codziennym grawitacji ziemskiej. Miała swoje złudne „*pięć minut*” świetności: pierwsze lata rządów E. Gierka, kiedy Zachód dawał Polsce wielkie finansowe kredyty. Kredyty zostały częściowo zrabowane (przez nomenklaturę partyjną i przez zwierzchność sowiecką), a częściowo zmarnowane (klasycznym „*życiem na kredyt*” oraz wskutek fatalnych inwestycji wielkoprzemysłowych), więc bańka mydlana „*dynamicznego rozwoju*” szybko pękła i Polska została z garbem monstrualnego długu. Odtąd samo spłacanie procentów zadłużeniowych będzie dewastowało kolejne budżety państwa, bijąc po kieszeni

wszystkich mieszkańców „dziewiątej potęgi przemysłowej świata” (tak, *expressis verbis*, brzmiał idiotyczny slogan propagandy gierkowskiej). Co nie przeszkodzi czerwonym propagandzistom dalej głosić wyższości „gospodarki socjalistycznej” nad piekłem kapitalizmu, czyli nad „wyzyskiem człowieka przez człowieka” (ta ostatnia fraza pozwalała im twierdzić, że w socjalizmie jest odwrotnie).

Ekonomiczne kłamstwo propagandowe zleninizowanej i zmarksizowanej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej miało racjonalne dowody: wskazywało rozwój przemysłu (zwłaszcza ciężkiego, wzorem ZSSR), oświaty, medycyny, motoryzacji, elektryfikacji, rolnictwa itp. w stosunku do „Polski sanacyjnej”, czyli do przedwojennej „Polski kapitalistów i obszarników”, a statystyki potwierdzały tę wyższość. Triumf komunistycznych „osiągów” (wskaźników, parametrów) był ewidentny. Ale tylko dla idioty nie rozumiejącego, że cały świat się rozwija, więc gdyby ojczyzna przyjęła po Wojnie „Plan Marshalla” tudzież gospodarkę kapitalistyczną — byłaby rozwinięta o niebo bardziej i bogata jak europejskie kraje Zachodu. Praktyka druzgotała teorię i propagandę komunistyczną — żaden Szwed, Niemiec czy Francuz nie chciał emigrować do PRL-u, a Polacy masowo uciekali za granicę, biorąc rozbrat z upiornością systemu kolejkowo-tumiwisizmowego. Systemu, w którym pracodawca (czyli państwo) udaje, że godziwie płaci pracownikom, a pracownicy udają, że solidnie pracują („Czy się stoi, czy się leży...”, *vulgo* „Jaka płaca, taka praca” i *vice versa*).

Ostatnia dekada wieku przyniosła „wyzwolonej” Polsce kapitalizm, jednak nie ten funkcjonujący już na Zachodzie kapitalizm efektywny i humanitarny, lecz łajdacki i sadystycznie bezwzględny wobec „ludu”, gdyż wczesna faza kapitalizmu zaw-

sze jest rzezią „milczących owiec” i triumfem brutalnych krętaaczy. Cel dalekosiężny (nadrobienie dystansu wobec Zachodu) wyznaczono prawidłowo, ale droga pełna kłamstw i „przekrętów” — droga pauperyzująca większość społeczeństwa — wywołuje grozę. Dziury budżetowe, czyli brak funduszy na upadające: oświatę, opiekę społeczną, kulturę, policję lub medycynę — można byłoby łątać przez niedopuszczenie do choćby połowy afer gospodarczych (rublowa, alkoholowa, FOZZ i setki innych), które drenują państwowe finanse z miliardów złotych. Można by sprawniej reformować, uczciwiej prywatyzować, dokładniej kontrolować, uważniej importować, szcudrzej eksportować, itd. Ale się tego nie robi, choć kłamie się, iż robi się wszystko, co każe zdrowa ekonomia. Nie trzeba być ekonomistą, by rozumieć, że ktoś, kto wdraża model gospodarki importowej, permanentnie powiększającej deficyt płatniczy państwa — „robi wszystko” przede wszystkim dla cudzoziemców.

Tych, którzy robiliby dobrze — zabrakło wskutek okrucieństwa losu. Dwie rzezie inteligencji polskiej — gestapowska i (zwłaszcza) enkawudowska — stworzyły Polsce tragiczny handicap. R. Ziembkiewicz: „W połowie stulecia Polska poniosła straty tak wielkie, że nie wiadomo, czy zdolna jest je przetrwać. Ci, którzy powinni sprawować publiczne funkcje, być dyrektorami banków i państwowych urzędów, parlamentarzystami, arbitrami polskiego gustu — w większości się nie urodzili, ponieważ ich rodzice zostali wyępieni (...) A innym przetrącono karki, tworząc tę żalostną, skundloną pseudoelitę, znaną nam dziś z mediów, skupioną wciąż na udowadnianiu samej sobie, że jej ześwinienie nie było właściwie niczym złym, że mieli prawo dać się uwieść pięknym wizjom Marksa i Stalina” (2000). Dalsza część cytowanego tekstu mówi o rekordowym — wedle

raportów Banku Światowego i Transparency International — skorumpowaniu polskich urzędników każdego szczebla...

Kręgosłupem polskiej ekonomiki był w ostatniej dekadzie monetaryzm: polityka walutowa centralnie sterowana (czkawka komunizmu) przez Ministerstwo Finansów i Bank Narodowy (choć nie wolna od międzynarodowych wpływów spekulacyjnych). Ułatwiało to hochsztaplerom „przekręty” iście monstrualne, vide „numer” z zamrożeniem kursu dolara na półtora roku (1990-1991), przy równoczesnym, sięgającym 100% (!) bankowym oprocentowaniu kapitału złotówkowego. Zamrożenie było sekretne, ale dużo polskich i cudzoziemskich kombinatorów dostało „cynk”. Niebieskie ptaki całego świata wpłaciły nad Wisłą złotówkami miliardy dolarów, a kilkanaście miesięcy później „wytransferowały” dwa i pół raza tyle (250%). Za ten „cud gospodarczy” cwaniacy Wschodu i Zachodu winni solidarnie wznieść panu Balcerowiczowi (dawniej PZPR, dziś guru ekonomii polskiej) statwę o wysokości Wieży Eiffla, i to ze szczerego złota, którego ciężar byłby niezauważalnym ułamkiem ich zysku. Dzieje cywilizacji znają mało „przekrętów” kalibru analogicznego.

Resumując: przez całą ostatnią dekadę stulecia na polskim rynku finansowym rejwodził tzw. „krótkoterminowy kapitał spekulacyjny” międzynarodowych szulerów. Są oni kanciarzami, lecz są aniołami przy politykach, którzy umożliwiają im gotówkowe kanciarstwo. Al Capone (który znał wielu polityków i korumpował ich bez trudu) tak wyjaśnił znajomemu dziennikarzowi różnicę: „Kanciarz to jest kanciarz. W szczerości kanciarza jest coś zdrowego. Lecz każdy gość, który udając, że pilnuje prawa, wykorzystuje swą władzę dla kradzieży, jest wredną żmiją. Najgorszym gatunkiem tej zgnilizny jest polityk. Może ci poświęcić bardzo

*mało swego czasu, bo większą jego część spędza na maskowaniu się i zacieraniu śladów, żeby nikt nie wiedział jakim jest złodziejem”**.

* — Tłum. Władysław Masiulanis

7. KŁAMSTWO POLITYKI 5

— KŁAMSTWO DEKOLONIZACJI

Przed II Wojną Światową istniała w kraju Liga Morska i Kolonialna, której członkowie (prawie milion!) sądzili wraz z całym społeczeństwem, iż Polsce należy się jako kolonia wyspa Madagaskar, bo kiedyś władał tam nasz krajan, M. Beniowski. Nic z tego nie wyszło, więc nie było czego dekolonizować u Murzynów. Po Wojnie zostaliśmy skolonizowani przez Rosję sowiecką, co trwało pół wieku. Aktu dekolonizacji dokonano przy tzw. „okrągłym stole” (1989). Nomenklatura PZPR-u usadziła wokół tego mebla „opozycję”, ale tylko lewicową, gęsto faszerowaną agentami bezpieki, i ubiła z nią prosty geszeft: wy bierzecie władzę polityczną, my anektujemy większą część narodowego majątku. Była to więc dekolonizacja fałszywa — na tym polega jej kłamstwo.

Działając zupełnie bezkarnie (w ramach umowy) — supermafie gospodarcze tworzone przez trzy współpracujące ze sobą grupy interesów (dawna komunistyczna nomenklatura, dawna Służba Bezpieczeństwa i aktualna nomenklatura, często kryta nazwiskami kumotrów, żon, braci, sióstr itd.) zamieniły „wyzwoloną” Polskę w swój kolonialny folwark, będący kasynem dla międzynarodowych oszustów, bramą dla przemytników, pralnią „brudnych pieniędzy” i banko-landem, gdzie układowe banki kredytują układowe firmy za pomocą układowych „złych [bo nie spłacanych] kredytów”. Chodzi o wspomniany „układ okrą-

głostołowy”.

Równolegle trwa kolonizowanie Polski przez Zachód. Rekiny rodzime (nomenklaturowe i nowsze) okazały się zbyt mało operatywne (brak rutyny) i zbyt „cienkie” finansowo, aby konsumować cały łup. Trwa więc zupełnie obłąkana wyprzedaż najbardziej dochodowych przedsiębiorstw (exemplum cementownie — teraz cały cement Polacy kupują od cudzoziemców, którzy wykupili polskie zakłady; tak samo papier, itp.) w ramach „gospodarczej liberalizacji” i prywatyzacji. Prywatyzacja jest niezbędna, wszelako żaden kraj Zachodu nie sprzedał większości swoich banków cudzoziemcom, tymczasem banki polskie zostały totalnie skolonizowane przez obcokrajowców. By nie usłyszeć, że klaskam polskim „oszołomom”, cytuję liberalne, renomowane źródło zachodnie — amerykański tygodnik „Newsweek”. W artykule o nędzy współczesnej polskiej gospodarki, zatytułowanym kpiąco „Tygrys wielkości kota”, czytamy surową krytykę prywatyzacji nadwiślańskiej: „Zysk z tej prywatyzacji czerpią wyłącznie inwestorzy zagraniczni, a nie polskie państwo. Cudzoziemcy kupują co chcą i ustawiają produkcję pod swój własny interes (...) Dla Polaków ma to konsekwencje katastrofalne (...) Rodzinne klejnoty sprzedać można tylko raz (...) Polityka, która prywatyzuje wyłącznie po to, by łątać budżetowe dziury — jest bardzo krótkowzroczna” (1999).

Polskim „liberałom” (grono Balcerowicza) wydaje się, że przeciwnie — że są dalekowzroczni, bo „globalizują” gospodarkę rodzimą. Niech im coś powie na ten temat badacz procesów globalizacji, E. Reuter (były przewodniczący zarządu koncernu Daimler-Benz): „Gdy ta bańka mydlana pewnego dnia pryśnie — sprawa okaże się poważniejsza niż ciężki kac bezpośrednio zainteresowanych. Miejmy nadzieję, że politycy wreszcie zrozumieją, jakim błę-

dem była rezygnacja autonomicznych państw narodowych z wszelkiego wpływu na gospodarkę. Inaczej znajdują pod własnymi drzwiami kupę gruzów” (1999).

Rodzimy wpływ na gospodarkę ogranicza się do monetaryzmu (jako osi polityki ekonomicznej), przy równoczesnym zbyt słabym... zmonetaryzowaniu gospodarki, czyli zbyt małej ilości pieniądza w gospodarce (około trzykrotnie mniej wobec rocznego produktu krajowego brutto niż w przeciętnej gospodarce zachodniej). Teraz cytuję nadwiślańskich ekspertów: „W systemie komunistycznym tworzenie i wymiana dóbr i towarów odbywały się bez udziału pieniędzy. To nie pieniądz, a decyzja centralnego planisty decydowała o tym, jakie dobro i gdzie zostanie wytworzone (...) Pieniądz w tym systemie istniał śladowo i służył do nabywania podstawowych dóbr konsumpcyjnych. Dlatego wynagrodzenia ludzi były śmiesznie niskie, wynosiły kilkanaście dolarów miesięcznie. Odchodzenie od tego systemu i przechodzenie do gospodarki rynkowej wymagało zatem odtworzenia procesów pieniężnych i upięźnienia całej gospodarki (...) Tymczasem zamiast zwiększyć masę pieniądza w gospodarce, dopasowano jego wielkość do ilości dóbr (...) Systemowy brak pieniędzy w gospodarce uniemożliwił prawidłowe przekształcenia własnościowe. Polakom nie dano pieniędzy, aby mogli wziąć udział w prywatyzacji majątku, który wytworzyli. Można go było zatem prywatyzować jedynie przez sprzedaż inwestorom zagranicznym. Ponieważ na rynku polskim wycena firm była (z braku pieniędzy) bardzo niska, kapitał zagraniczny mógł przejmować nasze firmy za śmiesznie niskie kwoty. W ten sposób wyzbywali się majątku narodowego, a napływ zagranicznej gotówki łagodził systemowy brak pieniędzy” (S. Dąbrowski i A. Glapiński, 2000).

Teoretycznie nikt inny tylko społeczeństwo wybiera sterników gospodarki, może więc odwołać polityków kolonizujących

Rzeczpospolitą. Dotykamy tu — na marginesie kłamstwa dekolonizacji — kolejnego kłamstwa demokracji. Jej wahadłowe konwulsje mogą bowiem zmieniać barwy władz, lecz żadne kaprysy elektoratu nie zachwieją grą gospodarczą, której reguły ustalają mafie ponadnarodowe. To mocarstwo dużo trudniej obalić niż prezydenta czy koalicję sejmową, gdyż królów tego imperium nie wybiera masowy elektorat — wybieramy tylko ich lokajów, polityków. A żaden stający do wyborów polityk nie ma wypisane na miedzianym czole: jestem renegatem, łapownikiem, sukinsynem, gangsterem czy coś podobnego. Zresztą choćby i miał — przynajmniej połowa elektoratu głosowałaby za nim. Połowę elektoratu stanowią damy; znana amerykańska dziennikarka, właścicielka „Heralda” i „Timesa”, E. Patterson: „Nieraz już mówiono — zresztą całkowicie słusznie — że kobiety darzą gangsterów szczególną sympatią. Jeżeli nie możecie tego zrozumieć, zapytajcie doktora Freuda”.

8. KŁAMSTWO POLITYKI 6

— KŁAMSTWO KOMUNIZMU

Pisanie o kłamstwie komunizmu to jak pisanie o wzroście żyrafy. Żyrafa z definicji jest wysoka, a komunizm z definicji kłamliwy. Lecz tylko dla znających komunizm. Miliony młodzieży nie mają o czerwonym terrorze pojęcia, więc tak chętnie (jako elektorat debiutujący) dają się uwodzić miodowym obietnicom postkomunistów.

Komuniści zaczęli rządzić zdobytą przez Sowiety Polską w roku 1945. Będąc agentami i lokajami Kremla — zrobili to, co kazał Kreml: wprowadzili siłą sowiecki ład, którego hasłowymi filarami były „demokracja ludowa” (fałszowanie wszystkich wyborów) i „dyktatura proletariatu” (dyktatura nomenklatury partyjnej — brutalny ucisk we wszystkich dziedzinach, od likwidacji wolnego słowa po „upaństwowienie”, „uspołecznienie” i „rekwirowanie”, czyli kradzież prywatnej własności). Albert Camus: „Każda fałszywa idea zaczyna w końcu broczyć krwią innych”. Między Bałtykiem a Tatrami zaczęła broczyć krwią „innych” od razu (mordowanie patriotów, głównie członków AK, NSZ i WiN), i broczyła przez prawie pół stulecia, gdyż nawet lata 80-e zapisały się bestialskim katowaniem więzionych robotników, opozycjonistów (tortury, „ścieżki zdrowia”), strzelaniem do demonstrantów, mordowaniem katolickich księży itp.

Dla dzisiejszego młodego człowieka stalinowska martyrologia ojczyzny, cała tamta katownia zwana „Polską Ludową”,

wywózka setek tysięcy Polaków na Sybir i do Kazachstanu, cenzura, wieczne „kolejki” sklepowe itp. — to prehistoria. Jak mu uzmysłować grozę komunizmu? Może przytoczyć coś nie tak odległego — coś z roku urodzenia młodzika? Jeśli ma dzisiaj lat 17, to urodził się A. D. 1983. Czyli jest rówieśnikiem maturzysty G. Przemyska, którego w 1983 roku warszawska milicja aresztowała, zawiozła na komisariat i bezzwłocznie zatłukła na śmierć, bo był synem opozycjonistki (później skazano za ten mord zupełnie niewinnych ludzi, sanitariuszy pogotowia, torturami zmuszonych do fałszywego przyznania się, co koordynował minister spraw wewnętrznych, gen. Cz. Kiszczak, dzisiaj nietykalny — bezkarny, bo przyjaźniący się z Michnikiem). Pod koniec tego samego roku 1983 we wrocławskim Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych pracowano rutynowo — przesłuchiowano malkontentów. Ówczesny oficer SB, Z. Kmietko (dzisiaj szanowany „biznesman”), zrelacjonował dziennikarzowi jak bito — bito tak, że słyhać było „już nie krzyk człowieka, ale wycie zarzynanego zwierzęcia”. I spytał retorycznie: „Widział pan kiedyś osobę bitą po stopach?” (1993). Żaden młody człowiek (prócz zwyrodnialców) — ujrzawszy „osobę bitą po stopach” — nie szedłby dzisiaj głosować na „socjaldemokratów”.

Maszkę socjaldemokratów komuna rodzima przybrała w następstwie „układu okrągłostołowego”, notabene wykazując poczucie humoru, bo już Stalin uważał socjaldemokrację za wroga numer jeden („Bić socjaldemokratów każdego dnia!”), a PZPR twierdziła oficjalnie, że jej rolą jest „walka z socjaldemokracją, główną agenturą rządów imperialistycznych”. Lecz przefarbowanie zyskało aplauz wiodących nadwiślańskich „moralnych autorytetów”, takich jak Małachowski, Kuroń (były wódz czerwonego

pionierstwa), Michnik (chwalący komunistów jako nowych Prometeuszów!) i Wałęsa (obstawiający „lewą nogę”). Dzięki temu komunizm polski i jego egzekutywa terrorystyczna (PZPR-SB) zyskały rozgrzeszenie publiczne równające się wybieleniu, a byli PZPR-owcy (Geremek, Balcerowicz itd.) władają Polską ministerialnie nawet wtedy, gdy „wyzwolona” Polska ma przejściowo „antykomunistyczny” rząd.

Krakowski filozof, J. Galarowicz: *„Skoro komunizm był najbardziej mrocznym i barbarzyńskim systemem w dziejach ludzkości, udawanie, że właściwie nic takiego strasznego nie stało się na naszej ziemi w ciągu minionych ponad 40 lat — to jest owa pierwotna postać zła. Bagatelizując zło, jakie komunizm wyrządził w przeszłości, przyemykamy oczy na zło, jakie po nim zostało i jakie nadal, niczym złośliwy nowotwór, zżera nasz naród. Jeśli nie było zła, nie ma i winy. Czyż może dziwić, że nie potrafimy się rozliczyć z komunizmem?”*. Nie rozliczamy się, bo przeciwko dekomunizacji sprzysięgły się w Polsce zbyt duże siły. Wiceprezydent American Foreign Policy Council, J. M. Waller, informuje na łamach **„Washington Times”**, że cała polska administracja (centralna i regionalna, polityczna i gospodarcza) jest pod ścisłą kontrolą dawnych SB, KGB i GRU.

Sztandarową figurą walki przeciwko „lustracji” i dekomunizacji był od początku A. Michnik, dysponujący wielką medialną machiną propagandową, w której skład wchodzi nie tylko jego gazeta. A.D. 1993 (wywiad dla **„Trybuny”** komunistycznej) sformułował główne hasło antyrozliczeniowego boju: *„Nie można w kółko żyć obsesją wymierzania sprawiedliwości!”*. Zacytowałem mu wówczas jako ripostę zdanie rumuńskiego pisarza P. Gomy, który rzekł: *„Nie jestem żądny krwi, ale jeśli ktoś ma krew na rękach, nie można mu tak po prostu przebaczyć. Inaczej naprawdę*

uwierzy, że sprawiedliwość nie istnieje”.

Jak ma zaistnieć sprawiedliwość, jeśli ustawa dekomunizacyjna zostaje przez sejm odrzucona (1999) m. in. dlatego, że czołowi „antykomuniści” (liderzy AWS) nie stawiają się na głosowanie lub wstrzymują od głosu? Jak społeczeństwo (zwłaszcza młodzież) ma uznać potrzebę sprawiedliwości, jeżeli bez przerwy piętnują dekomunizację media, w których roi się od byłych TW (tajnych współpracowników SB)? Nawet Michnikowi wyrwało się kiedyś (i to piórem), że w podziemnym **„Tygodniku Mazowsze”** większość (!) redaktorów pracowała dla... bezpieczeństwa. Dawni oficerowie MSW chętnie ujawniają, że dziennikarze są grupą zawodową, w której zwerbowano największą liczbę konfidentów („Gdy znalazł się któryś jeszcze czysty, to biliśmy się między sobą o to, kto ma go werbować”). U krańca XX wieku (10 lat po „upadku komunizmu”, gdy rządzą „antykomuniści”) — polska telewizja państwowa (TVP) jest tak monopolistycznie czerwona, iż przezywa się ją *„sztabem wyborczym SLD i Kwaśniewskiego”*!... Przy tyłu politykach *„socjaldemokratach”* maskujących swe renegackie dusze, przy tyłu politykach *„antykomunistach”*, którzy jak rasowi hipokryci depczą swe przedwyborcze klątwy, i przy tyłu sprostytuowanych udziałowcach *„czwartej władzy”* (mediów) — sprawiedliwość jest bez szans.

Kłamstwo bitwy przeciwko dekomunizacji polega również na tym, iż niegdysiejsza denazyfikacja była według wszystkich operacją niezbędną i chwalebą, a dekomunizacja — rozliczenie reżimu równie traumogennego co nazizm — jest ukazywana jako wstrętne *„polowanie na czarownice”*. Równie traumogennego? Chyba bardziej (i dłużej) traumogennego, a z pewnością bardziej fałszywego. Hitlerizm był uczciwszy — hitlerowski

okupant nie wmawiał Polakom, że gnębi Polskę dla ich dobra, bo buduje tu ziemski raj dla niewolników.

Nie odszczurzona (nie zdekomunizowana) Polska jest tak samo obrzydliwa jak Aleja Zasłużonych Cmentarza Powązkowskiego, skąd nie usuwa się gromad renegackiej swołoczy promoskiewskiej.

9. KŁAMSTWO LEWACTWA

Najgorsza dżuma duchowa XX wieku — intelektualne lewactwo — miała już swoją hodowlę w II Rzeczypospolitej dzięki znacznemu obszarowi wolności słowa, które zapewniał „sanacyjny reżim”, lecz dopiero w „Rzeczypospolitej Ludowej” rozwinęła się hegemoniście, obejmując wszelką aktywność twórczą, także katowską. Córka Żeromskiego opisała (fragmentem „Wspomnień”) jak jej znajomy przymusowo gościł u inteligentów bezpieczeniackich: *„Wyprowadzano go na przesłuchania do gabinetu miłego pana z bródką, o wyglądzie profesora gimnazjum, który proponował mu kawę i papierosa, rozmawiał spokojnie i inteligentnie, ale od czasu do czasu, nie przerywając zdania, zadawał mu piekielny cios szpicem buta”*.

Większość ówczesnych polskich intelektualistów nie pracowała szpicem buta, tylko piórem i mikrofonem, przekonując społeczeństwo, że największy zbrodniarz w dziejach ludzkości, Stalin, to największy geniusz i dobroczyńca ludzkości (kochany „Soso”), że AK była filią Gestapo, że kablowanie do UB na rodzinę i sąsiadów to obywatelska cnota, a komunizm („socjalizm”) to ziemski raj. Żarliwość tej propagandy budzi dzisiaj większe rozbawienie aniżeli obrzydzenie; cytuję „mistrza reportażu”, R. Kapuścińskiego: *„Chciałbym całym sobą, jako członek Partii, służyć nieśmiertelnej idei Stalina, który nam wszystkim pozostawił doprowadzenie swego dzieła do końca. Przyczynić się jak najwięcej na ile potrafię do wykonania tego testamentu — to moje najświętsze pragnienie”* (1953). Analogicznym diapazonem piał cały

intelektualny legion nadwiślański, prawie wszyscy (z bardzo nielicznymi wyjątkami, jak Herbert), również „giganty” literatury i publicystyki, wszelkie Borowskie, Słonimskie, Konwickie, Międzyrzeckie, Micewskie, Andrzejewskie (Brandysów, Miłosza, Mrożka czy Stommy nie wyłączając).

Po upojnych latach 50-ych stalinizmu przyszły dziarskie lata 60-e „realnego socjalizmu”, a oni dalej śpiewali to samo: „Polska Ludowa jest ukoronowaniem tysiąca lat narodowej historii” (1968). Część rodzimej prasy przypisuje te słowa ultralewakowi A. Małachowskiemu, inni „literatowi” A. Szczypiorskiemu (w istocie wysylabizował je Szczypiorski), co nie ma znaczenia, bo obaj hołubili wiarę identyczną. Tego samego roku (1968, gdy partia sekowała Żydów) T. Mazowiecki, późniejszy „pierwszy antykomunistyczny premier III Rzeczypospolitej”, zapewniał gorąco (jako poseł komunistycznego sejmu) o swym przywiązaniu do „kierowniczej roli PZPR” i o „trwałym związku społeczeństwa z socjalistycznymi formami ustroju”, basując tym Szczypiorskiemu jodłującemu: „Wielkość jest o krok od nas! Komunizm czeka za progiem!”.

Za progiem lat 70-ych pewność inteligenckich lewaków, że obstawili dobrego konia — zaczęła próchnieć. Rozpoczęły się dezercje z czerwonego chóru. L. Tyrmand słusznie później zauważył, iż liski przefarbowwały się na „antykomunizm” wtedy, „kiedy nieszkodliwym krzykiem i niezgadaniem się można już było w Polsce wybornie zarobkować, lepiej niż dotychczasowym służalstwem”. W latach 80-ych, gdy „realny socjalizm” rzeził agonalnie, transformacja płatnych serwilistów na „dysydentów” była już intelektualną modą. Lata 90-e celnie streścił J. Galarowicz: „Niegdyśiejsi piewcy komunizmu, jego wierni słudzy, ludzie skompromitowani — naukowcy, artyści, dziennikarze — stają na czele budowniczych nowych czasów, wracają (w przebraniu socjaldemokratów,

liberałów, europejczyków) na pierwsze strony gazet, gorliwie naród pouczając, radząc mu itp. Zdrajcy sugerują, że należą się im pomniki. W najwyższej cenie są konwertyci — ludzie, którzy odeszli od komunizmu. Prawdziwi patrioci, spychani na margines, są bezradni” (1993).

Nie wypierać się dawnego afektu mógł jedynie noblista i obywatel USA (duszą Litwin), Cz. Miłosz (były stalinowski dyplomata), perswadujący: „Nie macie pojęcia jaką fascynującą przygodą intelektualną był komunizm!” (1992). I tylko jemu wyrwało się kiedyś: „Uprawiałem prostytutkę”. Mieszkająca w kraju reszta — rozumiejąc, że ta „fascynująca przygoda” była po prostu kryminalnym (renegackim) kolaborowaniem — trzęsła się ze strachu, iż społeczeństwo ją rozliczy, tak jak gdzie indziej rozliczono twórców oklaskujących włoski faszyzm (E. Pounda wsadzono do klatki dla małp!) lub chwilowo akceptujących Hitlera (K. Hamsuna wsadzono do domu wariatów). Od PRL-owskich profesorów (przerażonych, że ich tytuły zmiecie weryfikacja nostryfikacyjna) po nagradzanych twórców (przerażonych, że dekomunizacja ujawni ich płatne związki z UB, SB, KGB czy GRU) — wszyscy polscy lewacy-kolaboranci bali się, iż „oliwa sprawiedliwa” wypłynie. A ponieważ najlepszą obroną jest atak — całą „fin de siècle’ową” dekadę stulecia poświęcili dezawuowaniu kręgów konserwatywnych i prawicowych, zwąc „łowcą czarownic” lub „oszołomem” każdego pragnącego sprawiedliwości rozliczeniowej w wymiarze choćby symbolicznym, dającym nadzieję, że sprawiedliwość nie jest u Polaków martwą literą. Efekt? Wygrali uczniowie diabła.

Wygrali wskutek pomocy mediów (dziennikarze są szczególnie zlewicowaną grupą zawodową III Rzeczypospolitej). Wygrali wbrew elementarnej przyzwoitości (zbrodnie bez kary).

Wygrali kosztem zwykłej logiki i matematyki (propagowany przez nich stalinizm ma na koncie dużo więcej ofiar niż hitleryzm, a prohitlerowskich kolaborantów karano zazwyczaj śmiercią i wieczną niesławą). Vulgo: przegrała sprawiedliwość — wygrały „tolerancja” i „gruba kreska”. Triumfują Michniki, Małachowskie, Mazowieckie i całe haniebne kłamstwo lewactwa „intelektualistów”.

10. KŁAMSTWO LIBERTYNIZMU 1 — EROTYZM

Jedna z rewolucji XX stulecia — totalna emancypacja seksu — zawitała do Polski (i do całej wschodniej Europy) nie bez dużych opóźnień, a to dzięki purytaństwu reżimów komunistycznych. Apokryficzne hasło bolszewików brzmiało: „*Wszystkie kobiety są wspólną własnością ludu pracującego*”, lecz w istocie „socjalizm” chował libido pod kołdrą narzuconą szczelnie i nie tolerował pedałów, transwestytów czy innej zwierzyny gatunku „zбочków”. Owszem — trochę wolności przenikało z Zachodu (porno, wibratory, pigułki antykoncepcyjne tudzież inne ułatwienia), lecz strugą cieniutką, jedynie dla elit. „*Masy pracujące*” trzymano w anachronizmie siermiężnego ciupciana duetowego (tylko dwoje na raz) i heteroseksualnego, a wieloosobowe orgie były źle widziane. Wszystko to razem stanowiło unikalny grunt, gdzie Kościół i PZPR tańczyły ze sobą zgodnego walca. Jednak nieubłagany walec historii rozjechał owo przymierze, burząc „*żelazną kurtynę*” i „*berliński mur*”, które rozdzielały seks zniewolony od wyzwolonego seksu. Kiedy granica erotyki runęła wraz z granicą polityki — z Zachodu wlała się do Lechistanu taka fala swobody i perwersji seksualnej, jakiej sobie u Słowian nawet nie wyobrażano. Sumując: o ile deprawacja polityczna (socjotechniczna) długo płynęła do Polski wraz z sowietyzmem, o tyle deprawacja kopulacyjna weszła z liberalizmem (libertynizmem) i kapitalizmem, przez co niejedyn pro-

boszcz tęskni dziś za komunizmem „betonowym”.

Co się zmieniło? Otóż radykalnie zmieniła się na lepszą jakość techniczna wszelkich (papierowych i celuloidowych) pornosów. Ważniejsze jednak, iż radykalnie zmieniła się na lepszą (mającą więcej swobody) płęć piękna. „Męskie szowinistyczne świnię” pragnące trzymać kobietę w klatce „samczej dominacji” zostały sprowadzone do parteru. Mówmy więc o triumfatorce, bo o przegranych mówić nie warto. Tradycyjna Polka ery przed „wyzwoleniem” wcale nie była tak zapóźniona, jak mógłby sądzić areopag np. francuskich „liberałów”. Umiała w tym samym dniu i z tą samą czułością gładzić po włosach męża, gacha i psa, a to już świadczyło, że zbytnio się nie różni od francuskich „demoiselles”. Co prawda damy nadwiślańskie słabiej akceptowałyby stosunek nowoczesnych Francuzek do hitlerowskich oprawców (w roku 1982 ankieta „Le Monde” ujawniła, że dla Francuzek SS-man z pejczem to „coś bardzo podniecającego seksualnie”), lecz bez wątpienia oklaskiwałyby decyzję miłosną znanej pisarki, pani Duras, upubliczniąną autobiograficznym tomem „Ból”. Jest tam wzruszający opis miłości autorki do jej męża, którego Niemcy deportowali i więzili w Dachau. Duras pisze jak cierpiała z tego powodu, jak bardzo kochała małżonka, jak straszliwie tęskniła, jak pielęgnowała go kiedy wrócił półżywy, i jak oznajmiła mu kiedy już stanął na nogi, że odchodzi do kochanka, bo pragnie mieć z tamtym dzieckiem. Każda prawie kobieta rozumie taką (arcykobiecą) decyzję, więc i każda prawie Polka rozumiała Małgosię Duras. Cóż zatem się zmieniło? By nie opuszczać francuskiego kręgu — Polka „wyzwolona” sex-shopami i Niagarą pornografii filmowej tudzież gazetowej stała się wybitną lingwistką erotyczną, obracającą bardzo chętnie językiem madame Duras, przez co

zaczyna bankrutować demografia Sarmatów. „Koniec świata!”, „Sodoma-Gomora!”, „Obraza Boska!” — jak mawiały nasze babcie.

Modernizacja nadwiślańskiego „łóżka”, czyli ściganie przez Polskę zachodnich standardów, obejmuje:

- Masowość uprawiania seksu (każdego — grupowego, „francuskiego” itd.) przez nieletnich uczniów, którym świągawek dostarczają tygodniki młodzieżowe.
- Demokratyzację (pełne upowszechnienie) częstej wymiany i multiplikacji partnerów, a co za tym idzie degradację lojalności (wierności) seksualnej.
- Ogólnonarodową tolerancję (akceptację) dla „preferencji” homoseksualnych.
- Wzbogacenie technik seksualnych o perwersyjne, akrobatyczne i mechaniczno-elektroniczne (czyli ze wspomaganiami).
- Wprowadzenie seks-edukacji szkolnej, tudzież legalnej edukacji oraz terapii burdelowej w niezmiernej liczbie „agencji towarzyskich”.

Słowem tak mężczyźni, jak i kobiety — wyemancypowali swą zwierzęcość seksualną do stanu permissywizmu prawie nieograniczonego, przy czym okazało się, że damy dzieciennieją wcześniej niż dżentelmeni, bo nie odróżniają kondomów od smoczków. Głośne protesty wnoszą już tylko trzy grupy użytkowników cudzych „narządów”: geje (żądający wszelkich praw, łącznie z prawem do ślubu i adopcji), lesbijki i feministki (dwie ostatnie grupy często wyznają tę samą „orientację seksualną”; właściwie nie ma chyba lesbijki, która nie uprawia feminizmu). W 1995 „Polityka” opublikowała apel lesbijek nadwiślańskich pt. „Wybór kobiety” — całokolumnowy tekst żądał realizacji

„myśli separatystycznej” i „odłączenia się od patriarchalnego świata samców”. Feministki globu długo już prowadzą taką agitację pod hasłem: „Heteroseksualność to zależność przymusowa”, feministki bowiem są jak ten staruszek, który w wieku 10 lat odkrył, że krasnale nie istnieją, i nadal jest tym wytracony z równowagi — zauważyły swego czasu, że samce i samice różnią się nie tylko kształtem przyrodzenia, i to je doprowadza do furii.

Cała ludzkość traci wskutek feministycznego mieszania w rondlach seksu. Głośna brytyjska pisarka, B. Cartland: „Pragniemy powrotu tradycyjnych, porządných związków miłosnych. Powrotu mężczyzn, którzy dbają o kobiety, i powrotu kobiet, które nie terroryzują mężczyzn. Dziś mężczyźni boją się kobiet i przez to tracą swoją męskość. Dzieje się tak dlatego, że dziś rządzą feministki. Co za okropność...”. Płacz nie tyczy wyłącznie feminizmu — jest dużo powszechniejszy, lecz jest źle słyszalny. Wszystko się wyzwoliło i... popsuło. „Wyzwolone” kobiety, które interesowała tylko jedna liga — liga tenisowa (z wymianą pierwszej litery) — wcale nie okazują się szczęśliwsze. Libertyńskie kłamstwo rewolucji erotycznej XX stulecia, prowadzącej do eksplozji atawizmów, prainstynktów (czy jak to zwał) seksualnych — polega nie tyle na wzroście deprawacji, dewiacji (pedofilstwo itp.), alienacji, wzroście liczby pól sierot rozwodowych czy chorób wenerycznych, ile na tym, że współczesna erotyka jako idea coraz bardziej przypomina barbarzyństwo jaskiniowe i prostytutkę, a coraz mniej miłość.

W Polsce trzeba jeszcze popracować dla pełnego zwycięstwa tej rewolucji, bo większość Polaków to wciąż zbrojeńcy, którzy uprawiają niemodny seks typu chłop z babą. Dzięki mediom jednak społeczeństwo szybko się emancypuje, czyli dojrzewa oraz dogania świat „politycznie poprawny”, i tylko „klechy” kra-

czą jeszcze reakcyjnie na ambonach, jak choćby ten „czarny”, co podczas mszy transmitowanej przez Polskie Radio (2-IV-2000) biadolił, iż „powszechne uznawanie rozpusty za normalne zjawisko drastycznie uszczupla obszar, gdzie mogłaby kwitnąć prawdziwa miłość”. Purytanie, kwakrzy i antysemita już obwiniają o to Einsteina, twierdząc, że jego teoria względności złażdaczyła ludzkość, gdyż wyemancypowała m.in. relatywizm etyczny. Cytuję W. Isaacsona, naczelnego redaktora „Time’u”, który przyznał Einsteinowi tytuł „człowieka wieku XX”: „Pośrednio teoria względności utworowała drogę etycznemu relatywizmowi (...) Odkrycie Einsteina podważyło absolut nie tylko w kategoriach przestrzeni i czasu, ale również w sferze prawdy i moralności” (1999). No proszę!

11. KŁAMSTWO LIBERTYNIZMU 2 — RELATYWIZM

Polacy mają własną definicję relatywizmu, czerpaną z „**W pustyni i w puszczy**” Sienkiewicza; mówi ona, że jak Kali komuś ukradnie krowę, to jest postępek dobry, ale jak ktoś ukradnie krowę Kalemu, to jest nikczemność (ergo: gdy lewica robi brzydkie rzeczy, to jest „be” według prawicy, która robi rzeczy takie same; i vice versa). Relatywizm moralny to również konformistyczno-opportunisticzne zmienianie poglądów. „*Literat*” A. Szczypiorski, będąc piewcą komunizmu, wychwalał robotników jako „*przodującą siłę narodu, której wielkość jest uzasadniona naukowo*” (1967), lecz po krachu PRL-u, znowu grając „*moralnego autoryteta*”, zaczął utrzymywać, iż robotnicy to grupa, która „*reprezentuje siłę wyłącznie destrukcyjną*” (1993).

Siłę autentycznie destrukcyjną stanowi relatywizm moralny zaszczipiany społeczeństwu, a już młodzieży zwłaszcza. Kluczowa jest tu rola mediów. S.M. Królak: „*Potworną rolę w deprawowaniu sumień odgrywali i odgrywają dziennikarze*” (1994). Dziennikarze globu, wśród których zawsze było najwięcej konfidentów sowieckich (potwierdza ten fakt m.in. głośne „*archiwum Mitrochina*”), są łatwym celem szantażu służącego dezinformowaniu czy manipulowaniu opinią. Reszty dopełnia lewacka wredność bądź głupota „*pań redaktorek*” i „*panów redaktorów*”. J. Urban zwie Polskę „*pierdolonym państwem*” i głosi otwarcie,

że jego cel to „*skurwienie narodu polskiego*”. Inni się tak jawnie nie reklamują, ale uprawiają ten sam proceder. Konkretnych efektów widać mnóstwo — choćby erotyzm, patriotyzm czy bandytyzm.

Przed II Wojną Światową patriotyzm był ołtarzem Polaków. Media krzewiły go ze wszech sił, a szczególną uwagę przywiązywano do wpajania miłości ojczyzny dzieciom (powieści historyczne, szkoła itd.). Pamiętano bowiem czym jest utrata suwerennego bytu, nad którą tak kiedyś bolał Słowacki:

„..... Ojczyzna
Minęła także! i ów wierszyk złoty,
Że dla niej każda smakuje trucizna,
Ów wiersz, co niegdyś zachęcał do cnoty...”

W PRL-u relatywizowano wszelkie cnoty po sowiecku, a gdy „*Ludowa*” padła — zaczęła się zmasowana relatywizacja według przepisu zachodnioliberalnego (libertyńskiego), co szybko (5 lat) przyniosło znaczące owoce: A.D. 1995 sondaż CBOS-u wykazał, iż tylko 9% młodzieży respektuje patriotyzm. Prasa lewicowa skomentowała to sentencją: „*Młodzi patrzą inaczej*”; prasa antylewicowa pisała o „*kłopotach z odbudową patriotyzmu*” (A. Nowak). Kłopot z odbudową patriotyzmu będzie tym większy, im większa będzie globalizacja (kosmopolityzacja) i relatywizacja etyki sarmackiej.

Kłopot z odbudową bezpieczeństwa publicznego, którego stan jest katastrofalny — ma przyczynę identyczną. Relatywizm polega tu na zwiększaniu praw przestępców kosztem praw ofiar przestępców. Mimo wzrostu liczby ciężkich przestępstw — nowy kodeks karny (1997) wprowadził jeszcze większą dominację praw bandyty nad prawem ofiary (m.in. obniżenie wyroków za szczególnie okrutne gwałty i szczególnie brutalne

„rozboje przy użyciu niebezpiecznego narzędzia”, zawieszanie kar wielokrotnym recydywistom, czy ułatwianie bestialcom przedterminowych zwolnień). Wszystko to, jak również hotelowe komfortowanie więźniów i permanentne „urlopowe przepustki” bandziorów (nie wyłączając morderców) — owocuje ciągłą falą zbrodni, daje bowiem „*carte blanche*” kryminalistom. Głośny brytyjski filozof, R. Scruton: „*Ilekroć zezwalasz, by przestępstwo nie zostało właściwie ukarane, stajesz po stronie zła*” (1995). „*Liberalni*” (libertyńscy) obrońcy zła uprawiają relatywizm nawet wobec sfery ludobójczej: propagują aborcję, czyli masowe mordowanie niewinnych, a nie tolerują zgładzania dorosłych morderców. Dlatego w dzisiejszej Polsce wyroki śmierci są egzekwowane (jakże często) jedynie przez morderców.

Gdy wina i kara ulegają gangrenie relatywizacji — zgangrenowana zostaje praworządność, a zatem i rzecz fundamentalna: sprawiedliwość. Polska od 60 już lat należy do tych paskudnych krajów, w których istnieje prawo, ale nie istnieje sprawiedliwość. Gdy wokół trupa zabitego nożem zostaje umyte dla zatarcia śladów dosłownie wszystko, a Wajdówna, właścicielka dworku gdzie się to przy niej lub dzięki niej stało, nie zostaje objęta dochodzeniem śledczo-prokuratorskim, bo jest córką najślawniejszego polskiego reżysera — to równa się pluciu przez władzę na elementarną sprawiedliwość! To mówienie: prawo obowiązuje tylko maluczkich i frajerów, a szycy są ponad prawem.

Relatywizm moralny — nadzwyczaj groźna choroba XX stulecia — gangrenuje te państwa, których elity decyzyjne i propagandowe są skorumpowane etycznie i finansowo. Przyjrzyjcie się naszym prominentom, i tym z lewej, i tym z prawej, bez różnicy. Przyjrzyjcie się owym spryciarzom niezdarnie gra-

jącym rolę mężów stanu. Popatrzcie jak budują złodziejsko-bananowy ustroik, w którym „*folwark zwierzęcy*” przybiera trochę bardziej ludzką twarz dzięki humorystycznym elementom „*komedii ludzkiej*” granej przez „*nędzników*” (Orwell + Balzac + Hugo). Nie mają talentów prawodawczych i praworządnościowych. Mają tylko agenturalną przeszłość, genetyczne cwa niactwo, lepkie łapy, zgniłe sumienia i gęby pełne uspokajających, branżowo lub knajacko gęganych frazesów. Kompletny rozkład sprawiedliwości, moralności, zdrowego rozsądku oraz szacunku wobec prawdy i prawa. Ta sama co niegdyś „*dyktatura ciemniaków*”, wzbogacona o współdziałanie szulerów dyplomowanych. Cóż zawiniła Rzeczpospolita losowi, iż po wieloletniej kalwarii komunizmu oddał ją w pacht takim ludziom?

12. KŁAMSTWO ANTYKATOLICYZMU

Dzieje wojującego antykatolicyzmu na ziemiach Rzeczypospolitej XX-wiecznej zaczynają się wraz z agresją ideologii „sierpa i młota”. Czerwony pisarzyna Dobrowolski oprowadzał po Wawelu sowieckich literatów; kiedy mijali zabytkowy krucyfiks, bąknął: „A to jest... tak zwany Jezus Chrystus”. Sowietyzm zwalczał katolicyzm jako konkurenta, pragnąc być „religią” monopolistyczną, nie stronił wszakże od wykorzystywania „tak zwanego Chrystusa” i „tak zwanej Matki Boskiej” do własnych celów. Podczas II Wojny Światowej sowieccy agenci zrzucani z samolotów na terytoria między Bugiem a Wartą dostawali prostą instrukcję bezpieczeństwa: „Jak się zgubisz i będziesz szukał pomocy, rozpoznasz dobrych ludzi bez trudu. Jeżeli w chatupie lub w domu wisi Matka Boska i krzyż, trafiłeś prawidłowo”.

Sekowanie katolicyzmu przez PZPR było waleniem łbem o mur. Nie pomogły brutalne represje (uwięzienie kardynała Wyszyńskiego, skazanie biskupa Kaczmarka), nie pomogło tworzenie swoistej „piątej kolumny” wśród kleru (tzw. „księża patrioci”), nie pomogły agenturalne organizacje katolickie (PAX, Caritas etc), nie pomogło sterowanie prasą katolicką, a im bardziej nachalna była propaganda wymierzona przeciwko Kościołowi, tym bardziej dawała odwrotny od zamierzonego skutek. Trzeba się było godzić ze swego rodzaju „cohabitation” — z podziałem władzy. Ciała, sakiewki, rondle funkcjonowały do taktu wybijanego przez szajkę partyjną, a rząd dusz był w gestii Kościoła. Gdy Wojtyła został papieżem — marzenia o przyszłym unice-

stwieniu lub choćby tylko zminimalizowaniu roli katolicyzmu stały się futurologią tak wybujałą, że nie miało sensu wierzyć, iż spełnią się przed końcem bieżącego tysiąclecia.

Ostatnia dekada tysiąclecia była dekadą Polski „wyzwolonej” z antykatolickiego „socjalizmu”, jednak katolicyzmowi nie zrobiło się dużo lżej. Co prawda Kościół odzyskał dobra materialne, lecz — ponieważ w przyrodzie musi istnieć równowaga — wyrósł mu nowy silny wróg. Lewacka inteligencja, która za komuny walczyła o złób z nomenklaturą partyjną tak długo, aż obie się dogadały przy „okrągłym stole” — wzięła rządy i zrozumiała, że teraz konkurencja to Kościół! Zaczęła więc konkurencję bokсовать, szermując bez skrupułów epitetami „czarna władza”, „fundamentalizm religijny”, „klerykalizm” itp. Mając większość mediów, w tym gazetę („Wyborczą”) o rekordowym nakładzie, mogła skutecznie prowadzić wojnę antyreligijną. Skutecznie — gdyż szczywanie. Broń Boże nie rozpie-rała ich wrogość wobec Kościoła — zwalczali tylko pazerną „kruchtę”, szerzyli „anty-klerykalizm”, bo „klerykalizm” zagrażał racji stanu (Michnik: „Uważam, że klerykalizm bardzo źle służy polskiemu państwu”). Swjej antykatolickiej ofensywie umieli nadać tak duży międzynarodowy rozgłos, iż znany francuski socjolog, A. Turaine, bredził wszędzie z całą powagą, że „tylko interwencja Wałęsy i mądra polityka Suchockiej uratowały Polskę przed zagrożeniem klerykalnym” (1994).

W całej tej (wciąż trwającej) kampanii trochę jest wprawy genetycznej (masoneria zawsze zwalczała katolicyzm) i dużo rutyny historycznej, albowiem ci sami lewaccy intelektualiści oraz „liberałowie”, którzy trzymają prym nad Wisłą po roku 1989 — za Stalina również kłęli Kościół. Exemplum T. Mazowiecki, który klakierował UB-kom, co zadreczyli kieleckiego

biskupa Kaczmarka, i w konflikcie między prymasem Wyszyńskim a reżimem sowieckim wziął stronę reżimu. Podczas sfingowanego procesu księży krakowskich (1953, trzy wyroki śmierci) — więcej niż pół setki literatów (m.in. Mrozek i późniejsza noblistka Szymborska) wysmażyło „rezolucję” potępiającą sądzonych „zdrajców Ojczyzny, amerykańskich dywersantów i szpiegów, powiązanych z Krakowską Kurią Metropolitalną”. Dzisiejszy idol literacki lewaków, T. Konwicki, grzmiał ciągle na Watykan i na „ludzi w czarnych sutannach” („... tę młodość ukradli ludzie w czarnych sutannach; zatruwszy — poczęli ją metodycznie degenerować”), gdy idolka, W. Szymborska, przeżywała religię „wodą nieczystą”.

Dzisiaj tamto dziedzictwo owocuje warknięciami Michników („Zagraża nam fundamentalizm religijny”), Turowiczów („Działania, gesty i słowa Kościoła szkodzące...”), Orłosiów (naganna „postawa księży w Polsce” i „błędy hierarchów Kościoła”), etc. Owocuje eskalacją nienawiści Żydów (wykładowca Harvardu, M. Dershowitz, przezwiał prymasów Polski, Hlonda, Wyszyńskiego i Glempa, „kardynałami kryminalistami”, „fanatykami z krwią na habitach”). Owocuje również profanacją medialną (vide telewizyjne bluźnierstwa „Big Zbig Show” i gazetowe bluźnierstwa „Nie” albo „Wprost”) czy pseudoartystyczną (ekskrementy wewnątrz tabernakulum, kopulacja z krzyżem jako „happening” itp.), bezczeszczeniem ołtarzy, cmentarzy i katolickich pomników (m.in. grobu Chrystusa i statuy Jana XXIII), tudzież demonstracjami antykatolickimi (exemplum głośna wrocławska) pełnymi takich transparentów: „Precz z klerykalnym faszyzmem!”, „Józef Glemp — pazerny sęp!”, „Księża na księżyc!”, „Buldożery na kościoły!”, etc. Za co? Za wiele „klerykalnych” „grzechów”, choćby za utrudnianie aborcji czyli bestialskiego mordy (dr B.

Nathanson: „Zabijany płód doznaje takich samych cierpień jak torturowany człowiek”), za uszkolnienie religii, za propagowanie Dekalogu (bez którego obumiera wszelka przyzwoitość, a życie staje się praktykowaniem zła), itd.

Kościół polski przetrwa te ataki, są to bowiem „tylko” zagrożenia zewnętrzne. Dużo groźniejsza jest wewnętrzna „piąta kolumna” w nadwiślańskim Gmachu Bożym — silna frakcja dywersantów („liberałów” vel „reformatorów”) wśród ksiąząt Kościoła, torpedująca hierarchię patriotyczną i mająca wielkie nagłośnienie medialne. Wszystkie te Tischnery i Pieronki gadające językiem masonów i libertynów...

13. KŁAMSTWO ANTYFAMILIARYZMU

Według prognoz ONZ i Europejskiego Obserwatorium Demograficznego – w roku 2050 Europejczycy będą stanowili ledwie 8% ludności globu (a jak nie powstrzymają kolorowej imigracji „gastarbeitskiej” – staną się na swoim kontynencie mniejszością). Biali Europejczycy robią mało dzieci, gdyż tradycyjna rodzina tu obumiera. Polska – goniąca przez ostatnią dekadę zachodnie standardy – właśnie dogoniła: w 1999 roku odnotowano nad Wisłą „ujemny przyrost demograficzny” (więcej trupów niż noworodków). Kult Jana Pawła II nie oznacza bowiem akceptacji wszystkich jego przykazań, w tym zakazu używania środków antykoncepcyjnych i zakazu wyskrobywania „nienarodzonych”. Dużo łatwiej społeczeństwo akceptuje fakt, iż komunista Kwaśniewski został (jako jedyny polityk globu!) wpuszczony przez papieża do „papamobile”.

Problem sterowanej antyfamiliarności nie istniał u Polaków przed II Wojną Światową – rodzina to była opoka. Dla stalinizmu rodzina była konkurentem jako autorytet, więc chciano ją zwalczać (wedle słów sowieckiego ministra oświaty, A. Łunaczarskiego, o potrzebie „takiej swobody stosunków między mężem, żoną i dziećmi, by nie można było orzec, kto jest z kim spokrewniony i kto z kim trzyma”), lecz nie osiągnięto sukcesów. Chociaż (jak cieszył się A. Małachowski) „dyktatura proletariatu, będąca jedyną praktyczną drogą, w samym założeniu jest w stanie walki z etyką chrześcijańską” (1957) – etyka chrześcijańska zwyciężyła. Tymczasem na Zachodzie (gdzie zwano ją „porządkiem burżu-

azyjnym”) przegrywała od mniej więcej 1968 roku. Rządzący wieloma krajami socjaliści „skierowali cały swój destrukcyjny wysiłek na kulturę i moralność” (G. Sorman 1992). I odnieśli „sukces”, który tak kwitowały zachodnie media w 1995 – „**The Economist**”: „Polityka wielkich sił społecznych i gospodarczych osłabiła rodzicielstwo i zdegradowała ojcostwo, ułatwiając kobietom samotne wychowywanie dzieci”; „**Le Nouvel Observateur**”: „Runęły dawne rytuały rodzinne, zawały się prawa ojcowskie, młodzież szuka sobie alternatywnych norm, bo o idealnej otulinie rodzinnej można już tylko marzyć. A co się stanie jutro, gdy pogrążymy się w «rzeczywistości wirtualnej»?”.

Sarmacja bardzo chciała pograć się w rzeczywistości zachodniej, czemu nadwiślańskie lewactwo i libertyństwo klakierowało całą mocą swej medialnej propagandy, zwłaszcza gdy idzie o tradycyjną moralność. Klasycznym już przykładem premedytacyjnego niszczenia etosu rodziny jako bazowej komórki społecznej stała się wielomiesięczna gigantyczna kampania mediów przeciwko rodzicom nieletniej Kernówny. Dziewczątka uciekło z kochankiem-nygusem, a później – podbechtywane przez pierwszego szkodnika Rzeczypospolitej, „**Gazetę Wyborczą**”, przez „**Nie**” (szkodnika nr 2), przez telewizję etc. – tańczyło publicznie z Urbanem, dezawuowało rodziców i haniebnie wydziwiała. Wszystkie brewerie „wyzwolonej” panienki zyskiwały medialny aplauz, natomiast Kern (antykomunista, wicemarszałek sejmu) był prezentowany à la faszysta-zamordysta, bo chciał odzyskać i uratować dziecko. Krakówkowo-warszawkowe elity libertyńskie miały święto – dostały żywy reklamowy „clip” deprawujący młodzież bardzo skutecznie (później rozzuchwaleni Kernówna i jej „luzak” ukradli fundusze Orkiestry Świątecznej Pomocy). By wzmocnić

efekt — szybko znaleziono pieniądze na fabularny film antyrodzinny, którego treść miała hagiografować ów głośny „młodzieżowy bunt”; autorem gniotą jest „wiecznie utalentowany” reżyser, mający swego czasu lepsze poczucie humoru niż dzisiaj honoru.

„Młodzieżowy bunt” panny Kern — tak stachanowsko wspomagany przez „liberalne” media nadwiślańskie — był przejawem ogólnego zjawiska. Młodzież każdych czasów ma naturę kontestacyjną, to imperatyw psycho-biologiczny, lecz dopiero młodzież trzech-czterech ostatnich dekad XX wieku buntuje się wyemancypowanym seksem czyli zupełnie „wolną miłością”, której kult rozwala a priori szansę budowania trwałych rodzinnych związków. „Luzacki” idol młodzi polskiej rzucił leseferyczne hasło: „Róbta co chceta”, później wzbogacone: „Róbta co chceta z kim chceta” — i to jest drogowskaz do grobu życia rodzinnego.

A. D. 1995 „Express Wieczorny” opublikował całokolumnowy wywiad ze znaną polską aktorką, zatytułowany „ŻYCIE RODZINNE”. Wywiad ten może służyć jako symbol kierunku, w którym pcha rodzinę polską libertynizm, i chyba nawet jako syndrom stanu, w którym mnóstwo polskich rodzin już się znajduje. Przez cały wywiad aktorka zwierza się dziennikarce ze swego „szczęścia rodzinnego”, ponieważ jednak właśnie uciekł jej kot, a został tylko pies jako współdomownik — nie bardzo może mówić o szczęściu rodzinnym we własnym domu. Cóż więc robi, by zapełnić całą stronę druku „szczęściem rodzinnym”? Pytluje o rodzinie swego syna, który jest modelem (manekinem strojów), a poślubił modelkę. Mama modelka bywa w domu rodzinnym rzadko („Rzadko ją widuję, ponieważ pracuje głównie poza Polską. Ona musi wyjeżdżać”). Tato model również nie ma

duszy domatora. Przerażona dziennikarka pyta, kto wobec tego zajmuje się dzieckiem pary modeli, małym Michasiem. Aktorka wyjaśnia, że na przemian babcie („Michaś jest u babci w Białymstoku, albo u mnie”). Dalej aktorka zapewnia, że jej synowa i syn to najlepsi rodzice pod słońcem („... są bardzo łagodnymi ludźmi”), a wnuczek to „fajny maleńki facet. Zawsze sobie coś śpiewa, mówi, mruczy pod nosem. Ma swój świat”.

Otóż właśnie. Taki jest już dzisiejszy (częściowo) i taki ma być jutrzejszy (cały) świat quasi-osieroconych ludzików, gadających do siebie mechanicznie-schizofrenicznie, jak w wariatkowie. Potworność produkowana przez „łagodnych ludzi” z wylęgu i z zaciągu libertyńsko-feministycznego.

14. KŁAMSTWO HISTORII

Jesienią 1999 roku K. Kneissl zapytała sławnego „łowcę nazistów”, S. Wiesenthala: „Czy uważa pan, że dziś traktuje się historię z większą niefrasobliwością?”. Odpowiedź brzmi: tak, z radykalnie większą niż w pierwszej połowie stulecia, co jest determinowane rozkwitem pseudotolerancji, relatywizmu, libertynizmu itp. Polaków ten proceder dotyka często, przy czym fałszowane są też dawne dzieje — exemplum L. Gumiłow (uważany za „jednego z bardziej obiektywnych rosyjskich historyków”), który „niefrasobliwie” głosi, że bitwę pod Grunwaldem (1410) wygrał litewski książę Witold, a o Jagiełłę i o Polakach wcale nie wspomina! Identycznie jak premier Wielkiej Brytanii, W. Churchill, który pisząc 10-tomową „Historię II Wojny Światowej” „niefrasobliwie” zapomniał wymienić udział polskich lotników w „bitwie o Anglię”, chociaż był to udział wielce znaczący.

Niektóre kłamstwa historyczne Polacy „muszą” znosić, bo tak nakazuje „polityczna poprawność”. Za komuny musieli znosić m. in. kłamstwa wymierzone przeciwko AK, NSZ czy WiN, szkalowanie marszałka Piłsudskiego, albo „kłamstwo katyńskie”, przy którym komuniści upierali się pół stulecia, chociaż cały świat wiedział, że Rosjanie (nie zaś Niemcy) rozstrzelali na Rusi i na Ukrainie kilkanaście tysięcy polskich jeńców-oficerów. Teraz Polacy muszą tolerować szowinizm litewski (Litwini notorycznie drukują mapy, na których północno-wschodnie tereny Polski są oznaczane jako „ziemie litewskie pod czasową okupacją polską”), szowinizm ukraiński (bredzący o historycznej ukraiń-

skości Lwowa; Ukrainiec R. Szporluk jako wykładowca Harvardu nie mógł tak kłamać, więc przyznał, że „Ukraina jest sztucznym tworem, zlepkiem prowincji kilku państw. Termin Ukraina zaistniał szerzej dopiero w XIX wieku”), czy tradycyjną fałszywość Brytyjczyków nie chcących ujawniać kompromitującej dla nich prawdy o gibraltarskim zabójstwie generała Sikorskiego.

Historiografia PRL-u była „nauką marksistowską”, tak więc „z definicji” łągała na potęgę, fałszując zresztą nie tylko dzieje międzywojennej czy okupacyjnej Polski, lecz również dawniejsze, jak choćby rolę Stanisława Augusta (carskiego agenta noszącego koronę Lechistanu) czy rolę cesarza Napoleona (człowieka Zachodu, który wyzwolił Polskę z rosyjskiego jarzma). „Król Staś” był według marksistów „cacy”, więc trzeba było go chwalić (piętnujący „Stasia” J. Łojek — rzadki okaz uczciwego historyka doby PRL-u — za karę nie otrzymał tytułu profesorskiego). Napoleon był dla marksistów „imperialistycznym agresorem”, bo lał Ruskich gdzie się dało i zdobył Kreml (więc torpedująca paszkwile anty napoleońskie książka W. Łysiaka została formalnie oprotestowana przez rosyjski MSZ — był to jedyny taki wypadek w PRL-u). Gorliwość polskich „uczonych” sięgała nawet przysłowiowej „religijności większej od religijności papieża” — polski profesor L. Bazyłow twierdził, że w 1812 roku Moskwę spalili nie Rosjanie, lecz Francuzi i Polacy, która to teza szokuje nawet sowieckich dziejopisów.

Polska zawsze była istnym Eldorado dla historyków, gdyż polski czytelnik ogromnie (dużo zapalczywiej niż inne nacje) interesował się przeszłością, zwłaszcza rodzimą, może dlatego, iż w polskiej historii nigdy nie notowano mało pasjonujących czasów (wschodnie przekleństwo: „Obyś żył w ciekawych czasach!”). Cierpiący niewolę XIX-wieczną (rozbiory) i XX-wieczną

(hitleryzm i komunizm) Polacy nie naśladowali markiza de la Mole (z powieści Stendhala „**Czerwone i czarne**”), który „*rozgniewany na swoje czasy, kazał sobie czytać Liwiusza*”. Rozgniewany na swoje czasy Polak czytał patriotyczną historiografię emigracyjną i podziemną, czyli nielegalną, bo legalna lizała tyłek ciemności. Wszelkie zagadnienia antyrosyjskie (wojny polsko-rosyjskie, powstania, Sybir, Suworowowska rzeź Pragi itp.) były przemilczane lub zakłamywane aż do 1990 roku, wskutek tyranii Sowietów. Dzisiaj mamy antysowiecką Polskę, czemuż więc historiograficzni kolaboranci dalej rządzą polską historiografią w swych lizusowskich profesorskich togach, w glorii „*autorytetów*” i „*ekspertów*”, jak za „*socjalizmu realnego*”? I czemu, chociaż mamy całkowitą wolność słowa, polskie „*czynniki*” bądź polska nauka nie walczą przeciw brytyjskim albo żydowskim kłamstwom historycznym wymierzonym w Polaków?

Historycy i eksperci militarni całego globu twierdzą chóralnie, że jednym z kluczowych instrumentów, które zezwoliły aliantom wygrać II Wojnę Światową, było złamanie niemieckiego wojskowego szyfru i zbudowanie repliki maszyn) „Enigma” (repliki automatycznie rozkodowującej najtajniejsze depeche sztabów hitlerowskich). Dzięki temu znano z wyprzedzeniem każdy ruch Hitlera i można było te ruchy uprzedzać piorunująco. Wśród historyków rozbieżności są niewielkie — jedni (jak P. H. Hinsley) twierdzą, że „Enigma” skróciła wojnę o trzy lata; inni, że w ogóle zezwoliła ją wygrać gdyż bez niej tak lotnicza „*bitwa o Anglię*”, jak i morska „*bitwa o Atlantyk*”, byłyby wygrane przez siły III Rzeszy zaś kampanie afrykańska czy włoska tudzież „*desant w Normandii*” nie przyniosłyby aliantom sukcesu. Wszyscy natomiast są zgodni, że „Enigma” uratowała wiele milionów ludzkich istnień. I wszyscy na świecie wiedzą,

że to zasługa Anglików, którzy rozszyfrowali niemiecki kod i zbudowali „Enigmę” w swym ośrodku deszyfracji Bletchley Park. Spłodzono wiele „naukowych” rozpraw i „dokumentalnych” filmów o tym brytyjskim sukcesie. Tymczasem jest to bezczelne kłamstwo Brytyjczyków, gdyż kod Niemców złamali trzej polscy matematycy (M. Rejewski, J. Różycki i H. Zygalski), którzy zbudowali następnie deszyfrującą „Enigmę” wywieźli ją z Polski i wręczyli Anglikom. Bez tego prezentu Anglicy mogliby sobie rozszyfrowywać w Bletchley Park łamigłówki gazetowe (a niewykluczone, że ich dzisiejsze gazety drukowanoby już tylko językiem Schillera i Hitlera).

Żadne kłamstwo okradające Polaków nie równa się — rzecz jasna — z kłamstwem żydowskim przypisującym Polakom współautorstwo (coraz częściej: autorstwo) Holocaustu, gdyż ten fałsz okrada nas nie z dokonań (jak wynalazki czy zwycięstwa), lecz z czci, godności, ze wszystkiego! „*Polski katolicki Kościół, obermorderca i podżegacz do żydobójstwa, stale karcił motłoch nienawiścią wobec Żydów, zaś pomna tych nauk Armia Krajowa mordowała Żydów masowo*” (1996) — głosi Australijczyk, Anglikom i Amerykanom A. H. Biderman. Cały świat jest obecnie zalewany Niagarą takich tekstów. A władze polskie milczą, tak jak milczały przed laty władze PRL-owskie, gdy znany aktor, B. Reynolds, szerzył informację, że hymn polski („**Mazurek Dąbrowskiego**”) wykonuje się za pomocą odbyticy.

15. KŁAMSTWO MITOLOGII 1 — EPOSY

Polacy urodzili w XX wieku cztery związane z tym stuleciem mitologie epickie; wszystkie są bojowe — epos Legionów, epos AK, epos AL i epos Solidarności. „Czarnej legendy” nie zabrakło żadnemu.

„Czarna legenda” dotknęła „Legiony Piłsudskiego” już wówczas, gdy walczyły podczas I Wojny Światowej o wyzwolenie ojczyzny — część rodaków zarzucała im warcholenie, burzenie spokoju (symbolem tego stały się trzaskające okiennice Kielc) — ale prawdziwą nienawiść (zwłaszcza ND-ków) wzbudził dopiero fakt, że legioniści monopolizowali władzę w Polsce międzywojennej, metodami nie zawsze demokratycznymi (przewrót majowy roku 1926). Legioniści ripostowali oponentom warknięciem z apokryficznej zwrotki swego hymnu („**Pierwsza Brygada**”), którą niegdyś „dziękowali” Kielczanom: „*Jebał was pies!*” (w rewanżu znany publicysta, A. Nowaczyński, stale przypominał, że melodia „**Pierwszej Brygady**” została zapożyczona z operetki „**Die blauen Husaren**”). Trzecią „czarną legendę” dostały Legiony („*Piłsudczycy*”) po klęsce wrześniowej — od części „*Sikorszczyków*”. Czwartą — od PRL-owców, nienawidzących wszystkiego „*sanacyjnego*”.

Mitologię AK-owską dała hitlerowska okupacja Polski. Polskie Państwo Podziemne było czymś unikalnym na terenie Europy okupowanej przez Niemców; z jego wojskiem (Armią

Krajową) nie mogą się równać żadne (greckie, francuskie, czy nawet jugosłowiańskie) „*ruchy oporu*”, notabene bardzo mocno mitologizowane w swoich krajach. Komuniści, słusznie traktowani przez AK jako renegaci — wzięli się za oczernianie i mordowanie AK-owców nim jeszcze Stalin zdobył Polskę. Robili to brutalnie do 1956 roku. Czarna „*gęba*” przygotowana Armii Krajowej miała wtedy wiele logicznych sprzeczności (np. zarzut „*stania z bronią u nogi*” oraz zarzut zniszczenia stolicy wskutek walk Powstania Warszawskiego), ale „*czarnym legendom*” (vulgo — zazwyczaj — paszkwilom) brak sensu nigdy nie zawadza.

Równocześnie bolszewia kleciła konkurencyjną mitologię (będącą konfabulowaniem, nie zaś kodyfikowaniem autentyzmu) — epos AL, czyli epikę rzekomej „*walki narodowo-wyzwoleńczej toczonej przez Armię Ludową*”. Prosowiecka organizacja bojowa powstała rzeczywiście (1944), u schyłku wojny (tzw. „*bohaterowie ostatniej chwili*”), a jej „*oddziały partyzanckie*” zajmowały się głównie zwalczaniem AK i NSZ, tudzież terroryzowaniem (rabowaniem, gwałceniem etc.) chłopów. Tymczasem w PRL-u wybudowano rękami „*pamiętnikarzy*” (rozliczne „*wspomnienia partyzanckie*”), „*historyków*” (rozliczne „*prace naukowe*”) i „*artystów*” (rozliczne „*filmy dokumentalne*” plus fabuły) przeogromny gmach bojowej chwały i martyrologii AL. Była to mitologia baśniowa, pełna militarnych triumfów i niezłomnych bohaterów („*Mietek*” Moczar, por. Kloss i in.), czyli załgana — nomen omen — dokumentnie. Dzięki niej stowarzyszenia kombatanckie roiły się od AL-owców, których uszlachetniało członkowskie „*koleżeństwo*” z AK-owcami (po represjach stalinowskich Armię Krajową rehabilitowano właśnie dla skolegowania jej, czyli zrównoważenia, z bandytami AL-owskimi).

Nobilitujące AL równanie AL-owców z AK-owcami wyga-

szalo stalinowską „czarną legendę” AK, lecz zwolnione środki ostrzału przechwyciła inna mafia, silniejsza niż gang komunistów. Już w 1974 roku historyk izraelski, R. Ainsztein, stwierdził, że *„Za Powstania Warszawskiego polscy faszyci z AK wymordowali więcej Żydów niż Niemców”*. I runęła lawina „rozpraw naukowych” (Krakowsky, Zuckerman, Kurzman i wielu innych) o żydობójstwie uprawianym przez AK. Ton generalny jest taki: *„AK — wypełniając rozkazy swego rządu londyńskiego, który chciał zabić wszystkich Żydów — systematycznie mordowała Żydów, koncentrując się właśnie na tym, dzięki czemu szkody, jakie wyrządzała Niemcom, były znamienne małe”* (M. Verstanding 1996). Nie pomagają zapewnienia uczciwych Żydów (m.in. S. Wiesenthala), że AK ratowała ludność żydowską. Nie pomagają głosy mądrych Żydów o przyczynach makabrycznego kłamstwa — filozof A. Glucksmann: *„Fundamentalistyczny rasizm żydowski jest potworny, to rodzaj żydowskiego faszyzmu”* (1996). Takie głosy (niezbyt liczne) są zagłuszane propagandą nieprawdy. Do oszczerców przyłączyła się *„Gaduła Wyrodna”* Michnika, publikując duży artykuł na temat mordowania niedobitków z getta warszawskiego przez warszawskich powstańców...

Mitologię Solidarności jako pogromczyni PRL-u (czyli komunizmu) gruntowano na progu ostatniej dekady stulecia, by później dać jej próchnieć z oszałamiającą szybkością. Próchniała głównie wskutek beznadziejnie złej polityki uprawianej przez solidarnościowych „mężów stanu”, lecz i wskutek mnóstwa afer dotyczących bohaterów podziemia. Liczne zarzuty o defraudację międzynarodowej pomocy finansowej były kierowane m. in. wobec takich sław jak Bujak, Kuroń czy Janas (historyk J. Oszmianowski à propos Bujaka: *„Czy to normalne, że konspirator wychodzi z podziemia z majątkiem pozwalającym założyć dużą*

firmę?”, 1995), a kolejni wojujący „antykomuniści” z czołówki solidarnościowej (Kułaj, Wałęsa, Jurczyk, Tomaszewski itd.) okazują się byłymi współpracownikami komunistycznej bezpieki. Nawet krata lub „interna” nie stanowią już wiarygodnego alibi solidarnościowych herosów, odkąd w Niemczech ujawniono, że Stasi rutynowo „represjonowała” swoich szpicli grających rolę dysydentów (m.in. głośni Böhme i Anderson), by ich uwiarygodnić, zaś bezpieki sąsiednich krajów praktykowały to samo. Na październikowym, roku 1988, posiedzeniu Sekretariatu KC PZPR gen. Kiszczak przekonywał kolegów, że przychylnych władzom delegatów strony solidarnościowej do rozmów „okrągłego stołu” trzeba „ustalać” głosząc, iż danych ludzi strona rządowa nie życzy sobie widzieć jako rozmówców — wówczas na pewno zostaną przez Solidarność wyznaczeni jako rozmówcy. Tak też było.

Im więcej znamy podobnych detali — tym bardziej epos Solidarności staje się mitologią brzydko pachnącą. Niedawno (marzec 2000) felietonista *„Tygodnika Solidarność”*, weteran Solidarności, R. Terentiew, przypomniał fakty sprzed 20 lat: *„Na szczęście dobry Pan Bóg opuścił Jaruzelskiego i ten wprowadził stan wojenny. Z punktu widzenia czerwonych był to potworny błąd. Gdyby bowiem wytrzymali nerwowo jeszcze kilka miesięcy, Solidarność sama zawaliłaby się pod ciężarem wewnętrznych konfliktów. Może i nie wypada się chwalić, ale to ja zdobyłem i rozpowszechniłem tajne nagranie z posiedzenia egzekutywy KW PZPR w Katowicach. Ówczesny I sekretarz KW tow. A. Żabiński zaproponował wtedy strategię walki z Solidarnością: « — Nie należy ich zwalczać — powiedział tow. Żabiński — przeciwnie, trzeba im dać gabinety, sekretarki, palmy przy biurkach i służbowe samochody. Wtedy sami zagryzą się na śmierć». Jaruzelski nie postuchał tego wizjonera”*.

Mitologie upadają jak religie. Bogowie Antyku zdawali się nieśmiertelni, lecz umarli; dzisiaj tylu inteligentów ciężko pracuje nad upadkiem chrześcijaństwa. Czym jest przy tym murzenie mitologii świeckiej, i do tego politycznej, czyli okazjonalnej?

16. KŁAMSTWO MITOLOGII 2 — HEROSY

Modna francuska eseistka, P. Casanova, dopiero co wydała pracę na temat zależności światowego rozgłosu danej figury od ponadnarodowej siły kultury, z jakiej ta osoba wyszła, konkludując: *„Żaden geniusz nie zdobędzie trwałej globalnej pozycji, jeśli kultura przezeń reprezentowana nie zawojuje całego świata i nie będzie się liczyła międzynarodowo”* (1999). Oto czemu Mickiewicz, Kochanowski, Wyspiański bądź Piłsudski nie są znani całemu światu.

Powie ktoś: przecież Chopin i Wojtyła (a nawet Wałęsa) są znani całemu światu! Tak, lecz jest bardzo wątpliwe, czy Chopin zyskałby światowy rozgłos, gdyby nie był dzieckiem francuskiej krwi i francuskiej kultury; Jana Pawła II nienawidzi dużo większa część ludzkości (Żydzi, muzułmanie, hinduiści, protestanci, prawosławni, wszelacy sekciarze) niż ta, która go kocha lub szanuje; Wałęsa jest symbolem buntu antykomunistycznego tylko dla nieświadomych cudzoziemców. Zresztą mity personalne sprawdza jedyny wiarygodny arbiter — Czas — więc przed co najmniej dwudziestą (jeśli nie późniejszą) rocznicą zgonu „kandydata” proroctwa mogą być równie zawodne, co wszelka futurologia XX wieku (futurolodzy byli tą grupą ekspertów, która kompromitowała się w mijającym stuleciu najczęściej i najgłębiej).

Mimo wszystko — bez większego ryzyka można zakładać, że

o ile we świecie legenda Jana Pawła II trochę przyblednie z upływem niezbyt długiego czasu (Polacy będą go czcić bardzo długo), o tyle legenda Wałęsy zdechnie bardzo szybko. Już teraz jest on pogardzany przez większość rodaków (przez lewicę oraz prawicę, bez różnicy) i nienawidzony przez swych dawnych żarliwych wielbicieli, których zdradził niczym Judasz, wspomagając (jako prezydent) czerwonych oprawców propagandowo („lewa noga”) i finansowo (zawetowanie ustawy kasującej wysokie przywileje emerytalne UB-ków i SB-ków). Nie chodzi już nawet o współpracę z SB (lata 70-e) czy o to, co publicznie zarzuca Wałęsie weteranka Solidarności, A. Walentynowicz (że nie skakał przez żaden legendarny płot, tylko przywiozła go na strajk do stoczni motorówka Dowództwa Marynarki Wojennej; że urządził z „kapciowym” M. Wachowskim orgie seksualne; itp.) — lecz o błazenadę, o hańbę, o prostacką komiczność. Napoleon, nim uczynił Berthiera marszałkiem i szefem sztabu generalnego Wielkiej Armii, rzekł: *„Postawię Berthiera tak wysoko, że wszyscy ujrzą jego trywialność!”*. Los postawił Wałęsę tak wysoko, że wszyscy ujrzeli drugiego Nikodema Dyzmę. Również Napoleon jest autorem maksymy: *„Od wielkości do śmieszności jeden krok”*.

Współczesne nadwiślańskie próby robienia figurom politycznym mitologii są żenujące bez wyjątków. Antykomuna uczyniła dużo, by zmitologizować płk. R. Kuklińskiego (który jako agent CIA zadał komunie ciężki prestiżowy cios), tymczasem okazało się, że jego przyjaciel i pełnomocnik nad Wisłą, J. Szaniawski, to wieloletni kapuś, który od czasów studenckich pracował dla SB i WSW, biegając do (ówczesnego) majora Płatka, a później przysięgając reżimowi: *„Chcę współpracować przeciwko wrogom Polski Ludowej, zwłaszcza przeciwko wywiadowi amerykańskiemu (...) Dam*

z siebie wszystko...” Zrobiło się jakby śmiesznie.

Wszystko z siebie dawali też przez pół wieku komuniści, by umitycznić deifikująco własnych „bohaterów ruchu oporu za okupacji hitlerowskiej” (Nowotko, Krasicki, Fornalska itp.), ale i tu wyszło śmiesznie, bo te kreatury okazały się agentami NKWD współpracującymi doraźnie z Gestapo (nie tylko przeciwko AK czy NSZ, lecz nawet przeciwko własnym „towarzyszom”).

Dzisiaj wszystko z siebie daje A. Michnik, by stworzyć wokół A. Michnika półboską mitologię. L. Dymarski: *„Niektórzy tłumaczą to paranoją”* (1993). G. Herling-Grudziński: *„Michnik winien pójść do dobrego psychiatry”* (1996). Z. Herbert: *„Michnik się stacza po równi pochyłej”* (1994). „Paranoją” są bruderszafty, całusy, uściski i wzajemne komplementy z Jaruzelskimi, Urbanami, Kiszczakami — w ogóle z oprawcami, przeciwko którym walczył, ale później im wybaczył i pokochał ich jak brat, więc teraz walczy, aby nie rozliczano ich zbrodni, aby im nie wystawiano żadnych rachunków (sądowych, prestiżowych, lustracyjnych, dekomunizacyjnych, jakichkolwiek), zaś oni odpłacają mu braterską miłością i wdzięcznością, sławiąc niczym świętego. Krytyk Michnika, francuski filozof A. Besançon, nazwał tę farsę (farsę jeszcze raz krzyżującą kraj mordowanych księży i robotników) *„parodią postawy chrześcijańskiej — hucpą, która budzi niesmak, bo usuwa w cień wszelką odwagę i wszelką sprawiedliwość”*.

Jedynym XX-wiecznym politykiem nadwiślańskim, który za służenie zdobył wielką ogólnonarodową mitologię (lokalną, śląską, zdobył Korfanty), jest wskrzesiciel Rzeczypospolitej, marszałek Józef Piłsudski. Władcy PRL-u przez prawie pół stulecia niezmordowanie rozstrzeliwali jego nimb lufami medial-

nymi, zwać go (cytuję epitety prasowe i książkowe): „austriackim kondotierem”, „cynicznym wodzem sprzedawczyków”, „kump-lem Hitlera”, „agentem japońskim i niemieckim”, „dyktatorem faszystowskim”, „grabarzem demokracji” itp. Trwało to do końca „realnego socjalizmu”. Przykładem rok 1985 (dla PRL-u rocznicowy), kiedy rzecznik rządu, J. Urban, na konferencji prasowej dla dziennikarzy zagranicznych (pół roku po zakatowaniu przez MSW księdza Popiełuszki) zgnoił Piłsudskiego jako tyrana permanentnie łamiącego prawo. Równocześnie rozjazgotała się „Polityka”. Jej nadworny „literat”, K. Koźniewski, nazwał Piłsudskiego głupim, tak po prostu. Jej stały felietonista, K. T. Toeplitz, dodał: „Cóż to był za okropny człowiek!... Okropny charakter!”. Jej dyżurny historyk, A. Garlicki, opisał rządy Piłsudskiego jako falę gwałtu oraz terroru, ubolewając zwłaszcza nad „fałszerstwami wyborczymi, których skala trudna jest do ustalenia”. Dyplomowany historyk, piszący coś takiego w kraju, w którym od pół wieku społeczeństwo ma identyczną wolność wyboru jak Adam wybierający sobie w rajku żonę — to przykład „poczucia humoru” zupełnie „odjazdowej” klasy, tzw. schizofrenia kremlowska.

Nic nie pomogło — wszelkie wysiłki kontrmitologiczne zawiodły — mit marszałka się nie ugiął. Rodacy tym bardziej wielbią „Komendanta”, im bardziej brakuje im dzisiaj takich (lub choćby w połowie takich) mężów stanu. I takich adiutantów (to już moja własna miłość) jak pupil „Dziadka”, przepięknie zmitologizowany kawalerzysta-poeta-birbant B. Wieniawa-Długoszowski.

17. KŁAMSTWO KULTURY

W okresie międzywojennym kultura (także sztuka) polska nie stała źle — tradycjonalizm sąsiedował z modernizmem, realizm z abstrakcją, nihilizm z katolicyzmem, itd., co dawało ciekawy kalejdoskop, aczkolwiek bez arcydzieł światowego wymiaru. Nie mogło istnieć generalnie kłamstwo kultury, gdyż zewnętrzna wolność słowa i wewnętrzna dyscyplina większości twórców wykluczały degenerację życia kulturowego.

Komunizm, swoim zwyczajem, wszystko sprostytuował. Kapłanów kultury też. W. Woroszyński głosił wtedy, że „warunkiem twórczości jest zrozumienie marksizmu-leninizmu”; S. Mrożek wzywał do „czujności pisarza (...) na podstawie marksistowskiego światopoglądu”; Sz. Kobyliński do „czujności plastyka (...) w walce z kapitalistycznymi gadami”; S. Lem pluł na zachodni system „rządzenia terrorem”, dodając, iż „całkowicie odmiennie jest w społeczeństwie budującym socjalizm”; a S. Lorentz i duże grono historyków sztuki (Zachwatowicz, Porębski, Piwocki itd.) piętnowali „zbrodniczą działalność kleru świadomie skrywającego i niszczącego skarby artystyczne”.

Złudna i krótka „odwilż” po roku 1956 nie wyeliminowała cenzury klinczującej twórczość, ale ten zewnętrzny kaganiec nie stanowił głównych więzów — gorsze były kajdany wewnętrzne, mentalne, rak lewactwa. Wśród rozlicznych kulturowych projekcji owej choroby było też zastępowanie socrealizmu swoistym nihilizmem, co tak później oceni A. Waśko: „Postawę podskórnego, antypolskiego nihilizmu w kulturze rozpowszechnili po

1956, powołując się na autorytet Gombrowicza, sfrustrowani ekszetempowcy, szukający podświadomie literackiego alibi dla swoich stalinowskich zaangażowań. A takiego alibi dostarczało właśnie głoszenie poglądu że tradycje narodowe, którymi żyła Polska międzywojenna i podziemna w latach 40-ych, były antyintelektualne i nieeuropejskie, więc ich odrzucenie (nawet na rzecz sowieckiego marksizmu) było właściwie zrozumiałe i nie stanowiło żadnej zdrady. Tezę powyższą głosili mistrzowie inteligencji polskiej: Miłosz, Kołakowski, Mrożek, Błoński i inni” (1996).

Cztery lata później diagnozę Waśki potwierdził A. Horubała: „Jak można przemawiać, jak można dalej pisać książki, gdy się uczestniczyło w tak gigantycznym kłamstwie i firmowało zbrodnię? Można wybrać drogę zanegowania sensu historii, zanegowania odpowiedzialności. Śmiech ze wszystkiego, negacja wartości tradycji — to wszystko było doskonałym alibi (...) Stało się tak głównie dzięki *«Trans-Atlantykowi»* Gombrowicza. Ta opowieść dezertera, który własne tchórzostwo uzasadnia śmiesznością narodowej tradycji i wiernością samemu sobie, była niezwykle atrakcyjną protezą dla krajowych literatów. Niedawni studzy najeźdźcy, szydlerczo wysmiewający narodową tradycję, teraz łączyli się z ofiarami w obłądnym karnawałowym tańcu. Bo przecież wszyscy zostali oszukani (...) Cóż z tego, że sprawa wcale tak nie wyglądała? I że najpierw przyjechały tu sowieckie czotgi i wyszkoleni w Moskwie agenci? Lepiej przecież stroić się w szatki oszukanego inteligenta...” (2000).

Obok terroru kultury scentralizowanej i promującej beztalencja — grzechem głównym kulturowych (twórczych i opiniotwórczych) elit PRL-u była intelektualna plagiatowość. Najidiotyczniejszy humbug, koniunkturalna sztuczka czy sezonowa błyskotka, okrzyczane za granicą arcydziełem — z miejsca były arcydziełem okrzykiwane i u nas. Exemplum szpan na litera-

ture iberookrepięską, która wydała kilka dobrych dzieł, ale w Polsce drukowano ją gigantycznymi seriami, hurtem kanonizując. Obowiązkiem stała się pozycja klęcząca, wynoszenie pod niebiosa, granie na dwudziestu scenach jednocześnie i w końcu zekranizowanie przez TV „*Mistrza i Małgorzaty*” Bułhakowa, chociaż dobre są tam tylko partie Piłata, a reszta to satyryczne arietki typu „*Krokodil*”, jak słusznie i odważnie (bo publicznie) zauważył J. Hen.

Symbol tumanienia mas przez „rozprowadzających” kulturę polską — i zarazem symbol kulturowej ciągłości między PRL-em a III Rzeczpospolitą — stanowi wydane właśnie (PWN 2000) kompendium „*Literatura polska XX wieku — przewodnik encyklopedyczny*”. Olbrzymie dzieło, pełne biogramów grafomanów i pękające od hagiografii czerwonych literatów, którzy swój sterowany centralnie wzlot przeżywali za PRL-u, a całość pisana marksistowską frazeologią godną „*Trybuny Ludu*”. G. Filip, recenzujący tę cegłę na łamach „*Nowego Państwa*”, słusznie zapytał: „*Jak długo jeszcze będziemy musieli czytać takie brednie? Przecież to kompromitacja naszej polonistyki w dziesięć lat po komunizmie (...)* Trzeba po prostu napisać od nowa całą tę encyklopedię”.

Trzeba chyba poczekać, aż wymrą czerwone i różowe gnidy konserwujące most między „*Ludową*” a „*Niepodległą*”. Personalnym symbolem tego mostu — ilustracją złych opiniotwórczych praktyk, które nie chcą się dać wyrugować — jest casus pt. Kosiński. Media pierwszych lat „*wyzwolonej*” (1989-1991), na czele z „*Gadułą Wyrodną*”, majstrowały Kosińskiemu niebotyczną klękę, pędząc ogłupiałe tłumy do jego stóp. Dzisiaj, gdy już wszyscy wiedzą, że był to — cytuję A. Liberę (1992) — „*zwykły hochsztapler, farmazon i grafoman*”, którego „*cieleca*

otwartość szerokiej polskiej publiczności na bałamuctwo” uczyniła gwiazdorem, mimo że „wartości literackie i myślowe jego twórczości są bliskie zeru” — czy ktoś się wstydzi? Czy szalbierze tumaniący opinię publiczną wstydzą się swych brudnych (często rasistowskich) sztuczek? Czy tzw. masowy odbiorca wstydzi się swej „cieleńkości” ergo: zwykłej głupoty, podatności na trójkarcianą szulerkę, i braku własnego sensownego smaku?

To, co K. Rutkowi (obserwator życia kulturalnego Francji), pisząc o grafomaństwie Kundery, nazwał „mechanizmem dmuchania wielkości literackich”, a w odniesieniu do kraju: „przemysłem kreowania polskich Kunder” (1996) — L. Tyrmand dużo wcześniej zwał: „przepisem na robienie kogoś z nikogo za państwowe pieniądze”. Dziś uprawia się takie hagiografie nie tylko za gotówkę państwową, choć dalej są to pieniądze durniów dystrybuowane przez farmazonów. Dzięki temu — chociaż zdecydowana większość rodzimej twórczości demaskuje impotencję artystyczną, bo ma grafomański styl i plagiatowy (wtórny) charakter — codziennie słyszymy o arcydziełach szybujących (chwilowo) z błogosławieństwem lewackiej psiarni opiniotwórczej, wszystkich tych jurorów „politycznie poprawnych”, „postmodernistycznych”, „europejskich”, a postkulturowych par excellence. Ale dlaczego ma być inaczej? Państwo, którego dyplomaci nie znają języków, którego moralisci nie mają wstydu, i którego intelektualiści cierpią na brak inteligencji — nie urodzi prawdziwego arcydzieła. Nawet sensownej konstytucji urodzić nie umiało. Konstytucja powinna być zwięzłym, klarownym zapisem praw obywateli i obowiązków władzy, a nie rozwlekłą „opowieścią idioty” (Szekspir), w której możliwość dowolnego interpretowania co drugiego paragrafu stanowi zachętę dla sukinsynów.

Tak jak kształt konstytucji jest wizytówką nie tylko ustroju politycznego, ale i kultury narodu — tak kształt krytyki jest lustrem całego kulturowego życia. W Polsce — lustrem krzywym. Dzieje się tak m. in. wskutek nie wytworzenia zdrowych (zdroworozsądkowych oraz uczciwych) kadr krytyków, i wskutek kultywowania przez stare, zdeprawowane lewicowością kręgi opiniotwórcze, fałszywych dogmatów bądź hodowania „świętych krów”, takich jak choćby A. Szczypiorski, który — mimo że „dowiódł, iż nie umie pisać, a literatura jest dla niego żywiołem obcym” (L. Dymarski) — „zrobił karierę literacką szczególnie niewspółmierną do swego talentu” (T. Łubieński i A. Mętrak).

Czymś zupełnie innym — choć momentami równie gorszym — jest casus wybitnego nadwiślańskiego reżysera, A. Wajdy, który zrobił karierę całkowicie współmierną do swego talentu, bo obok mnóstwa knotów i kilku rzeczy znakomitych (np. „Człowiek z marmuru”) wyprodukował aż trzy ewidentne arcydzieła filmowe („Popiół i diament”, „Wesele”, „Ziemia obiecana”). Zamknął on wiek XX życia filmowego Polaków zekranizowaniem narodowego eposu Polaków, zupełnie chybionym (każde zaprowadzone na tego „Pana Tadeusza” dziecko nigdy już nie przeczyta ani jednego wersu Mickiewicza), a przy okazji neglizującym katastrofalną formę polskich — tak ciągle hołdowanych przez rodzime media — komediantów (fatalna sztuczność operowania „mową” Mickiewicza bliska deklamacjom ze szkolne akademii; tylko M. Kondrat robi to niezłe, i tylko G. Szapołowska robi to wspaniale, pokazując, że gadać romantycznym rymem z taką naturalnością, jakby się mówiło współczesnym językiem — można!). Polska krytyka prawie unisono (ledwo kilka wyjątków) okrzyknęła ten nieu-

dany twór dziełem wybitnym, a polscy decydenci kulturowi zaproponowali go Amerykanom jako kandydata do Oscara, budząc tym wśród Jankesów reakcję, którą łagodnie demonstruje się wzruszeniem ramionami, a mniej łagodnie — za pomocą pukania palcem w skroń (podczas projekcji „**Pana Tadeusza**” duża część Akademików przyznających Oscary zdeglustowana opuściła salę nim film dobiegł połowy). Wszędzie na Zachodzie opinie są podobne: żenująca kłapa starego mistrza (przykładowo — we Francji nawet lewicowe media określiły film Wajdy jako „papierowo-dłużyznowy”). Tymczasem w kraju spadł nań deszcz odznaczeń i laurów.

Jak bardzo cały rodzimy system opiniotwórczy uległ degeneracji — świadczy fakt, że również „politycznie poprawna”, lewacka gazeta Michnika dokopała kiedyś temu bagnu: „*W Polsce, w której nikt nie rewiduje przyjętych w latach 60. sądów estetycznych, a tekst, w którym pojawia się zdanie, że «Brandys, Andrzejewski, Mrozek i Różewicz są miernymi pisarzami», przez kilka lat nie może doczekać się druku, a drukując go jedyna odważna redakcja zastrzega, że poglądy autora broń Boże nie są zgodne z jej własnymi; w kraju, w którym obowiązują niepodważalne wielkości i tematy tabu, a krytyków obowiązujących wielkości nazywa się «nieodpowiedzialnymi chłopcami» — życie kulturalne jest fikcją*” (E. Toniał 1992).

„Postmodernistycznie” odpowiedzialni (chłopcy i dziewczynki) zamknęli XX wiek „życia kulturalnego” Polaków kreowaniem nowych wielkich twórców: w sztuce — „plastyczki”, która przebrana za pana (z przypiętym gumowym penisem) chodzi do męskiej łaźni i robi fotosy ukrytą kamerą; w literaturze — „pisarki”, która napisała powieść o kobiecości dwulektaczkowej (sic!). A w telewizji leci dalej „Świat według Kiepskich”.

18. KŁAMSTWO SPORTU

Do prawie połowy wieku sport — ze wszystkimi jego trikami, lewymi handicapami i „drugimi dnami” — nie był w Polsce gangreną fizyczną i etyczną. Pandemia zaczęła się po skomunikowaniu Rzeczypospolitej i trwała przez cały czas „Polski Ludowej”. Program oficjalny głosił (cytuję teks W. Gołębińskiego z PZPR-owskiej „**Trybuny Ludu**”): „*Sport służy wychowywaniu młodych ludzi w szacunku dla pracowitości, lojalności, koleżeństwa, poszanowania przepisów, godnego reprezentowania kraju...*” (1975), itd., itp. — słowem sport miał służyć wszechstronnej humanizacji młodzieży. Praktyka była zupełnie inna — sport służył wszechstronnej demoralizacji młodzieży. Że zaś „cenzura prewencyjna” nie była wobec afer sportowych równie mocno prewencyjna, co wobec innych czarnych kart PRL-u — opinię publiczną często bulwersowano doniesieniami o „kryminałkach” ubarwiających sarmackie „życie sportowe”. A to polscy juniorzy kradli stos dzinsów we francuskim mieście La Ferte (były setki takich afer złodziejskich za granicą); a to seniorzy gwałcili jakieś pokojówki w hotelu czy pasażerki w pociągu (funkcjonariusze PZPN-u ledwie wyrwali nieznaną kobietę z rąk takich gwiazd jak Szarmach i Gorgoń); a to kompletnie pijani „wielcy sportowcy” robili bezkarnie masakrę drogową (Musiał) lub demolowali lokal gastronomiczny (Iwan); a to zapaśnicy dokonywali „włamu”, bokserzy „rozboju”, lekkoatleci przemytu itd.; a to trenerzy (pływacy, gimnastyczni i in.) trenowali hurtowe pedofilstwo z nieletnim „narybkiem sportowym”; etc., etc., etc.

W PRL-u sport był „czysto amatorski”, więc wszystko kręciło się wokół grubych pieniędzy (cienkie nie interesowały nawet

juniorów). Kupić można było każdy wynik w każdej dyscyplinie sportowej, a każdy wyjazd zagraniczny stawał się wyjazdem „biznesowym” (kontrabanda plus handel). Ryby psuły się, rzecz prosta, od głów — największymi złodziejami i łapownikami byli wodzowie, czyli sędziowie, prezesi związków oraz klubów i „działacze” formujący mafię bardzo profesjonalnie zorganizowaną. Co prawda polscy sędziowie byli przez cudzoziemców pogardzani jako „taniocha” (czołowego polskiego jurora futbolu kupowano w RFN za karton whisky - sic!), jednak chętnie zapraszani do sędziowania międzynarodowych spotkań, bo to dawało oszczędność. Rekompensowali sobie korupcją na ligowych boiskach „ludowej ojczyzny”. Demoralizację sankcjonowała dwulicowość mediów, które wywlekały tylko afery puszczane przez sito cenzury, i jednocześnie używały relatywistycznego („patriotycznego”) języka typu „*Jak Kali ukraść krowę...*”. Gdy Mc Farland powstrzymał szarżującego Latę chwytem za koszulkę (pamiętny mecz z Anglią na Wembley) — to było „*boiskowe chuligaństwo*”; gdy nasz Kasperczak identycznym sposobem zatrzymał Valdomiro (pamiętny mecz z Brazylią podczas World Cup 74) — to był „*faul taktyczny na przeciwniku*”. Faryzejski bełkot sportowych dziennikarzy, gwiazdorów, jurorów i prominentów tamtej doby równał do poziomu zepsucia, fałszu i demagogii wszystkich elit PRL-u, kulturowych nie wyłączając (ulubieniec „*europczyków*” J. Waldorff, bezczelnie głoszący na łamach swej ukołam czerwonej „**Polityki**”, że jest współautorem... Boyowskich tłumaczeń literatury Balzaca, bo Żeleński prosił go o translatorską pomoc! — to symbol adekwatności kłamstw farmazonów „*kultury duchowej*” i magików „*kultury fizycznej*”).

Zdemoralizowany był cały PRL-owski sport, ale bezkon-

kurencyjnie zdemoralizowany był PRL-owski futbol, czemu trudno się dziwić — jako dyscyplina najpopularniejsza miał w obiegu największy „*szmalec*”. Przez całe dziesięciolecia ligą piłkarską rządziły „*spółdzielnie*” i układy mafijnych bossów (perfekcyjnie pokazał to film J. Zaorskiego „**Piłkarski poker**” 1993), z góry mianujące mistrzów, wicemistrzów i spadkowiczów, a niektóre drużyny (np. krakowska Garbarnia) notorycznie grały rolę „*regulatorów*” — nie chciały lauru mistrzowskiego, chciały tylko przehandlować jak najwięcej meczów za jak największą gotówkę. A.D. 1977 mój brat poznał (w kurorcie) piłkarza z ligowego „*regulatora*”, a ten mu „*pod śledzika*” sprzedał kulisy futbolowego jarmarku:

— Przyjeżdżamy, kapujesz, do N... Frajerzy są na krawędzi, jeden przegrany mecz i lecą na mordę. No to mówimy przed meczem: tyle i tyle i macie mecz. Ale oni pyskują, że nie — nie chcą bulić, bo myślą, że u siebie dadzą radę. No to my, kapujesz, gramy na ura, i do przerwy jest 0:0. I frajerzy normalnie miękną, kapujesz, strach do tyłka. W przerwie przyłazi dwóch do naszej szatni i śpiewają: bulimy. No to w porządku — po przerwie, kapujesz, gramy na jedną bramę. I tu, brachu, zaczyna się cyrk. I my, i oni, chcemy wkopać w te nasze brame — i, cholera, nic! Pomagamy im jak możemy, chodzimy jak po hajnie-medyna, a tu, szlag trafił, nic i nic, nie mogą palanty wbić do pustej bramy! Taki fart, rany boskie, czegoś takiego w życiu nie widziałem — forsa wzięta, podkładamy się jak te bure suki, a tu ciągle 0:0! Trzy minuty do końca, śmierć w oczach... Co było robić, ścięliśmy frajera na polu karnym, aż matka ziemia stęknęła, no i, kapujesz, git! Z karnego wreszcie wbili. Ale cośmy się napocili wtedy i nastrachali, że trzeba będzie zwrócić szmal, kurcze blade, długo nie zapomnę!...

Jeśli dobrze pamiętam — w PRL-owskiej prasie tylko raz ukazała się szczegółowa relacja piłkarza (Z. Czółnowskiego) o konkretnym sprzedanym meczu (drugoligowym: Polonia-Warta). Gdy w roku 1979 „Kultura” wydrukowała mój artykuł pt. „Sportowe piętno”, o gangrenie rodzimego futbolu — cenzura „zdjęła” puentę (był nią cytat wypowiedzi L. Piaseckiego sprzed I Wojny): „Gra ta jest po prostu miniaturą ustroju” (zachowałem wszakże „szczotkę” redakcyjną, czyli pierwodruk, z nie okrojonym tekstem).

Dekada między końcem PRL-u a końcem stulecia zmieniła tylko jedno: doping (niegdyś głównie u ciężarowców i lekkoatletów, później u wszystkich, ale limitowany bezdewizowością i ostrożnością) — stał się „koksem” powszednim jak chleb i woda. Reszta — łapownictwo, demoralizujące zarobki, handel meczami itp. — przeżywa „dalszy dynamiczny rozwój”.

*„Im większe łgarstwo,
tym łatwiej ludzie uwierzą”*

dr Joseph Goebbels

część III

*a*NAT*O*mia kłamstwa

*„Najgorsze nie jest to, że ludzie oszukują.
Najgorsze jest to, że każde oszustwo
ma jakieś usprawiedliwienie”*

Waldemar Łysiak, „Cena”

W marcu roku 1999 NATO zaczęło masakrować Serbię, tłumacząc, iż tym sposobem chce uchronić kosowskich muzułmanów (Albańczyków) przed „czystkami etnicznymi” — przed ludobójczą furią Serbów. Hersztem ludobójców światowe media mianowały prezydenta Jugosławii, demokratycznie wybranego Slobodana Miloševicia. Nie byłem zwolennikiem tej interwencji, która cały czas jechała na barbarzyńskim rozstrzelaniu suwerennego państwa i na tumanieniu światowej opinii publicznej stekiem fałszów. Jako jedyna spośród polskich „figur publicznych” ogłosiłem przeciwko agresji integralny (osobna publikacja) zdecydowany protest (w „Tygodniku Solidarność”). Rozwinę go teraz za pomocą 10 punktów analitycznych.

Wiem, iż „wojna o Kosowo” to już sprawa trochę przebrzmiała (choć nie mam wątpliwości, iż Kosowo wróci jeszcze na czołówki mediów, i to ze straszliwym hukiem), pragnę wszakże potraktować tę „ostatnią europejską wojnę XX wieku” jako model do szczegółowego przeanalizowania systemu kłamstwa, którym się karmi ludzi współczesnych niczym dawniej „dzikusów” wódką — by ogłupionymi manipulować bez trudu. Będzie to swoista „wiwisekcja” żywego (wciąż krwawiącego) preparatu, który zasługuje na miano „*signum temporis*” — plastycznej wizytówki imperium wszechobecnego, demiurgicznego kłamstwa, jakie stworzył XX wiek.

Protestuję!

PROTESTUJĘ przeciwko bandyckiej napaści wojsk Zachodu na suwerenne państwo jugosłowiańskie — napaści, której celem jest ukradzenie temu państwu dużego fragmentu terytorium!

Żeby wszystko było jasne: Milošević nie był i nie będzie „*bohaterem mojego romansu*” (delikatnie mówiąc), lecz mój protest — protest antykomunisty przeciwko zbrodni, którą od początku piętnuje komuna — jest niezbędnym właśnie dlatego, by czerwoni nie zachowali monopolu na ten protest. Gotów byłbym poprzeć cios wymierzony każdej kreaturze rodzaju Miloševicia, ale bombardowań Jugosławii dla uszczuplenia jej suwerenności i zmiany jej granic — nigdy! Pachną mi one bowiem agresją Hitlera na Czechosłowację (1938), agresją Stalina na Finlandię (1939), jak również niemiecko-sowiecką agresją na Polskę („*toutes proportions gardées, naturellement*”).

PROTESTUJĘ przeciwko notorycznym umizgom biurokracji amerykańskiej i europejskiej do świata muzułmańskiego — barbarzyńskim efektem owej kontrchrześcijańskiej tendencji jest właśnie napaść na Jugosławię za to, że próbowała hamować sterowaną z zewnątrz gwałtowną albanizację (czyli muzułmanizację) Kosowa! Ten sam Zachód, który nigdy zbrojnie nie interweniował, gdy przez wiele lat i wobec całych narodów były łamane prawa człowieka (m.in. w tzw. „*krajach satelickich*” imperium sowieckiego) — raptownie odzyskał sumienie i werwę bojową, gdy małe-niepodległe-chrześcijańskie państwo broni się przed dywersyjnym uszczuplaniem mu terytorium na rzecz islamu. Poczytajcie statystyki, które bilansują permanentną, żywiołową islamizację Europy! Francja już płaci gorzką cenę wieloletniego nielimitowanego napływu rzesz muzułmanów, a kiedyś

zapłaci cenę straszną. Islam jest bowiem religią drapieżną; wojownicza nienawiść do chrześcijan i niezłomna wrogość wobec kultury europejskiej są fundamentami tego kultu. Miliony ludzi tolerujących agresję przeciwko Jugosławii nie mają pojęcia, że gdy w Europie buduje się meczety bez żadnych kłopotów — w wielu krajach islamu samo posiadanie krzyża lub wzywanie Chrystusa karane jest śmiercią z mocy prawa!

PROTESTUJĘ przeciwko ogólnoswiatowemu faryzeuszostwu mediów, które zaklamują tragedię Kosowa ukazując Serbów jako zwyrodnialców, a muzułmanów jako niewinne baranki, ofiary niczym nie sprowokowanego gwałtu. Krew (winna i niewinna) leje się tam wskutek gry międzynarodowej, dzięki intrygom światowych „lalkarzy” (często kryptolewicowców), dla których kukiełkami są narody i państwa. Amerykański żigolak, traktujący rakietę jak cygara do testowego wciskania we wszelką słabiznę — tylko firmuje swym nazwiskiem bezwstyd tej manekiny, czyli hańbę tej agresji, ukazywanej przez hordy „poprawnych politycznie” dziennikarzy jako triumf sprawiedliwości. Nie ma tu sprawiedliwości — jest tu odwieczne ludzkie bezprawie silniejszego agresora.

PROTESTUJĘ wreszcie przeciw wmawianiu społeczeństwu polskiemu, że „nasi chłopcy” winni wspomóc agresorów, bo to przybliży nas do Europy, do Ameryki i w ogóle do cywilizacji. Zbyt często i zbyt łatwo (nie bez obojętności świata) historia przybliżała Polaków do zagłady metodą agresji ze Wschodu i Zachodu. Co prawda agresja i bandytyzm są dzisiaj ustawowo tolerowane przez kolejne polskie rządy (czego dowodem fakt, iż prawo głaska lub chroni bandytów i wszelką szumowinę, a do sądów, aresztów i więzień regularnie zawleka się ludzi, którzy mieli czelność stawić bandzirowi czy żulowi opór) — lecz publiczne uświęcanie międzynarodowej agresji to jeszcze wyższa jakość faryzeuszostwa. Kazano już Polakom kochać muzułmańskich gangsterów (Czeczenów), kazano szanować muzułmańskich bolszewików (Kurdów), a teraz mamy oklaski-

wać lotnictwo, które rysując bombami nową mapę Bałkanów tworzy nader wygodny precedens — iluż „niegrzecznym” państwom można będzie capnąć jakąś prowincję, używając etnicznego pretekstu! Lub pretekstu pt. „*prawa człowieka*”! Jeśli ten precedens kiedyś sprawi, że zwrócony nam zostanie Lwów — to ja przestanę protestować, panowie „europejczycy”!

WALDEMAR ŁYSIAK

P.S. Oczywiście przestanę protestować tylko pod warunkiem, że przy zwracaniu Lechitom Lwowa nie zostaną nam zabrane metodą kosowską Pomorze, Śląsk lub Mazury.

1. KŁAMSTWO O „ALBAŃSKIM KOSOWIE”

Państwo serbskie powstało w IX wieku, a więc słowiańska Serbia jest rówieśniczką słowiańskiej Polski — ma około 1000 lat. Na terenie Kosowa Słowianie osiedlili się już w VII wieku, stąd — mimo dzisiejszej muzułmanizacji tego regionu — 98% nazw geograficznych Kosowa ma źródłosłów słowiański. Kosowo w XII wieku stało się integralną częścią, a dwa wieki później centralną częścią państwa serbskiego, pełną miast, wsi, zamków tudzież chrześcijańskich monastyrów i kościołów. Od tamtej pory Serbowie nigdy nie przestali mówić, że ziemia kosowska jest „*kolebką narodu serbskiego*”. Jej utrata staje się dla nich tym samym, czym dla Polaków byłaby utrata ziemi krakowskiej lub gnieźnieńskiej.

Jest Kosowo dla Serbów również ziemią świętą — głównym terenem narodowej i religijnej martyrologii. Tam Serbowie próbowali zatrzymać muzułmański „*potop*”. 28 czerwca 1389 roku 40 tysięcy serbskich witezów przyjęło przedśmiertną komunię świętą wokół kościoła Samodererza i stanęło na Kosowym Polu przeciwko 120 tysiącom Turków. Nie mieli żadnych szans i nie mieli złudzeń — wiedzieli, że zginą. Lecz mieli świadomość konieczności swej ofiary dla obrony krzyża i państwa. Zginęli co do jednego, a Kosowe Pole zostało ich ciałami uświęcone jako serbskie Termopile. W kwietniu roku 1982 serbski kler ogłosił (tekstem o serbskich sanktuariach), że „*dla narodu serbskiego nie ma droższego słowa niż Kosowo, ani cenniejszej rzeczywistości niż Kosowo, ani wspanialszego sanktuarium niż Kosowo święte*”.

Napływ muzułmańskich Albańczyków do Kosowa zaczął się po klęsce antytureckiego buntu Serbów (1689) i wzmógł w stuleciu XIX, bo wtedy Serbia toczyła szczególnie ciężkie walki o wyzwolenie, więc Turcy chcieli tu mieć sprzymierzeńców. Zgodnie z planem Stambułu — imigranci (kosowscy Albańczycy) chętnie brali udział w zwalczaniu narodowyzwoleńczej walki Serbów; chętnie i okrutnie — już wtedy okrucieństwo Albańczyków było ich cechą przysłowiową.

Serbia odzyskała niepodległość w roku 1878, lecz bez Kosowa, dlatego przez następne dekady Turcy dalej masowo zaludniali Albańczykami „*kolebkę serbskiego narodu*”. Gdy armia serbska wyzwoliła wreszcie Kosowo (1912) i gdy wróciło ono do serbskiej macierzy (1913) — nie stało się areną zemsty zwycięzców; muzułmanom dano pełną swobodę religii i kultury. Odwdzięczyli się po swoim trzy dekady później, kiedy Kosowo zostało zajęte przez wojska Hitlera i Mussoliniego. Nigdzie w Europie naziści i faszyci nie znaleźli równie chętnych sprzymierzeńców, co wśród bałkańskich muzułmanów (Albańczyków i Bośniaków). Notabene Europejczycy nie pamiętają już o tym, że Hitler był idolem całego świata muzułmańskiego właśnie za to, że masakrował chrześcijańsko-żydowską Europę (a Polacy nie pamiętają o tym, że wrześniejsza klęska i kapitulacja państwa polskiego była w stolicach państw muzułmańskich fetowana jak święto narodowe — wybuchem entuzjazmu!).

Włączone przez hitlerowców i faszystów do „*Wielkiej Albanii*” — Kosowo stało się muzułmańską rzeźnią eksterminującą Serbów. Komanda albańskich oprawców zwanych „ballistami” (oddziały Baliu Combetar), jak również muzułmańskie dywizje Waffen SS (bośniackie Hanczar i Kama, albańska Skanderbeg) wymordowały kilkanaście tysięcy Serbów (nigdy nie policzono

dokładnie ofiar), a ponad 100 tysięcy Serbów zdołało uciec z Kosowa. Na ich miejsce Hitler i Mussolini sprowadzili tyle samo (ponad 100 tysięcy) Albańczyków z Albanii, co stało się fundamentem późniejszej (powojennej) silnej przewagi etnicznej Albańczyków w Kosowie.

Bohatersko walczący z Hitlerem Serbowie zbudowali po wojnie nową Jugosławię, znowu nie mszcząc się na Albańczykach, tylko dając Kosowu — mocą konstytucji — bardzo szeroką autonomię, obejmującą m. in. sądownictwo i struktury władzy wykonawczej. Przedstawiciele Kosowa zasiadali we władzach Federacji i mogli podejmować samodzielne decyzje bez zgody rządu Republiki Serbii. Muzułmanie zaś mogli nie tylko bez przeszkód krzewić swoją kulturę i wyznawać swój kult, ale i regularnie zwiększać na swoją korzyść dysproporcję liczbową między nimi a kosowskimi Serbami. Zwiększali dubeltowo — metodą szybszej rozrodczości i metodą stałego nacisku na swych serbskich sąsiadów. Tylko w latach 1968-1988, przy cichym wsparciu lokalnych albańskich urzędników, zmuszono do opuszczenia Kosowa aż 220 tysięcy Serbów, dzięki czemu liczba mużulmanów wzrosła aż do 74% wszystkich mieszkańców Kosowa (jak podaje „**Mała Encyklopedia PWN**” 1995). Kolejne fale emigracji Serbów zostaną spowodowane zbrojnym terrorem albańskim, co da mużulmanom przewagę 80:20 (80%, choć propaganda NATO mówiła aż o 90%). „**New York Times**”, potępiający Serbów i piętnujący rzekome „czystki etniczne” Miloševicia, zapomniał już, że 18 lat temu (1982) piętnował kosowskich Albańczyków, którzy „wypędzają Serbów z ich domów”.

Serbski socjolog, A. Djilas, zadał na łamach „**Die Zeit**” pytanie: „Dlaczego Albańczycy nie chcieli korzystać z demokratycznych praw, jakie oferowała im autonomia? Mogli z niej korzystać pełnymi

garściami. Dlaczego im to nie odpowiadało?”. Autonomia, chociaż tak szczodra, że trudno znaleźć gdzie indziej podobną — nie odpowiadała kosowskim mużulmanom, bo rozzuchwalił ich właśnie jej zakres. Zgodnie z „regułą Tocqueville’a” — bunt wybuchają nie tam, gdzie panuje terror, lecz tam, gdzie panuje liberalizm, a zwiększanie obszaru wolności zwiększa potencjalną groźbę buntu. Duża autonomia dla będącej w Kosowie większością populacji albańskiej pchnęła tę „mniejszość etniczną” ku idei oderwania Kosowa — zabrania Kosowa Serbom i przyłączenia go do Albanii. Na to Serbowie nie chcieli się godzić, tak jak Polacy przez dziesiątki lat nie zgadzali się oddać Niemcom ziemi wielkopolskiej.

2. KŁAMSTWO O PRZYCZYNACH KONFLIKTU

Dla tragedii Kosowa kluczowym (źródłowym) kłamstwem była rozpowszechniana przez NATO niby dogmat fałszywa wersja przyczyn konfliktu. Brali w tym udział zachodni politycy najwyższego szczebla, choćby premier Wielkiej Brytanii, rasowy lewak T. Blair, dla którego zawsze było jasne, że dobrzy są kosowscy muzułmanie, a źli są Serbowie. Kilka miesięcy po wojnie (październik 1999) J. Laughland wyartykułuje cierpko na łamach „*Spectatora*”: „*Prymitywny manicheizm stosowany przez Blaira w czasie tej wojny odbiegał bardzo daleko od rzeczywistego stanu*”.

NATO-wska wersja przyczyn, dla których Pakt „musiał” wszcząć wojnę, brzmiała tak: w 1990 źli Serbowie ni stąd ni zowąd skasowali autonomię Kosowa i zaczęli okrutnie prześladować kosowskich Albańczyków, co pchnęło tych biednych muzułmanów do walki o życie i o godność, a wówczas gang Miloševicia wszczął ludobójcze „czystki etniczne”, więc NATO musiało spuścić ze smyczy miotających bomby i rakiety lotników. Kropka. Tymczasem prawda jest zupełnie inna: wojnę – mile widzianą przez państwa pragnące „spożyć” swoje stare zapasy broni i amunicji, testować swoje nowe maszynyki militarne i pichcić swoje nowe polityczne zupki w „*bałkańskim kotle*” (głównie USA i Niemcy) – zdetonowali albańscy dywersanci i kosowscy muzułmańscy secesjoniści, lekceważąc autonomię i

wprowadzając krwawy antyserbski terror obliczony właśnie na wywołanie międzynarodowego konfliktu. Jego długofalowym celem była od samego początku secesja Kosowa i przyłączenie go do Albanii.

Pierwsze symptomy można było rejestrować w 1981 roku. Kosowscy Albańczycy demonstrowali wówczas, żądając, by status okręgu autonomicznego zamieniono na status republiki. Kilka lat później status federacyjnej republiki przestał być ich marzeniem – coraz głośniej zaczęli się domagać niepodległości („*wyzwolenia od Serbów*”). W 1989 jeden z radykalnych muzułmańskich przywódców, zwany „*albańskim Mandelą*” A. Demaci, ogłosił, że Albańczycy utworzą powstańcze wojsko, które zabierze Serbom Kosowo, odrywając prowincję od Federacji Jugosłowiańskiej. Tego już było Belgradowi za wiele. 5 lipca 1990 parlament Serbii nie tyle likwiduje, ile ogranicza autonomię Kosowa i rozwiązuje kosowską izbę reprezentantów, jednak zostawia Albańczykom dużo swobód. Lecz Albańczycy nie chcą już swobód, chcą tylko jednej swobody – swobody oderwania Kosowa.

Rezygnacja muzułmanów z ich wcześniejszych praw autonomicznych, a później oficjalna dewaluacja autonomii przez Serbię, spowodowały najpierw „*wojnę wyborczą*”, a dopiero potem ogniową. Konstytucja jugosłowiańska gwarantowała muzułmanom z autonomicznego Kosowa 30 miejsc (na 250) w parlamencie Serbii, 12 miejsc (na 178) w parlamencie Federacji, i 80% miejsc w lokalnym (kosowskim) zgromadzeniu. Osłabiwszy niekochaną autonomię muzułmanie zorganizowali sobie nielegalne własne wybory (1991), własny (nielegalny) parlament, a I. Rugovę wybrali na prezydenta niezależnego albańskiego państwa pt. Republika Kosowo. Równocześnie zaczął się totalny

bojkot Belgradu — przestali płacić podatki, uznawać serbski za język urzędowy, zgłaszać się do wojska, chodzić do szkół. Zaczęli organizować własne szkolnictwo i myśleć o utworzeniu własnego wojska. „Serbia nie mogła tolerować takiego sabotażu” — pisze V. Stamenković. Żadne normalne państwo nie mogłoby tolerować takiego sabotażu uprawianego przez „narodową mniejszość”.

Wszechstronnemu sabotażowi towarzyszyły coraz bardziej intensywne i coraz bardziej zbrodnicze działania terrorystyczne. O ile w roku 1991 kosowscy terroryści muzułmańscy dokonali 11 bandyckich ataków na serbskie urzędy, na policję serbską i na serbskich mieszkańców Kosowa — o tyle w latach 1996 i 1997 odnotowano już powyżej 30 zamachów rocznie. Było to zresztą jedynie preludium. W roku 1998 Albańczycy kosowscy wzniesają wojnę totalną — ich Armia Wyzwolenia Kosowa (UÇK) dokonuje aż 1885 aktów terroru (ponad 5 zamachów dziennie)! Kosowo splota serbską krew, przelewana czysto prowokacyjnie — chodzi o wzbudzenie serbskich represji i w efekcie kontrrepresji ze strony Zachodu. Nie będą tego negocjować nawet przychylni Albańczykom komentatorzy. Wróg Serbów, zwolennik akcji NATO, F. Schlosser, przyznał na łamach „*Le Nouvel Observateur*”: „Zbrojne grupy, które Zachód jeszcze pół roku temu zwał «terrorystycznymi», zaczęły dokonywać śmiertelnych zamachów na serbskich policjantów i urzędników, prowokując przez cały 1998 rok represje”.

Muzułmański bandytyzm wymierzony przeciw serbskim oficjałom, lecz najwięcej strachu wzbudzający wśród kosowskich cywilnych Serbów (serbscy mieszkańcy Kosowa znowu zaczęli exodus do Republiki Serbskiej) — jakoś niezbyt interesował zachodnią opinię publiczną. Może dlatego, iż zachodnie

media nie poświęcały mu większej uwagi. Natomiast serbskie akcje odwetowe wzbudziły furię Zachodu. Może dlatego, iż zachodnie media potrafiły wybornie tę pacyfikację demonizować. Niewiele liczących się zachodnich głów umiało ocenić sytuację tak trzeźwo, jak to zrobił francuski generał P. Font: „*Ograniczenie autonomii Kosowa i represje wobec separatystów były desperackim odruchem, mającym powstrzymać dalszą dezintegrację tego, co zostało z Jugosławii*”.

„*Desperacki odruch*” Serbów pragnących chronić „*kolebkę serbskiego narodu*” przed secesją — został ukarany gradem NATO-wskich bomb. Robert, student Wydziału Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, zadał na łamach studenckiego pisma „*Reakcja — Tygodnik Myśli*” bardzo celne pytanie: „*Dlaczego każde państwo członkowskie NATO może bronić swojego kraju przed żądaniem separatystycznymi, a Serbom się tego odmawia?*”. I dodał: „*Państwa uczestniczące w agresji na Jugosławię stały się sojusznikami albańskich terrorystów-separatystów*”.

3. KŁAMSTWO O PRAWOMOCNOŚCI AGRESJI

Najpierw próbowano zmusić Miloševicia, by oddał Kosowo. Głównodowodzący NATO, gen. W. Clark, rzucił mu w twarz: „Mówi pan, że Kosowo jest dla pana równie ważne jak pańska głowa?... No to będzie pan krótszy o głowę!”. Amerykański negocjator, R. Holbrooke, spytał: „Wie pan co nastąpi, jeśli pan się nie ugnie?”. Milošević odparł: „Tak — będziecie nas bombardować. Supremocarstwo USA może sobie pozwolić na wszystko: kiedy pan powie w niedzielę, że jest środa, to będzie środa, panie Holbrooke”.

Supremocarstwa czasami potrzebują alibi. Dla stworzenia pozorów legalności swego postępowania NATO zawezwało Serbię i albańskich separatystów do stołu „rokowań pokojowych” w Rambouillet (styczeń 1999), gdzie Serbom przedstawiono warunki z góry obliczone na sprzeciw. Traktat, jaki kazano im podpisać, nie tylko groził secesją Kosowa już za trzy lata (mocą kosowskiego referendum), lecz i... obsadzeniem całej Jugosławii wojskami NATO (załącznik B do rozdziału VII, artykuły 8-10 i 20-21). Była to tak piramidalna hucpa, że wzbudziła później ostrą krytykę znanych dyplomatów i komentatorów politycznych całego globu, również w krajach NATO-wskich. H. Kissinger dla „Newsweeka”: „Dyplomatyczne rozwiązania proponowane przez kraje demokracji winny mieć ręce i nogi. Rambouillet nie spełniało tego wymogu”. M. Dobbs dla „The Washington Post”: „Rambouillet planowało co najmniej trzyletnią okupację NATO-wską

całej Jugosławii!”. Notabene — „bandyckie paragrafy Rambouillet” ujawniła dopiero 18 kwietnia włoska deputowana Parlamentu Europejskiego, L. Castellina (wcześniej były one skrywane przed zachodnioeuropejską i amerykańską opinią publiczną!). Serbowie nie mogli — rzecz prosta — przyjąć takiego dyktatu i (zgodnie z premedytacją „dyktatorów”) traktatu nie sygnowali. Plan się powiódł — NATO miało wolne ręce do „stuszej interwencji”. I bomby oraz rakiety runęły na całą Jugosławię.

Niewiele brakowało, by „sztuczka z Rambouillet” przestała być dobrym alibi, gdyż mimo nacisków Albańczycy... też nie chcieli tam podpisać NATO-wskiego dokumentu! Zrobili to dopiero 18 marca w Paryżu. „«Madeleine Albright dosłownie uklękała przed przywódcami UÇK, to był poniżający widok — wspomina jeden z obecnych. — Palila się do bombardowań, a bez podpisu Albańczyków nie było to możliwe, bo nie dawało ustawić bariery między miłymi Albańczykami i piekielnymi Serbami»„ („Der Spiegel”).

Bezprawna (bez zgody Rady Bezpieczeństwa ONZ) agresja NATO przeciwko Jugosławii była zarazem agresją przeciwko wszelkim konwencjom międzynarodowym (choćby przeciwko artykułowi 52 Konwencji Wiedeńskiej), co musiało spowodować gniew światowych autorytetów i komentatorów. „Der Spiegel”: „Waszyngton samowolnie udzielił NATO mandatu w Kosowie, zastępując międzynarodowe prawo prawem pięści, jak to określa unijny ekspert W. Wimmer”. Grecka „Eleftheriotypia”: „NATO podpisało w Waszyngtonie wyrok śmierci na prawo narodów”. Były premier Australii, M. Fraser (dla „IHT”): „NATO wszczęło tę wojnę nie tylko bez zgody ONZ-u, ale gwałcąc i swoje własne przepisy — Kartę NATO! Według standardów międzynarodowych jest to działanie całkowicie nielegalne. Czy łamanie prawa ma się zwać praworządnością, gdy robi to silniejszy?”. Dzięki szpaltom

hiszpańskiego „**El Pais**” zabrało głos wielu ekspertów, m.in. światowej renomy prawnik R. Falk („*USA stały się torturującym oprawcą — grają rolę bezmyślnego zbira*”), znany eseista E. Said („*Clinton, nawet według praw amerykańskich, pogwałcił konstytucję rozpoczynając wojnę bez Zgody Kongresu*”) czy I. Sotelo („*Jugosławia ma całkowitą rację. Za tym rugowaniem prawa przez rzekomą sprawiedliwość kryją się ciemne interesy agresorów*”).

„*Ciemne interesy agresorów*” znalazły wszakże znaczących adwokatów. Głośny polityk, Z. Brzeziński, szybko uznał, że „*suwerenność państwowa nie może być najwyższym nakazem*” wobec „*prymatu praw ludzkich*”. Dyrektor sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badania Problemów Pokoju, A.D. Rotfeld, stwierdził: „*Integralność nie może już mieć najwyższego priorytetu (...)* Zasada nieingerencji w sprawy wewnętrzne również wymaga korekty na rzecz praw człowieka”. Etc., etc. Jakby chcąc zaprzeczyć opinii pisma „**The Nation**”, że wojnie Paktu przeciw Jugosławii „*brakuje nie tylko prawnego, ale i moralnego uzasadnienia*” — wodzowie agresji (Clinton, Blair, Chirac, Schröder, Solana, Prodi e tutti quanti) bez ustanku machali imperatywem moralnym pt. prawa człowieka nade wszystko!

W dziesiątkach państw tej Ziemi — od Ruandy po Birnę i od Tybetu po Kongo — gwałci się nieustannie prawa człowieka, lecz strategów NATO czy Pentagonu zupełnie to nie interesuje. Gdy wyrzyna się katolików w Libanie lub Indonezji — nikt nie chce interweniować. Ale gdy muzułmanie prowokują wojnę tam, gdzie „*klucz bałkański*” elektryzuje wyobraźnię lewicowych i lewackich „*mężów stanu*” — wówczas bardzo zaczynają się liczyć „*prawa człowieka*”. I pod tym pozorem rzuca się ultranowoczesną międzynarodową maszynę mordy na bohaterski mały kraj, który nie tylko przez parę wieków stawiał opór muzuł-

mańskiemu mocarstwu zagrażającemu całej chrześcijańskiej Europie, lecz nie wahał się rzucić wyzwania nawet Hitlerowi i Stalinowi, gdy obaj ci ludobójcy znajdowali się u szczytu swej potęgi. J. Eyal (brytyjski ekspert ds. strategicznych, dyrektor instytutu przy Royal United Services): „*Tak naprawdę — usprawiedliwienie ataku względami humanitarnymi nigdy nie było traktowane poważnie, stanowiło bowiem czytelną namiastkę usprawiedliwienia międzynarodowo-prawnego. NATO musiało coś wymyślić, by zatuszować brak mandatu Narodów Zjednoczonych dla swej operacji antyserbskiej*”.

Bezprawność antyserbskiej wojny NATO to już tylko fakt historyczny. Czymś gorszym jest stworzenie bandyckiego precedensu w stosunkach międzynarodowych przez dowolne interpretowanie paragrafów konwencyjnych i kanonów etycznych, vulgo: przez zastosowanie tak modnego wśród lewaków i libertynów relatywizmu moralnego do polityki międzynarodowej. Jeszcze raz cytuję dyrektora Rotfelda (tego od Badania Problemów Pokoju) udzielającego wywiadu „**Niezawisimoj Gazietie**”: „*Realia życia międzynarodowego wymagają rozszerzonej interpretacji zasady samookreślenia...*”. Bardzo dowcipne. „*Realia życia międzynarodowego*” mogą co raz to skłaniać silniejszych, aby — bez zgody ONZ-u — napadali słabszych wskutek własnej interpretacji pojęć takich jak „*prawa człowieka*”, „*suwerenność*” czy „*integralność*”. „*Prawa człowieka*” są tu najporęczniejsze. O plastyczności (rozciągliwości) tego terminu pisał już w roku 1790 wybitny konserwatywny filozof angielski, E. Burke. Któż może wiedzieć, kiedy kłopoty wewnętrzne jego kraju staną się przyczyną agresji z zewnątrz prowadzonej pod wzniosłym sztandarem „*praw człowieka*”!

Usłyszawszy o nalotach na Serbię pewien dowcipny myśliciel

izraelski prorokował taką (wcale nie wyzbytą sensu) analogię między Kosowem a Kalifornią: meksykańscy imigranci („chicanos”) z biegiem lat coraz gęściej zaludniają Kalifornię (jak niegdyś napływowi muzułmanie Kosowo), wypierając białych Amerykanów („gringos”), aż wreszcie stają się 80-procentową większością (jak Albańczycy w serbskim Kosowie) i żądają „niepodległości” (czyli przyłączenia Kalifornii do Meksyku). Co wtedy robią szermierze „praw ludzkich” — prezydent USA i wodzowie NATO?

4. KŁAMSTWO O WOJENNYCH PRZEWAGACH

Na małą Jugosławię (w minimalnym stopniu na Czarnogórę; przede wszystkim na Serbię) rzuciła się najnowocześniejsza militarna machina świata — amerykańskie i zachodnioeuropejskie lotnictwo. Nieustające fale nalotów — indywidualnych i dywanowych — dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu. Plus zdalnie sterowane rakiety. Armia serbska, będąca głównym celem tych ciosów, winna ulec całkowitej eksterminacji, i to parokrotnie. Tymczasem — wbrew triumfalistycznej propagandzie NATO pt. sukces absolutny — bilans trzynastotygodniowej furii bombardowań przedstawia się (jeśli idzie o serbskie wojsko) tak: 3 (słownie: trzy) zniszczone nowoczesne samoloty (NATO straciło więcej) i kilkanaście bądź kilkadziesiąt rozbitych czołgów (propaganda NATO mówi o 93 skasowanych serbskich czołgach, ale jest to bilans bardzo wątpliwy). Czymś zupełnie innym jest bilans „cywilny”: setki zburzonych domostw, szpitali, przedszkoli, szkół, mostów, fabryk itp. (plus ambasada Chin) oraz niespełna dwa tysiące ofiar bombardowań wśród „ludności cywilnej”.

Wicepremier Serbii, V. Szeszelj, dla „**Spiegła**”: „NATO w ciągu dwu i pół miesiąca bombardowań zniszczyło nam tylko 13 czołgów. Ustawiliśmy atrapy czołgów (sklejka, tektura plus farba), a ci wariaci je rzeczywiście bombardowali. Mieliliśmy czternaście nowoczesnych MIG-ów 29 — jedenaście wróciło do Serbii z lotniska w Prisztinie.

Gdzie są te wielkie militarne sukcesy NATO?”. Niezależne źródła zachodnie częściowo potwierdziły ów bilans. S. Jenkins piętnował na łamach „**Timesa**” „nonsensowną gadaninę Jamiego Shea [rzecznik prasowy NATO] o «masowych serbskich stratach» i o «trafianiu tylko wojskowych celów», precyzując: „NATO ograniczyło się do latania po niebie, bombardowania budynków mieszkalnych i publicznych tudzież opuszczonych koszar (...) Z wojskowego punktu widzenia bombardowania te — najbardziej zaciekle od czasów Wietnamu — były zupełnie bezużyteczne, dały dużo więcej ofiar wśród cywilów niż wśród żołnierzy. Gdzie tu moralność?”.

Równie często pytano: gdzie tu fachowość? Odpowiedź ekspertów była bezlitosna; przykładowo: R. Cohen, analizując wojnę dla „**International Herald Tribune**”, raz za razem używał sformułowań: „niekompetentna metoda prowadzenia działań”, „tę wojnę prowadzono niefachowo” itp. Pułkownik D. Hackworth: „Amerykański system militarny przestał zachwycać Europejczyków od czasu naszych fuszerek w Serbii” („**WORLDNETDAILY**”). Admirał J. Ellis (dowódca wojsk NATO w Europie Południowej): „Prowadziliśmy tę operację niewłaściwie” („**Der Spiegel**”).

Dla Francuzów szokiem była autopsyjna relacja cenionego i lubianego nad Sekwaną pisarza i filozofa, R. Debraya. Debray pojechał do właśnie bombardowanej Serbii, a wróciwszy opublikował w „**Le Monde**” duży reportaż, pełen bardzo „nieprawomyślnych” spostrzeżeń. Choćby o Miloševiciu: „Ciągle słyszymy: «dyktator Milošević». Zapytałem opozycję antyMiloševiciowską i ci ludzie sprowadzili mnie na twardą ziemię. Dyktatorów wybiera się jeden raz, nigdy powtórnie, tymczasem «autokrata» Milošević był demokratycznie wybierany już trzy razy, cieszy się szczerą sympatią społeczeństwa, a jego partia to w parlamencie mniejszość!”. Główną część tekstu Debraya stanowił dramatyczny list otwar-

ty do prezydenta J. Chiraca:

„Panie Prezydencie — po wizycie w Serbii mam prawo twierdzić, że jesteśmy karmieni wyłącznie oszustwami. Widziałem zbombardowane fabryki, domy i szkoły (NATO zniszczyło już ponad 300 szkół!). Widziałem zbombardowany teatr dla dzieci. Bombardowane są pociągi i autobusy pełne pasażerów, szpitale pełne pacjentów, masakruje się rakietami obozy uchodźców. Prawie połowa Serbów jest już «na bezrobociu», gdyż zbombardowano ich miejsca pracy (...) Panie Prezydencie — generał Jertz oświadczył: «Nigdy nie atakowaliśmy żadnych cywilów!». Jest to wierutne kłamstwo. Tylko w czwartek, 6 maja, w osadzie Lipjan, widziałem rozerwane ciała trójki dzieci i dwojga starców wewnątrz doszczętnie zburzonego domu, gdy w promieniu trzech kilometrów nie było żadnego obiektu wojskowego! Następnego dnia, w cygańskiej dzielnicy Prizrenu, zobaczyłem dwa domy spopielenone wraz z mieszkańcami! (...) Panie Prezydencie — widziałem też zniszczone «obiekty wojskowe» — były to dawno opuszczone koszary, zdezelowane ciężarówki wojskowe, a przede wszystkim ustawione na łąkach atrapy helikopterów i drewniane działa”.

Szok wywołany relacją Debraya kazał szukać jej potwierdzenia w Serbii. „**Der Spiegel**” zwrócił się do głośnego antyMiloševiciowskiego polityka, V. Draškovicia, bezwzględnie wiarygodnego, bo Milošević akurat wywalił go (za krytykę) z rządu. Drašković rzekł: „To fakt — przed zbrodnicznymi atakami NATO nie było żadnych ruin szpitali czy ruin domów, nie było też żadnych uchodźców (...) W ciągu tylko pierwszych 35 dni bombardowań przestępcy z NATO przysporzyli ludności naszego kraju więcej cierpień niż armia Hitlera w ciągu czterech lat okupacji”. Eks-premier Australii, M. Fraser, tak komentował fakty dla „**International Herald Tribune**”: „Operacja NATO miała być działaniem humanitarnym — wzorcem wojennego humanitaryzmu, jak zapewniał Blair

— tymczasem mordowano serbską ludność nie szczędząc nawet szpitali, i kłamano przy tym, że atakowane są wyłącznie cele wojskowe”. Europejskie gazety zaczęły coraz częściej drukować listy czytelników rozwścieczonych hipokryzją NATO — cytuję dwa fragmenty z „Die Welt”: „Dlaczego Zachód nie potrafi dowieść swej wielkości przyznając się do błędu, a woli tracić twarz? Dlaczego rządy są tak pełne buty, że wolą raczej strzelić sobie w łeb niż przestać zadawać cierpienia ludziom?”; „Nigdy jeszcze wojna nie rozwiązała problemu, zawsze stwarzała nowe. Jak wytłumaczyć dziecku, że chce się pomagać ludziom metodą zabijania innych ludzi? Aby «zmiękczyć» jednego władcę bombarduje się raketami całe miasta?”.

Bombardowanie całych miast dawało też mega-eksplozje chemiczne. „Der Spiegel”: „Od końca marca, podczas codziennych ataków, bombowce NATO z buchalteryjną skrupulatnością druzgotwały magazyny paliw, rafinerie i fabryki chemiczne, co wywoływało narastającą katastrofę ekologiczną tego regionu Europy”. Im więcej wszakże głupstw NATO popełniało, im więcej robiło błędów, im więcej produkowało krzywd i katastrof — tym mocniej upierało się, że „wszystko gra”, „wszystko idzie według planu”, „operacja jest sukcesem całkowitym”. Z biegiem czasu stawało się więc jasne, że NATO nie prowadzi już wojny dla Albańczyków, a jedynie dla uratowania własnej wiarygodności, kompromitowanej codziennie gradem niepotrzebnych trupów i wstydliwych faktów. Dobrze skomentował tę makabryczną farsę prawnicowy kandydat na prezydenta USA, P. Buchanan, mówiąc dziennikarzowi „The Washington Post”: „To zupełny obłęd. Ta akcja od samego początku była szaleństwem — produktem szaleństwa elit, które decydują o naszej polityce zagranicznej”.

5. KŁAMSTWO O WIARYGODNOŚCI INFORMACJI

Główny rzecznik prasowy NATO, J. Shea, stał się gwiazdorem mediów, gdyż codziennie dawał dziennikarzom świeże informacje „z frontu”. Prawie wszystkie kłamliwe. Shea miałby dużo szans w konkursie na „barona Münchhausena” wieku XX. Był sekretarz obrony w konserwatywnym rządzie pani Thatcher, A. Clark, podczas tej wojny stwierdził nie bez racji, że propaganda militarna NATO oraz media wszystkich krajów NATO oszukują własne społeczeństwa prezentując wypaczony obraz konfliktu, przeinaczając fakty, zafałszowując rzeczywistość bez żadnych skrępowań.

Kto był bardziej winien totalnego łgarstwa — dziennikarze czy rzecznicy NATO? Redakcja francuskiego pisma „Marianne” już w kwietniu 1999 broniła dziennikarzy jako ofiar manipulacji informacyjnej NATO: „Czy w czasie wojny można obiektywnie informować? Wojna, lub raczej tzw. «sytuacja wojenna», z premedytacją fabrykuje informacje, które przybierają postać propagandy, indoktrynacji bądź «wojny psychologicznej» (...) Kłamstwo jest więc konieczne na wojnie, ale gdy fałsz zaczyna się «sypać» — to wali się wszystko (...) Odnotowaliśmy już pół setki piramidalnych łgarstw NATO, szczerze przekazywanych mediom, lecz nigdy nie były one wytworem dziennikarzy. Ci tylko rejestrują, a dopiero później prostują lub dementują (...) Dziennikarze stali się ofiarami dezinformowania przez NATO środków przekazu”. Vulgo: w przypadku „wojny ko-

sowskiej” dziennikarze dezinformujący opinię publiczną świata byli tylko leninowskimi „pożytecznymi idiotami”, którymi manipulował mundurowy Mefisto.

Nie wszędzie dziennikarze uzyskali łaskę rozgrzeszenia. Profesor nowojorskiego Columbia University, E. Said, dla „**El Pais**”: „Chorobliwość sytuacji zwiększał fakt, że dziennikarze opowiedzieli się po stronie NATO, miast wypełniać swój święty obowiązek — bezstronnie informować. Stali się więc subiektywnymi kibicami nonsensów i okrucieństw tej wojny. W ciągu 79 dni wysłuchałem 30 konferencji prasowych NATO, podczas których dziennikarze zadali ledwie 5 czy 6 pytań kwestionujących głupoty, jakie opowiadali Shea, Robertson i najgorszy z nich wszystkich, Solana, eks-socjalista, który stał się marionetką NATO (...) Nikt nie rzucił pytania, czy Trybunał Międzynarodowy, zwąwszy Miloševića zbrodniarzem, zastosuje te same kryteria wobec Clintona, Blaira, Albright, Clarka i wszystkich pozostałych, u których zbrodniczy cel wziął górę nad wszelkimi zasadami przyzwoitości i prawami wojny (...) Co gorsza — media bardzo skąpo lub wcale nie informowały o niepopularności tej wojny w wielu krajach, m.in. w USA, Włoszech, Niemczech i Grecji” (na marginesie: polska telewizja tylko raz pokazała kilkunastosekundowy fragment gigantycznej demonstracji kontrNATO-wskiej w Atenach, gdy takich masowych demonstracji było na świecie mnóstwo).

Oto krótki rejestr kardynalnych (ogólnych i detalicznych) kłamstw NATO podczas agresji:

- Wojnę sprowokowały ludobójcze „czystki etniczne” dokonywane wśród Albańczyków przez Serbów. Nieprawda (patrz rozdziały 2 i 7).

- Te „czystki etniczne” były prowadzone przez Serbów od jesieni 1998 według starannie przygotowanego planu pod kryptonimem „Operacja Podkowa”. Nieprawda — już po wojnie wyszło na jaw, iż dokument o nazwie „Operacja Podkowa”, który

służył NATO jako „dowód”, jest apokryfem (został spreparowany przez bułgarskie służby specjalne być może — co starał się ustalić „**Der Spiegel**” — na za mówienie Niemców).

- NATO bombarduje wyłącznie cele militarne i strategiczne obiekty przemysłowe Serbów. Nieprawda (patrz rozdział 4).

- Serbowie rozstrzelali dwóch kosowskich (albańskich) negocjatorów z Rambouillet. F. Aganiego i B. Haxhiu (wydawcę dziennika „**Koha Ditore**”). Nieprawda — NATO musiało później zdementować ten fałsz.

- Albańskich mieszkańców Prisztiny Serbowie spędzili dla represjonowania na miejski stadion. Nieprawda — nic takiego nie miało miejsca; media wykryły, że tę „informację” NATO wysłało z palca propagandowego.

- Ibrahim Rugova (demokratyczny przywódca kosowskich Albańczyków nie związanych z UÇK) został zabity przez Serbów. Nieprawda — Serbowie nie tknęli go palcem; jest cały i zdrowy do dzisiaj.

- Pokazana przez serbską telewizję taśma wideo, na której Rugova i Milošević paktują, śmiejąc się serdecznie do siebie — pochodzi bez wątpienia (tak orzekli eksperci techniczni) sprzed dwóch lat, więc prezentowanie jej jako relacji aktualnej to manipulacja Serbów. Nieprawda — już nazajutrz okazało się (co potwierdził sam Rugova), że relacja była świeża, sprzed 24 godzin.

- Rugova jest trzymany w areszcie domowym u Serbów i nie może się swobodnie poruszać. Tymczasem Rugova właśnie jechał na rozmowy do Rzymu.

- Rozbity nocą 27/28 marca najnowocześniejszy samolot bojowy Stanów Zjednoczonych, F117A Nighthawk („niewidzialny” Nocny Jastrząb) — uległ awarii. Nieprawda — został zestrzelony przez Serbów, którzy znając już rutynowe trasy bombowców atakujących Belgrad ustawili superczułe kamery termowizyjne,

wychwycili i zrąbali „niewidzialnego”. W Belgradzie ukazały się drwiące transparenty: „Przepraszamy, nie wiedzieliśmy, że jest niewidzialny”.

- Serbowie wyróżnili właśnie całą albańską wioskę — mówił 27 kwietnia minister obrony Niemiec, R. Scharping, na specjalnie zwołanej konferencji prasowej, pokazując jako „dowód” zdjęcia trupów. Nieprawda — szybko wykryto, że zdjęcia pochodzą sprzed trzech miesięcy i ukazują „bojowników UÇK zabitych w odwecie za rozstrzelanie serbskiego oficera” („Reuters”).

- „Serbowie grają w piłkę nożną odciętymi głowami Albańczyków, ćwiartują zwłoki, wycinają ciężarnym kobietom płody z brzucha i smażą je na rożnie”. Nieprawda — te koszmarnie bajdy, plecione do mikrofonu przez uchodźców albańskich, których instruowali oficerowie UÇK (a powtarzane jako pewniki m.in. przez wspomnianego ministra Scharpinga), zostały wysławiane (m.in. w „Spieglu”) jako szczyt NATO-wskiego kłamstwa.

- Serbowie wysadzili większość domów w Prisztinie. aby pokazać światu skutki „zbrodniczych bombardowań NATO”. Nieprawda — okazało się, że Serbowie nie zburzyli ani jednego budynku w Prisztinie, a tamtejsze morze ruin (pokazywała je też polska telewizja jako barbarzyński serbski „przekręt”) to dzieło NATO-wskich bombowców. Pracujący w Prisztinie neurochirurg z organizacji Lekarze Świata, L. Nikolau: „Operowaliśmy niezliczone cywilne ofiary «ubocznych skutków bombardowań», Serbów, Albańczyków, Turków, małe dzieci bez nóg i rąk...”.

- Bombardowania Kosowa utrudniają Serbom prześladowanie kosowskich Albańczyków. Nieprawda — bombardowania Kosowa wyrządziły kosowskiemu Albańczykom straszliwe krzywdy. Wydawca „Spiegla”, R. Augstein: „Podyktowana przez Amerykanów filozofia NATO zawiodła (...) Nie rujnuje się bombami

obszaru, którego ludność chce się ratować lub jej pomóc”.

- Naprowadzanie bombowców jest precyzyjne, a zbombardowanie ambasady Chin w Belgradzie to pomyłka i wyjątek. Nieprawda — bombardowania miały taki „rozrzut”, jakby do celu strzelał ślepy lub pijany, a CIA skompromitowała się nie znając lokalizacji chińskiej ambasady, mimo że adres jest w książce telefonicznej Belgradu.

- O celności NATO-wskich bombardowań świadczą zdjęcia satelitarne, do wglądu. Nieprawda — później władze niemieckie ujawniły, że Amerykanie nagminnie retuszowali zdjęcia satelitarne przed udostępnieniem ich mediom.

- 14 kwietnia, koło wsi Meha (na północ od Djakovicy), Serbowie bestialsko rozstrzelali konwój albańskich uchodźców, mordując aż 75 ludzi, w tym kobiety i małe dzieci. Nieprawda — zrobił to NATO-wski bombowiec F 16, do czego NATO musiało się przyznać.

- Rzeczony bombowiec dokonał masakry wskutek fatalnej widoczności utrudniającej identyfikację konwoju, a w pobliżu zidentyfikowano wtedy również serbski konwój wojskowy, o czym m.in. świadczy relacja pechowego pilota (relacji mógł wysłuchać cały świat). Nieprawda — kilka dni później Shea musiał przyznać, że „relacja nie była autentyczna” (sfalszowano ją podkładając głos innego osobnika!), a gdy przerażeni skalą tej mistyfikacji dziennikarze zasypali rzecznika NATO pytaniami, burknął, iż wskutek pomyłki prezentowano im „taśmę szkoleniową” (!!!).

Już po wojnie (w lipcu 1999) „Le Nouvel Observateur” opublikował wyznanie NATO-wskiego generała, bojącego się ujawnić nazwisko: „Dobrze znaleźliśmy przyczyny i skutki tych niezliczonych naszych błędów. Musieliśmy jednak uspokajać opinię publiczną, więc ciągle gędziliśmy o przeprowadzanych śledztwach, o przypusz-

czeniuach, wątpliwościach, rozbieżnościach, niejasnościach itd. Wszystko to były łgarstwa. Czasami, po dwóch tygodniach, biliśmy się w pierś, ale rzadko. Cóż — opinię publiczną urabia się jak wszystko inne...”.

6. KŁAMSTWO O „LUDOBÓJSTWIE DOKONANYM PRZEZ SERBÓW”

Wśród wszystkich kłamstw „urabiających opinię publiczną” świata — najpotworniejszym była (szerzona przez NATO, przez wielu zachodnich „mężów stanu” i przez media globu) teza o ludobójstwie: Serbowie stosują „czystki etniczne”, masowo mordując kosowskich Albańczyków. Z łamów i głośników płynęła nieustająca fala zapewnień o serbskich zbrodniach — o istnym holocauście muzułmanów kosowskich. S. Jenkins napisze później w „**The Times**”: „Robin Cook [brytyjski minister spraw zagranicznych] co tydzień w Izbie Gmin zaplawał się na temat rzekomych serbskich okrucieństw, podczas gdy serbskie akcje represyjne i wysiedleńcze uderzały tylko terrorystów z UÇK, a żadne masowe czystki wśród cywilów nie miały miejsca”. Brak sensu i brak dowodów zostały jednak zagłuszone przez siłę i permanentność NATO-wskiej propagandy. Chociaż rzecznik ONZ-u, F. Eckhard, oświadczył już 31 marca: „Nie ma żadnych dowodów, iż Serbowie dokonują w Kosowie zbrodni ludobójstwa” — NATO wiedziało swoje, media wiedziały swoje, dzięki czemu i świat wiedział to samo.

Weźmy — jako symptomatyczny przykład — opinię publiczną Francji. Większość Francuzów wcale nie entuzjazmowała się udziałem ich ojczyzny w napadzie na Serbów. Do tego nie-

które trzeźwo myślące francuskie media (exemplum „**Le Figaro**”) zwracały uwagę, iż tak naprawdę nikt nie zna realiów kosowskich. Próbowano te realia badać. Już 25 kwietnia francuskie pismo „**Marianne**” poinformowało rodaków, że pewien francuski instytut wywołał wściekłość rządu socjalisty Jospina, ponieważ rezultaty badań tej placówki nie wtórowały „zamówieniu” na antyserbskość. „*Od tendencyjnych informacji do tendencyjnych pytań sondażowych — wszystko służy bezdowodowemu demonizowaniu Serbów*” — konkludowało „**Marianne**”. Ale gdy telewizja codziennie ukazywała domy „spalone przez Serbów”, trupy „zmasakrowane przez Serbów”, płaczące matki i dzieci „wygnane przez Serbów”, tudzież wywiady z Albańczykami opowiadającymi o tych wszystkich „serbskich zbrodniach” — Francuz zaczynał w to wierzyć. Cytuję kawałek relacji A. Gwiazdy goszczącego wówczas w Paryżu (tygodnik studencki „**Reakcja**”): „*Telewizja napycha się do przesytu widokiem uchodźców i niezidentyfikowanych obiektów leżących obficie polanych sosem pomidorowym. Racji strony serbskiej — po prostu się nie przedstawia*”.

Medialny sukces propagandy NATO demonizującej Serbów jako ludobójców mógł zostać we Francji zachwiany cytowanym już przeze mnie raportem pisarza R. Debraya i jego listem otwartym do prezydenta Chiraca, gdzie Debray kategorycznie zaprzeczał, by Serbowie mordowali Albańczyków: „*Panie Prezydencie! Powtarza nam Pan wciąż, że Serbowie z zimną krwią planowali od dawna ludobójstwo, i że wojnę trzeba kontynuować, bo oni dalej prowadzą czystki etniczne w Kosowie. Ja tam byłem i stwierdzam z całą odpowiedzialnością, że mówiąc to Pan się zupełnie myli (...). Nie jest również prawdą to, co niemiecki minister obrony mówi o wypędzaniu kosowskich Albańczyków przez Serbów (...). Rozmawiałem z korespondentem «Los Angeles Times», Kanadyjczykiem Pau-*

lem Watsonem, który przybył do Kosowa zanim wybuchła wojna i rezyduje tam wciąż, będąc najlepszym z obiektywnych świadków. Według niego — jugosłowiańskie bojówki paramilitarne stosowały przemoc tylko w ciągu pierwszych trzech dni bombardowań (24-26 marca), a później serbskie wojsko chroniło albańskie domy i zakłady, nie dopuszczając do jakichkolwiek aktów przemocy. Watson zapewnił mnie, że od 27 marca żadne zbrodnie na Albańczykach nie miały miejsca (...) Wielką katastrofę humanitarną — lawinowy exodus Albańczyków — spowodowały bombardowania NATO-wskie. Dramatycznych wywiadów antyserbskich udzielają stacjom telewizyjnym Albańczycy związani z UÇK, której terror zamyka usta reszcie Albańczyków”.

„*Raport Debraya*” jednak nie pomógł — wygrywała kłamiąca telewizja, wspomagana przez kłamiące radio i gazety (dopiero w styczniu 2000 „**Der Spiegel**” oznajmi, że exodus Albańczyków był powodowany „strachem przed śmiercią lecącą z nieba”). Tak było we wszystkich państwach NATO i sprzymierzonych z NATO. Nie mogło być inaczej, zwłaszcza że kiedy już NATO opanowało Kosowo zaczęły się mnożyć „dowody serbskiego ludobójstwa” — odkopywane po całym Kosowie „groby zbiorowe”, na czele z dwoma rekordowymi: koło miejscowości Ljubenice i w szybach kopalni Trepča. Telewizje ukazywały jakieś indywidualne szczątki, podając równocześnie przypuszczalne bilanse ofiar takim tonem, jakby podawały sprawdzone liczby (Ljubenice — „350 ciał”, Trepča — „około 700 ciał”, itd.). Jednak — dziwna rzecz — nigdy później nie wracano z kamerami do owych „największych masowych grobów”, by ukazać stopy ekshumowanych trupów zamiast wcześniejszych pojedynczych „niezidentyfikowanych obiektów leżących”, mimo że Kosowo zostało zalane i przez rozliczne telewizje świata, i przez międzynarodowe ko-

misje złożone z ekspertów medycyny sądowej pracujących dla Trybunału ds. Zbrodni w byłej Jugosławii.

Wszystkie „masowe groby Albańczyków” okazały się łgarstwem NATO-wskiej propagandy. W Ljubenic znaleziono kilka ciał, w Trepčy — żadnego! Jesienią 1999, gdy kończono przeczesywanie Kosowa, pracujący tam hiszpański ekspert policyjny, J. L. Palafox, resumował „urobek”: „Mieliśmy znaleźć dziesiątki tysięcy trupów. Łącznie znaleźliśmy 187 trupów różnych narodowości i wracamy do domu. Wszystko to jest, delikatnie mówiąc, niepoważne”. Rozeźleni dziennikarze rzucili się więc do wzmiankowanego Trybunału (notabene często krytykowanego za tendencyjną antyserbskość), by spytać o mistyfikacje ze „zbiorowymi grobami Albańczyków mordowanych przez Serbów”. Rzecznik głównego prokuratora Trybunału, P. Risley, musiał przyznać, wstydzając się: „Cóż... no... liczba mogił nie była taka duża... nie znaleziono zbyt wielu ciał...”. Teksaski Ośrodek Analityczny Stratfor ustalił, że na terenie Kosowa znaleziono po wojnie ledwie kilkaset trupów, a spora ich część to były serbskie ciała, ofiary zbrodni Albańczyków. Jeśli chodzi o tak mocno nagłaśniane wcześniej przez media „serbskie zbrodnie” i „masowe groby muzułmanów” — to 25 października „**The Spectator**” zbilansował definitywnie: „Eksperci różnych branż potwierdzili, że te dramatyczne informacje były czystą fantazją”.

Największą fantazją były dane liczbowe, którymi epatowano świat. Podczas bombardowań Waszyngton głosił (ustami sekretarza obrony, W. Cohena) tezę o „100 tysiącach brakujących albańskich mężczyzn zdolnych do służby wojskowej”, sugerując, iż zostali oni zabici przez Serbów. Albańscy uchodźcy związani z UÇK szybko podchwycili ten motyw i epatowali nim telewizje globu. Później niemiecki lekarz (pracujący w macedońskim obozie al-

bańskich uchodźców) parsknie dla „**Die Welt**”: „Jak można było wierzyć w tę brednię o wymordowaniu przez Serbów Albańczyków zdolnych do służby wojskowej? Czy dziennikarze są ślepi? Czy raczej nieuczciwi? Przecież we wszystkich obozach albańskich uchodźców zdecydowaną większość stanowili właśnie zdrowi mężczyźni, tymczasem telewizje pokazywały wyłącznie kobiety, starców i maluchów, jakby tych mężczyzn nie było tam wcale! To obrzydliwe!”. W listopadzie „**The Plain Dealer**” konkludował: „Wszystkie te gierki liczbowe NATO — rzekome masowe groby czy bajeczka o «100 000 missing men» — były robione dla manipulowania opinią publiczną”. Cóż — pamiętamy — „opinię publiczną urabia się jak wszystko inne...”.

Także za pomocą inscenizacji parateatralnych. Chodzi o te płaczące do kamer albańskie kobiety, które wszyscy oglądaliśmy — o te dziewczęta zgwałcone przez Serbów, te owdowiałe żony, osierocone córki, matki, których dzieci padły ofiarą serbskiego bestialstwa, itd., itp. Wszystko lipa! Gdy zaczęło wychodzić na jaw, że owe kobiety niejednokrotnie kłamały, bo miały rozkazy, by kłamać, wydane przez terrorystów z UÇK — kilka stacji telewizyjnych odszukało swoje albańskie interlokutorki, chcąc dać im klapsa. Najciekawsza jest tu afera z Rajmondą, młodą Albanką przysięgającą, iż Serbowie zakatowali jej siostrę. Telewizja CBC odnalazła całą tę rodzinę i spytała Rajmondę: „Czemu nas okłamałaś, i za naszym pośrednictwem cały świat?”. Dziewczyna spuściła wzrok, a odpowiedzi udzielił jej ojciec: „Każde kłamstwo jest w porządku, gdy się walczy z Serbami!”. Oficer UÇK dodał: „Kosowo już nasze. Jak widzicie — opłacało się kłamać!”.

NATO-wszczykom opłacało się kłamać podczas wojny, opłaca się kłamać dzisiaj i będzie się opłacało kłamać jutro, bo gdyby wtedy, dziś lub jutro przestali kłamać — wyszliby na kłam-

ców. Kłamiąc bronią zaciekle (wbrew faktom) swej wiarygodności. Ale skuteczność ich propagandy jest coraz mniejsza. Kiedy ostatnio (luty 2000) nowy generalny sekretarz NATO, G. Robertson, powtórzył bajeczkę o „*jawnym ludobójstwie praktykowanym przez Serbów*”, dwaj rozmawiający z nim przedstawiciele „*Spiegla*” (S. von Ilsemann i D. Koch) parsknęli bez ogródek: „*Prokuratorzy ONZ wciąż nie mogą znaleźć dowodów, które by potwierdzały pańskie słowa!*”.

7. KŁAMSTWO O „PARTYZANTCE WYZWOLEŃCZEJ”

W Kosowie były trzy strony konfliktu: Serbowie jako ci „z definicji” źli (eks-premier Australii, M. Fraser, dla „*IHT*”: „*Podczas całej tej tragedii niesprawiedliwie demonizowano Serbów, zwalając na nich odpowiedzialność za całe bałkańskie zło*”) oraz ci „z definicji” dobrzy: NATO (jako antyserbska żandarmeria międzynarodowa) i UÇK (jako „*albańscy bojownicy o wolność*” vel „*kosowscy partyzanci muzulmańscy przeciwstawiający się antyalbańskim represjom Serbów*”). Przyjrzyjmy się tym „*bojownikom*” bez serwowanych całemu światu kłamstw NATO.

UÇK jest dzieckiem albańskiej mafii narkotykowej, której matczynik to właśnie Kosowo, a ojcowie-założyciele to starszyzna klanu Jashari. W ostatniej dekadzie XX wieku mafia ta opanowała całą Europę (od Skandynawii po Włochy), stając się największym przestępczym kartelem kontynentu — gangiem, przy którym włoska „*ośmiornica*” uległa degradacji do drugiej ligi (według Observatoire Geopolitique des Drogues — Albańczycy kontrolują 60% europejskiego rynku narkotykowego). Tej paneuropejskiej dominacji „*kosowskich Albańczyków*” „*Der Spiegel*” poświęcił ostatnio (1999) parukolumnowy tekst, uwypuklając ich wielobranżowość (od lokali rozrywkowych po prostytutkę i narkotyki), ich zwyrodniałe okrucieństwo (ucinanie głów wrogom i nie swoim czyli — jak mówi albańska przysłowka — „*nie ludziom*”) oraz masowe eksploatowanie przez

nich dzieci: „W Szwajcarii albańskie dzieci transportują narkotyki za pomocą szkolnych tornistrów (...) We Włoszech czy Grecji perwersyjny seks oferują małe albańskie dziewczynki, tak długo brutalnie gwałcone przez rodaków, aż posłusznie robią co im się każe”. „**Der Spiegel**” nie omieszkiał też stwierdzić, że „albańska mafia narkotykowa finansuje UÇK”.

Zanim mafia Albańczyków stała się sponsorem muzułmańskich terrorystów-secesjonistów chcących wyrwać Serbom Kosowo — musiała utworzyć tę „partyzantkę”. Miało to miejsce w roku 1996 — ekstremiści kosowscy (głównie z klanu Krasniqi) powołali UÇK czyli Wojsko Wyzwolenia Kosowa vel Wyzwoleńczą Armię Kosowa. Radykalne „wyzwalanie” zaczęło się po eksterminacji gangsterskiego odłamu klanu Jashari przez policję serbską na początku 1998 roku (takie właśnie rozprawy z narkotykowymi gangsterami lewackie media globu i rzecznicy NATO przedstawiali później jako „serbskie represje” i „dręczenie Albańczyków”). Wodzem UÇK został H. Thaci (ksywka „Wąż”), sadysta uwielbiający — jak podaje „**Die Woche**” — „osobiście katować przestłuchiwanym”, i seryjnie mordujący „wszystkich zwolenników kursu umiarkowanego, nie wyłączając własnych oficerów, albo tych, którzy ośmielili się krytykować nadużywanie przez wodza władzy, albo po prostu konkurentów rozstrzeliwanych za rzekomą kolaborację”. Jego lewactwo (był wcześniej członkiem bojówki marksistowsko-leninowsko-maoistowskiej o nazwie Ludowy Ruch Kosowa) nie przeszkodziło mu stać się tajnym współpracownikiem CIA. Miał aż dwóch „prowadzących” oficerów CIA, która — jak podaje „**Der Spiegel**” — „częściowo finansowała obozy szkoleniowe UÇK”. Efekt tej pomocy tak puentuje B. Guetta (marzec 2000): „Wsparto secesjonistów albańskich i uzbrojono ich, bo stali się niezbędnymi sojusznikami operacji wojskowej NATO. A teraz

państwa atlantyckie bezsilnie patronują antyserbskiej czystce etnicznej prowadzonej przez Albańczyków” („**L'Express**”).

Od samego początku działalność UÇK zdominowały dwa bliźniacze rodzaje aktywności — terroryzm i narkobiznes. Terroryzm nie tylko wobec kosowskich Serbów (mordowanie urzędników, policjantów, żołnierzy, lekarzy, nauczycieli itd. — co detonowało serbski odwet, zwany później „represjami” i „czyszczeniami etnicznymi”), lecz i wobec współbraci nie chcących uprawiać bandytyzmu. Młody Albańczyk Daud skarżył się niemieckim dziennikarzom („**Die Zeit**”): „UÇK to mafia podająca się za żołnierzy. Wcielają do swych szeregów siłą każdego złapanego Albańczyka z Kosowa, chyba że zapłacisz okup...”. Gdy władze Macedonii chciały rozluźnić obozy albańskich uchodźców, więc poinformowały tych Kosowian, iż 20 tysięcy mężczyzn może sobie pójść do UÇK — zgłosiło się... 50 ochotników. Ale o takich rzeczach media globu pisały niechętnie lub wcale, podobnie jak wcale nie mówiły o przedwojennych (sprzed interwencji NATO) zbrodniach UÇK mających prowokować Serbów (exemplum zmasakrowane i wrzucone do wapna ciała Serbów w zbiorowym grobie pod miejscowością Klečka; zastrzelenie sześciu gimnazjalistów serbskich w kawiarni w mieście Peć, itd.). Któż poza Jugosławią czytał apel Kościoła Jugosławii „**Wezwanie do obrony narodu serbskiego**”, z takim stwierdzeniem faktów: „Bez żadnej przesady można rzec, iż w Kosowie na narodzie serbskim dokonuje się zaplanowanego ludobójstwa”? O szkoleniach terrorystycznych wewnątrz baz i poligonów sąsiedniej Albanii, i o dużym procentowo udziale w UÇK muzułmańskich kondotierów z Azji i Bliskiego Wschodu — również było cicho. Waszyngtonowi — zawsze tak ostro piętnującemu terroryzm libijski, syryjski czy palestyński — jakoś nie przeszkadzało, że

„UÇK jest powiązana z głośnym międzynarodowym terrorystą muzułmańskim, Osamą bin Ladenem” (co ustalił wywiad izraelski, a rozkolportowała Associated Press), mimo że bin Laden zamordował już tylu Jankesów! Polityczny „klucz bałkański” jest ważniejszy i od terroryzmu, i od narkobiznesu.

Terroryzm antyserbski jako polityka + narkobiznes jako ekonomia = UÇK. Amerykańska Drug Enforcement Agency już w roku 1996 informowała, że „UÇK to w rzeczywistości kartel przestępczy handlujący narkotykami na skalę ogólnoeuropejską”. Później Interpol uściśli, że „Albańczycy z UÇK kontrolują większość przemytu narkotyków do Europy Zachodniej i Środkowej. Od Kosowa biegną szlaki heroinowe nie tylko do Szwajcarii, Austrii, Norwegii, Belgii i Włoch, lecz i do Czechów, Polaków oraz Węgrów”. Jeden z aresztowanych kosowskich narkodealerów, chociaż nie przedstawił się jako członek UÇK, warknął w twarz policjantom słowa zupełnie czytelne: „Mamy kilkadziesiąt tysięcy dobrze uzbrojonych bojowców i terroryzujemy militarnie całą Jugosławię, więc co możecie mi zrobić?”. Ale podczas NATO-wskich bombardowań Serbii nie wolno było psuć „partyzanckiego” nimbu UÇK, więc do wyjątków należeli znani ludzie mówiący prawdę: były sekretarz obrony w rządzie pani Thatcher, A. Clark, publicznie określił UÇK jako „bandę złoczyńców o zupełnie mafijnym rodowodzie, cały czas parającą się przemytem narkotyków”. A dzisiaj? W marcu 2000 obecny szef dyplomacji brytyjskiej, R. Cook, na forum Izby Gmin „wyraził głębokie zaniepokojenie” faktem, iż wskutek zwycięstwa Sojuszu Kosowo znalazło się pod brutalną władzą głównego gangu narkotykowego Europy.

Mnie nurtuje tylko jedna niewiadoma: ile milionów narkodolarów wydała UÇK na „kampanię promocyjną” w mediach, aby medialne supertuby tej Ziemi notorycznie i wbrew elementar-

nej prawdzie opłakiwały los „muzułmańskiego Kosowa” katowanego przez „serbskich zwyrodnialców”? Przypomnijcie sobie Państwo teraz (teraz, gdy znane są już rozmiary zbrodni dokonanych na Serbach przez Albańczyków) — czy chociaż jeden raz widzieliście w telewizji masowe groby pomordowanych Serbów bądź inne zdjęcia ukazujące albańskie ludobójstwo? Nie zapamiętaliście takich reportaży, bo żadna telewizja ich nie dawała. Lecz może zapamiętaliście chociaż stare antybolszewicko-antycenzuralne hasło polskich patriotów: „Telewizja kłamie!”.

8. KŁAMSTWO O „ZWYCIĘSTWIE SPRAWIEDLIWOŚCI”

Gdy już bombowce NATO zniwelowały Serbię „równą z trawą” (od prawie wszystkich mostów do dużej liczby szpitali) — Serbia padła. Rzecznicy NATO, politycy i dziennikarze ogłosili triumf sprawiedliwości. Kosowo zobaczyło NATO-wskie „wojska pokojowe” (KFOR), wypędzeni przez bombardowania uchodźcy albańscy wrócili, a UÇK poczuła się w Kosowie władzą absolutną i zaczęła masowo rżnąć kosowskich Serbów, ci zaś panicznie emigrować. Przeciwdziałanie KFOR-u było śmiechu warte — UÇK bezkarnie mordowała serbskie niedobitki. Co widząc — proalbańskie media globu poczuły się „z ręką w nocniku”. Wtedy bowiem zrozumiały, kto tu naprawdę robi „czystki etniczne” — w Kosowie wielu Serbów wymordowano, a jeszcze większą liczbę wypędzono. I ruszyła lawina prasowych złożeń:

„Odkąd wojna się skończyła, UÇK i jej «zorganizowana przestępczość» zawładnęły Kosowem bez reszty. Datowany 11 sierpnia raport nowojorskiej organizacji Human Rights Watch mówi, iż od chwili wkroczenia do Kosowa wojsk NATO (połowa czerwca 1999) wypędzono stamtąd 164 tysiące Serbów (!) i zamordowano 800 Serbów. Później International Crisis Group oszacowała liczbę morderstw popełnianych przez Albańczyków na średnio 30 tygodniowo (...) Czy więc NATO, które wcześniej potępiało Serbię bez dowodów — mając teraz dowody potępi samo siebie? A jeśli tak — to kto miałby ukarać NATO

za cały ten dramat?” („International Herald Tribune”).

„Największym problemem Kosowa są prześladowania dotykające Serbów. Trwają one nieprzerwanie, są zupełnie jawne i całkowicie bezkarne — ot, 28 listopada grupa rozjuszonych albańskich wyrostków zakatowuje w biały dzień na ulicy serbskiego profesora (...) Zwłaszcza nocami Albańczycy stają się hordą sędziów i katów” („Der Spiegel”).

„Serbowie uciekli do enklaw zwanych «gettami». Boją się o swe życie. W Podujewo brytyjscy żołnierze pilnują przez 24 godziny na dobę dwóch staruszek serbskich. Brytyjski oficer wyjaśnia: «Gdyby nas tu nie było — Albańczycy już by je zarżnęli». Terror albański dotyka zresztą nie tylko Serbów. Kobiety albańskie boją się wychodzić wieczorem z domu, bo albańska mafia je porywa i zmusza do prostytucji. Ta mafia rządzi teraz wszechwładnie Kosowem” („La Repubblica” — tekst głośnego publicysty T. G. Asha).

„Rasistowskie czystki etniczne mające wykończyć Serbów wzmaga się nieustannie, i to pod nosem pracującego w Kosowie Międzynarodowego Trybunału ds. Zbrodni w byłej Jugostawii. Mimo zbiorowych masakr urządzanych przez Albańczyków (jak w Kacaniku, czy koło Lipljana) i mimo bezmiernej liczby nekrologów Serbów (Serbów zabitych już po wojnie) — Trybunał jakoś nie chce lub nie może oskarżyć morderców z UÇK. Tym bardziej więc nie oskarży głównego winnego — NATO. Rodzi się tu pytanie: jak to jest, że Trybunał mógł na dużą odległość (z Brukseli) oskarżać Serbów o zbrodnie w Kosowie, a teraz, rezydując w samym Kosowie i widząc co się tam dzieje — nie potrafi wskazać Albańczyków jako ludobójców?” („The Spectator”).

Zmyślni komentatorzy udzielili na to pytanie odpowiedzi pt.: lepiej nie drażnić muzułmanów. B. Lalonde („Le Figaro”): „Po upadku komunizmu — fundamentalizm islamski jest dzisiaj jedyną agresywną ideologią uniwersalną, więc od konfrontacji z nim mogą

zależć losy świata (...) Ja nie poprę radykalizmu islamskiego, który szerzą gdzie tylko mogą międzynarodowe watahy muzułmańskie finansowane przez bin Ladena. Widziałem tych bojowców w kilku punktach Ziemi. To nie folklor, lecz świetnie wyszkolony i uzbrojony fanatyzm, pragnący wyplenić «trujące ziarno Zachodu»: wolności ludzkie, religijne, wszelkie (...) Mudżahedini po zdobyciu Iranu, talibowie po zgwałceniu Afganistanu i mafiosi z UÇK po opanowaniu Kosowa — dali już światu lekcję integrystycznego muzułmańskiego zamordyzmu (...) Nie każdy partyzant jest bohaterem. Czeczeńscy muzułmanie z porywania ludzi dla okupu i traktowania ich jak niewolników uczynili przemysł narodowy...”. Lalonde ma rację straszając globalizmem muzułmańskiego integryzmu — czyż znany „czeczeński bojownik”, S. Radujew, nie głosił, że jak tylko Czeczeni wyzwolą Kaukaz, to pójdą na zachód „wyzwalać” świat „giaurów”?

„Wyzwolone” Kosowo miało być według Albańczyków wyzwolone całkowicie, czyli secesjonistycznie. Nie o żadne ludzkie prawa tam chodziło, tylko o granice i o zabranie Serbom ich pradawnego sanktuarium. Hasło: „Kosova — sobstvenna derżawa” stanowiło preludium dla hasła „Wielka Albania!”, głoszonego najpierw za okupacji włosko-niemieckiej (1941-1944, kiedy Albańczycy tworzyli dywizje SS, będąc sprzymierzeńcami okupantów); później w latach 80-ych przez LPK (goszystowską bojówkę kosowskich Albańczyków, którą finansował głośny stalinowski dyktator Albanii, E. Hodża); jeszcze później przez UÇK. Dla wodzów UÇK (H. Thaci i jego zastępca S. Shali) „Wielka Albania” to dzisiejsza Albania plus część dzisiejszej Czarnogóry, część dzisiejszej Serbii i część dzisiejszej Macedonii, plus Kosowo.

Drugim etapem „wyzwalania wszystkich terytoriów albańskich”

(hasło UÇK) jest teraz — po „wyzwoleniu” Kosowa — „wyzwalanie” trzech albańskich enklaw na terenie Serbii (Preševo, Medvedija i Bujanovac). Terrorysty albańscy z UÇK działają tam pod nazwą UÇPMB (Armia Wyzwolenia Preševa, Medvediji i Bujanovaca). „Le Figaro”: „Bojówki UÇPMB kopiują «wyzwalanie» Kosowa, gdzie przecież UÇK zdołała wyczyścić etnicznie cały region i gdzie bezkarnie panują teraz gangsterskie struktury Albańczyków. Atakowane są serbskie gmachy policyjne i wojskowe, urzędy, szkoły etc., no i zabija się Serbów, z nadzieją, że to wywoła serbskie represje, a w konsekwencji antyserbskie ultimatum NATO i proalbańską zbrojną interwencję wojsk Sojuszu. Ale NATO i Ameryka widzą już jak pobłądziły, i marzą tylko o jednym — nie być zmuszonym do publicznego uznania, że zrobiło się tak koszmarny polityczny błąd”.

Dla Albańczyków błędem jest wszystko, co nie prowadzi ku „Wielkiej Albanii”. Mapy pokazujące „Wielką Albanie” wiszą na murach Tirany (stolica Albanii) i na ścianach uniwersytetu Albańczyków w macedońskim mieście Tetowo, gdzie mówi się o wspaniałej, długiej przeszłości, zapominając, iż państwo albańskie powstało dopiero w 1912 roku. Co tam zresztą „Wielka Albania”! — należy śmieiej widzieć przyszłość. Albańscy studenci z macedońskiego Tetowa przekonują niezbyt gorliwych kolegów: „Rozejrzyjcie się, jest nas tak dużo — możemy nie tylko nas wyzwolić, lecz zdobyć całe Bałkany!” („Die Zeit”). „Nas wyzwolić” znaczy: „wyzwolić” Macedonię. Macedońscy Albańczycy (około jednej czwartej ludności Macedonii) nie cedzą słów: „Urządzimy tutaj drugie Kosowo, tylko najpierw musimy stać się tu większością, jak tam!” („Reuters”).

Powstanie „Wielkiej Albanii” ukoronuje rozpad Jugosławii, który się dokonał ze schyłkiem stulecia. Wersja oficjalna głosi, że się dokonał skutek działania naturalnych sił odśrodko-

wych, stymulowanych przez konflikty międzyplemienne (międzynarodowe) i religijne (Katolicyzm-Prawosławie-Islam). Wersja nieoficjalna mówi o polityce niemieckiej, która — uzyskawszy wsparcie Waszyngtonu — czyniła wszystko, by region został zdestabilizowany, a Jugosławia rozczłonkowana. Mając do dyspozycji informacje francuskiego wywiadu, generał P. Font, były szef planowania strategicznego we francuskim sztabie generalnym, stwierdził (na łamach „**Le Figaro**”), że Niemcy, przy poparciu Stanów Zjednoczonych, „*dokonali siłą rozbioru Jugosławii, czego ukoronowaniem była dla Amerykanów secesja bośniacka, a dla Niemców chorwacka i zwłaszcza słoweńska*”.

Według Fonta Stany Zjednoczone, dowartościowując „*wyzwoleniem*” zamuzułmanioną Bośnię, a następnie wspierając zamuzułmanione Kosowo — „*kokietują świat muzułmański, pragnąc zrekompensować mu tymi działaniami swoje aktywne wspieranie Izraela*”. Jeśli tak, to przynajmniej formalnie polityka Waszyngtonu dała zupełne fiasko, gdyż „*świat muzułmański*”, miast okłaskiwać — zdecydowanie krytykował „*bezprawną agresję NATO w Jugosławii*” (słowa ajatollaha A. Chamenei, najwyższego duchowego przywódcy Republiki Islamskiej), „*zbrodnię przeciwko integralności terytorialnej Jugosławii*” (cytat z orędzia wydanego w Ammanie przez Związek Pisarzy Jordańskich), „*będącą efektem amerykańskiej żądzy dominacji nad Europą i światem*” (cytat z rządowego syryjskiego dziennika „**Techrine**”) i „*stwarzającą precedens, który może być kiedyś wykorzystany przeciwko krajom arabskim*” (cytat z wpływowego egipskiego dziennika „**Al Ahram**”). J.-P. Perrin („**Liberation**”): „*Państwa arabskie boją się, że NATO może kiedyś zastąpić ONZ, i że sojusz ten będzie regularnie ingerował wszędzie tam, gdzie są problemy wewnętrzne, m.in. etniczne*”.

Tego się boją nie tylko państwa arabskie, lecz każde małe lub słabe państwo globu — przerażone, iż w końcu drugiego tysiąclecia po Chrystusie „*liberalne*” mocarstwa cywilizacji zachodniej wynalazły bezprawną „*wojnę sprawiedliwą*” dla realizowania swoich strategicznych gier i celów.

9. KŁAMSTWO O „ANTYSERBSKIEJ SOLIDARNOŚCI ŚWIATA”

Propaganda NATO-wska ze wszech sił starała się „kaptować” społeczeństwa dla popierania agresji przeciw Serbom. Był to syzyfowy trud, wyniki sondaży rozgoryczały Prodiego, Blaira, Clintona, Chiraca i Solanę (według BBC aż 3/4 Anglików – dokładnie 73% – było przeciwnych interwencji NATO!). Jednocześnie wszędzie, we wszystkich krajach NATO, rozlegały się kontrNATO-wskie głosy znanych autorytetów. „Jan Paweł II był bez wątpienia tym liderem światowym, który wypowiedział się najbardziej surowo przeciwko zbrojnej interwencji NATO” („*Zenit*”). Angielski komentator „*Timesa*”, M. Parris: „*Hańba ci, Tony! [do premiera Blaira] Akcja NATO od samego początku była nonsensem. To więcej niż przestępstwo – to błąd*”. Francuz P. Thibaud: „*Zła wojna!*” („*L’Express*”). Nawet w USA – mimo celowego niedoinformowania amerykańskiej opinii publicznej (teza G. Weigla) – raz po raz rozlegały się ważne głosy protestu. Przeciwko interwencji NATO wystąpili m.in. były wiceprezydent (u boku Busha) D. Quayle i kontrkandydat A. Gore’a w ostatnim wyścigu do nominacji, W. Bradley; wspomniany myśliciel, G. Weigel, nazwał bombardowanie Serbii „*obłądem*” („*L’Avvenire*”), zaś arcybiskup Nowego Jorku, kardynał J. O’Connor, skrytykował jako hipokryzję uzasadnianie agresji

względami etycznymi, puentując: „*Byłoby mi bardzo trudno uważać, że prowadzenie tej wojny jest zgodne z wymogami doktryny o «wojnie sprawiedliwej»*”, („*Le Monde*”).

Żadne uczciwe badania sondażowe na temat stosunku narodu polskiego wobec agresji NATO nie były w Polsce robione. Równocześnie żaden poważny nadwiślański polityk czy książę Kościoła nie ośmielił się krytykować NATO. Gorzej: wszystkie wielonakładowe gazety czy pisma, i wszystkie telewizje polskie tworzyły zgodny chór klakierów NATO, szkalując Serbów. Co zresztą trwa w najlepsze dalej – „*polityczna poprawność*” bądź ignorancja licznych drukujących w Polsce ludzi pióra mąci obywatelom głowy, gdyż produkuje dla rodzimej opinii antyserbski żer pełen błędów lub celowych „*przekrętów*”. Nawet w bliskim memu sercu „*Tygodniku Solidarność*” czytam ze zdumieniem, iż „*Kosowo zostało podbite przez Serbię dopiero w 1913 roku*” (nonsens historyczny pani E. M. Thompson) i że Serbowie najpierw „*rozpoczęli masowe mordowanie kosowskich Albańczyków*”, potem znowu „*wymordowali tysiące ludzi*”, a jeszcze później – kiedy NATO bombardowało – „*oni dalej mordowali*” (T. Strzembosz). I to pisze dyplomowany historyk wtedy (luty 2000), kiedy niezależne zachodnie media zdemaskowały już „*czystą fantazję*” polegającą na wmawianiu Serbom ludobójstwa (jak również przyznały, że Serbowie nie represjonowali zwyczajnych kosowskich muzułmanów, tylko zwalczali secesjonistyczny terrorizm UÇK)!

Medialne „*obudzenie się z ręką w nocniku*” miało miejsce i u nas, exemplum „*Gazeta Polska*” (listopad 1999), która piórem W. Gadowskiego ujawniła trochę prawdy, pisząc m.in.: „*Czerwoni dowódcy UÇK pod parasolem KFOR samozwańczo wprowadzili krwawy porządek (...) Komendanci UÇK zachowują się jak mafijni*

bossowie; porównanie to zresztą znakomicie oddaje kosowską rzeczywistość. Wielu z nich wprost wywodzi się właśnie z osławionej kosowskiej mafii, która od wielu lat wzbudza lęk na całych Bałkanach (...) Palenie zabytkowych serbskich cerkwi i monastyrów, masakra serbskich rolników w Kacaniku, ataki na organizowane przez ONZ konwoje (niedawno Albańczycy chcieli pozabijać uciekające z Orahowaca serbskie kobiety i dzieci), zabijanie wszystkich, którzy mogliby mieć cokolwiek wspólnego z Serbią (niedawno w centrum Prisztiny rozścieszony tłum Albańczyków w biały dzień zlinczował bułgarskiego dziennikarza), bezwzględne rabowanie pozostawionego przez Serbów mienia, obrazki zapiekłej nienawiści z Kosowskiej Mitrovicy (Albańczycy chcą wymordować pozostałych jeszcze w dzielnicy za dzielącą miasto rzeką Serbów i Cyganów) czy wreszcie kilkakrotne próby zabicia przywódcy serbskiej mniejszości, umiarkowanego i skłonnego do ugody M. Trajkovicia — sprawiły, że świat odwraca się od prześladowanych jeszcze niedawno Albańczyków”.

Świat nigdy nie był masowo zwrócony ku kosowskim Albańczykom (może niezbyt wierzył w te „prześladowania” nagłaśniane za pomocą mediów), więc nie musiał się specjalnie odwracać. Nigdy — wbrew twierdzeniom prominentów i propagandzistów NATO — nie istniała antyserbska solidarność społeczeństw europejskich. I nie znalazłoby się zbyt dużo tej solidarności także u Polaków, chociaż dzisiejsza Polska jest karmiona propagandą antyserbską, a to, co nas z Serbami łączy, jest przemilczane. Kto dzisiaj w Polsce pamięta, że dwa narody, które najmocniej powstrzymywały agresję muzułmańskiego półksiężycy na Europę chrześcijańską — to Serbowie i Polacy? Kto pamięta, że Serbowie zawsze byli gorącymi przyjaciółmi Polski udręczonej gehenną rozbiorów, niewolonej, katowanej? Kto pamięta, że XIX wiek był stuleciem polskich i serbskich zrywów

narodowowyzwoleńczych, a okrwawieni emigranci znad Wisły zawsze znajdowali w serbskim domu gościnę, opiekę i refleksję współczującą? Kto pamięta, że Serbowie uczynili hymnem Jugosławii hymn Polaków — tak, „**Mazurek Dąbrowskiego**”! — dodając tej melodii swój własny, serbski tekst (dzieje świata nie znają podobnego przypadku!)? Kto pamięta, że podczas II Wojny Światowej dwie najsilniejsze partyzantki antyhitlerowskie stworzyli Serbowie i Polacy? Wreszcie kto pamięta, że Albańczycy wraz z całym islamem świętowali zdobycie Polski przez III Rzeszę, i później tworzyli dywizje SS dla wspomagania Niemców?

A propos Niemców — cytowany już generał P. Font, lansując (na łamach „**Le Figaro**”) tezę o Niemcach i Amerykanach jako głównych architektach rozbioru Jugosławii, tak tłumaczył motywację Niemców: „*Inspirowana przez Niemcy polityka budowania Europy federacyjnej, regionalistycznej, przy równoczesnym osłabianiu roli państw, nakreśla spiralę secesjonizmu, czego załączki są aż nadto widoczne. Jeśli ten plan się powiedzie — wiek XXI będzie stuleciem dezintegracji*”. Konkludując Font rzucił pytanie: „*Komu to otwarcie puszek Pandory przyniesie największy zysk?*”. Odpowiedź zna przede wszystkim Polska, której tzw. „*Ziemie Zachodnie*” (tudzież Śląsk i część tzw. „*Prus Wschodnich*”) budzą permanentny, choć formalnie tajony rewizjonizm Niemców. Polacy mają prawo obawiać się, że cała niemiecka polityka dezintegracji Bałkanów, towarzysząca integrowaniu Europy „*regionów gospodarczych*” ważniejszych niż państwa (ojczyzny) — buduje fundament przyszłego kolejnego rozbioru Polski (rozbioru w ramach „*powrotu do niemieckiej macierzy*” kilku ziem, które są dzisiaj częściami Rzeczypospolitej).

Polskiemu MSZ-owi: panowie „*europejczycy*” — nie łudźcie

się, że zbudujecie antyserbską solidarność Polaków. Służąca secesji ziem opanowanych przez mniejszości narodowe antyserbskość światowych „liberalnych” elit politycznych może się bowiem kiedyś — jeżeli Font i Łysiak mają rację — przełożyć na antypolskość. Rok temu (kwiecień 1999) telewizja TVN dopadła mnie jako wroga antyserbskiej interwencji NATO (patrz kolejny rozdział), a maglujący Łysiaka dziennikarz — zaciekły szermierz filoalbański — spytał w pewnym momencie (gdy piętnowałem secesjonistyczny terrorizm Albańczyków):

— Czy kosowscy Albańczycy nie mają prawa do niepodległości ?!

Odparłem:

— Baskowie również mają prawo. Walijszczy, Szkoci, Irlandczycy, a u nas Ślązacy, Mazurzy, Kaszubi, i górale pewnie też. Podzielmy Polskę na dziewięć części...

10. KŁAMSTWO O ŁYSIAKU LUDOBÓJOFILU

Piętnujące interwencję NATO-wską głosy znanych twórców nie były częste (efekt sterroryzowania umysłów i sumień przez koterie lewackie i przez „polityczną poprawność”). Wykładowca Columbia University, E. Said, nazwie owo milczenie światowych gwiazd „zdradą intelektualistów”, twierdząc, że to oznacza „absolutne bankructwo moralne” („El Pais”).

Ciekawostką jest, iż w każdym prawie kraju napiętnował bombardowanie Serbii jeden tylko znany pisarz (co przypomina starą sentencję N.G. Davili: „Walkę ze współczesnym światem trzeba toczyć samotnie. Gdzie dwóch — tam zdrada”). We Francji był to cytowany już przeze mnie Regis Debray, w Rosji Aleksander Sołżenicyn (wielkorus, lecz — jak wiadomo — nie bojący się mówienia prawdy), w Austrii Peter Handke (ogłosił żarliwą krytykę „NATO-wskich rzeźników” i zwrócił Nagrodę Büchnera otrzymaną niegdyś od Niemieckiej Akademii Języka i Literatury, traktując to jako akt protestu), w Anglii Harold Pinter (gwałtowna wypowiedź na łamach „Guardiana”, gdzie stwierdził m.in., że „Serbów ukarano, bo nie chcieli lizać tyłka Clintonowi”). W Polsce Waldemar Łysiak, który publicznie (TVN) nazwał Clintona „tachudrą” i — jak to skomentuje (też publicznie) L. Dymarski — „pozostał odosobniony”.

„Wśród państw środkowoeuropejskich Polska najwierniej kroczy linią NATO” („The Wall Street Journal Europe”). Nic więc

dziwnego, że w trakcie bombardowania Serbów partia sterująca polską polityką zagraniczną (Unia Wolności) ogłosiła anatemię: „Potępiamy tych, którzy za granicą i w Polsce występują przeciwko działaniu sojuszników. Niezależnie od argumentów, jakimi się posługują, występują oni w obronie ludobójstwa. Często dają w ten sposób wyraz przywiązania do polityki, którą sami w przeszłości realizowali lub popierali”. Cały ów tekst był (typowym dla UW) faryzejskim łgarstwem, albowiem ci, którzy jak ja wystąpili gdziekolwiek we świecie przeciwko NATO-wskiej agresji, nie popierali ludobójstwa, lecz odwrotnie — swym protestem piętnowali ludobójstwo. Nadto nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek „w przeszłości realizował lub popierał” (choćby jedną sylabą!) jakiegokolwiek działania reżimu PRL-owskiego — przeciwnie, robiłem mu „kuku”, za co nie raz spadały na mnie represje — gdy tymczasem wielu „europejczyków” należących dzisiaj do Unii Wolności należało niegdyś do PZPR-u, czyli lizało czerwoną dupę!

Protest przeciwko agresji Sojuszu ogłosiłem dwojako: słowem pisany (w „Tygodniku Solidarność”) i słowem mówionym (w telewizji TVN). Trzydzieści dni po eksplozji prasowej — 15 kwietnia 1999 roku — zostałem zaproszony do TVN przez znanego dziennikarza, B. Rymanowskiego. Chociaż telewizji (i to każdej, co widać) unikam niczym cholery — tym razem przyjąłem zaproszenie, bo polska opinia publiczna była wówczas notorycznie okłamywana względem agresji Paktu, należało więc wykorzystać okazję storpedowania przynajmniej części tych łgarstw. Program zwał się „Kropka nad i”, a data — 15 kwietnia — była (zupełnie przypadkowo, wbrew intencjom kochających UW pomysłodawców dyskusji) magicznie wręcz sprzyjająca upatrzonej ofierze (czyli Łysiakowi, którego chciano

ukazać jako klakiera serbskich ludobójców), tego bowiem dnia okazało się, iż wbrew wcześniejszym zapewnieniom NATO nie Serbowie, lecz bombowce NATO zamordowały 75 albańskich uchodźców, i tego samego dnia, parę godzin przed moim zjawieniem się w studiu — TVN jako jedyna prywiślańska telewizja pokazała pewnego oficera werbunkowego UÇK...

Dyskusja („na żywo”) między mną a redaktorem Rymanowskim była tak zawzięta, że jej nie przerwano, chociaż pobiła wszelkie rekordy długości trwania cyklicznej i mającej stałe ramy czasowe „Kropki nad i” (prawie 30 minut zamiast dwudziestu!). Wszelkie moje argumenty odbijały się jak groch od ściany „politycznej poprawności” interlokutora, który — wierząc święcie propagandzistom NATO (lub wierząc swoim szefom mogącym go wywalić z pracy) — grał (mimowolnie bądź premedytacyjnie) rolę leninowskiego „pożytecznego idioty”. Niby to darzył gościa szacunkiem, ale kiedy komplementował, zwał mnie np. „legendą antykomunistyczną” — to tylko po to, by zaraz sugerować, iż jestem zdrajcą antykomunizmu, bo właśnie z antykomunisty zrobiłem się (jako krytyk NATO) komunofilem. Częściej jednak wlepił mi inne zboczenie, starając się ukazać Łysiaka w roli barbarzyńskiego faszysty nie mającego litości dla katowanych muzułmanów. Perorował z głębi swej humanitarno-humanistycznej duszy o serbskich gwałcicielach i mordcach, o zakrwawionych nóżkach albańskich dzieci (sic!), o szlachetnych patriotach z UÇK, o setkach tysięcy Albańczyków wypędzanych poza Kosowo przez Serbów, o tym, że Rugovę więzi serbska policja, itd., itp. — wyczerpał prawie cały repertuar idiotyzmów, których NATO nie szczędziło naiwnym...

Ponieważ redaktor B. Rymanowski to człowiek z ilarzem — dzisiaj, gdy walą się NATO-wskie kłamstwa, chyba się wstydzi

ciut-ciut. Wtedy był bardzo pewny siebie (wszyscy dookoła gadaliby identycznie), a konfuzji uległ tylko raz — gdy wspomniałem, że parę godzin temu jego telewizja, dając „korespondencję własną”, pokazała oficera werbunkowego UÇK i wyświetliła przez cały ekran imię i nazwisko tego oficera: Hamid Gashi. Redaktor Rymanowski spytał: — Cóż w tym dziwnego?... Odparłem, że rezydujący we Włoszech szef mafii narkotykowej kosowskich Albańczyków nazywa się Agim Gashi. Redaktor Rymanowski spytał: — Jest pan pewien, że to nieprzypadkowa zbieżność nazwisk?... Nie byłem pewien, bo sprawdzić tego nie mogłem. Redaktor Rymanowski zapewnił mnie i telewidzów, że sprawdzi to bezzwłocznie TVN. Telewidzowie jednak nigdy nie doczekali się już słowa na ów temat, może więc sprawdzanie wykazało bardzo ścisłe więzy krwi (rodzinno-mafijny klan) między „oficerem werbunkowym” Hamidem Gashi a „ojcem chrzestnym” Agimem Gashi?...

Finałem tej szermierki, która obrosła chwilową legendą (liczne komentarze prasowe), mnie zaś przygniotła stosem listów dziękczynnych i takichże telefonów — było pytanie dziennikarza: — Czy jest pan przeciwny udziałowi Polski w NATO?... Odparłem, że jestem gorącym zwolennikiem członkostwa Polski w NATO, gdyż Polska potrzebuje takiego parasola ochronnego, ale nie mogę być zwolennikiem ślepych, więc kiedy NATO łamie zasady elementarnej przyzwoitości, wówczas Łysiak krytykuje NATO. Inaczej mówiąc: jestem stuprocentowym zwolennikiem NATO jako sojuszu obronnego (taki miał być ten Pakt, tak głosi Karta NATO), ale nigdy nie będę zwolennikiem NATO jako sojuszu bandyckiego, najezdniczego, gwałcącego suwerenność słabych państw pod wymyślanymi pretekstami i dla brudnych geopolitycznych celów.

Brudne cele polityczne są produktami „brudnych rąk”. Możemy kochać Zachód (należymy do cywilizacji Zachodu) i pragnąć małżeństwa z Unią Europejską, ale pamiętajmy, że póki co — wszystkie organizacyjne „święte krowy” dzisiejszego Zachodu (wszystkie wielkie organizacje międzynarodowe) są przeżarte gangreną korupcyjną, czyli załgane po dziurki w nosie, czyli nikczemne tout court. Vulgo: nie są godne bezwarunkowego, naiwnego zaufania. Tylko w ostatnich trzech latach wieku XX „wyszło z worka”, że korupcja rządzi Unią Europejską (demaskowanie gigantycznych malwersacji Komisji Europejskiej — organu wykonawczego Unii), Paktem NATO (łapówkarska „afery Claesa”, łapówkarska „afery Wörnera”, i inne), Międzynarodowym Komitetem Olimpijskim (afery z łapówkarskim przydzielaniem igrzysk), itd. Głośny brytyjski autor „Czwartego protokołu” i (nomen omen) „Diabelskiej alternatywy”, Frederic Forsyth, niedawno (styczeń 2000) tak się zwrócił do kontynentalnych Europejczyków w imieniu tych 73% Brytyjczyków, co nie poparli (wbrew stanowisku swego rządu) agresji NATO przeciwko Serbom: „My wiemy, że stale wmawiacie swoim społeczeństwom, iż Wielka Brytania jest wrogo nastawiona wobec Brukseli i Unii Europejskiej. Nieprawda — nie jesteśmy wrogami UE, tylko widzimy, że «europejski rząd» (Bruksela) to czysta korupcja. Rok w rok Europejski Trybunał Obrachunkowy notuje, że 4,8-8,6 miliardów euro nie wiadomo jak i gdzie znika. Tak po prostu. A dlaczego? Bo nikt nie jest za te monstrualne malwersacje karany. Z tego właśnie rodzi się arogancja władzy międzynarodowej” („Die Woche”).

Z tego również wzięła się tragicznie kłamliwa arogancja NATO podczas „ostatniej wojny europejskiej XX wieku”.

Zakończenie

Gdy w 1978 roku moja książka wzbudziła furję Kremla i sowieckiej Akademii Wojskowej im. Suworowa, a w rezultacie unikalną interwencję dyplomatyczną Moskwy, przez co Wydział Kultury KC PZPR „zdjął” z maszyn drukarskich dwie moje książki i zakazał publikacji wszelkich książek Łysiaka (odblokowała to dopiero Solidarność w roku 1980) — nie przypuszczałem, że kiedykolwiek stanę obok Moskwy przeciwko Zachodowi. Tym bardziej nie mogło mi się koszmarami śnić coś tak absurdalnego, gdy dwa lata wcześniej (1976) zostałem w Moskwie aresztowany przez KGB za fotografowanie siedziby KGB bez zezwolenia KGB. Czytelnicy moich książek, z których niejedna jest wręcz „rusożercza” („Cesarski poker”, „Milczące psy”, „Dobry”, „Lepszy” itd.; podobnie jak rozliczne eseje, choćby „Notre-Dame de Petersbourg” w „Wyspach bezludnych”, czy artykuły i wypowiedzi w pięciu tomach cyklu „Łysiak na łamach”) — prędzej mogliby się spodziewać, że wódz SLD, Leszek Miller, wstąpi do kamedułów, niż Waldemar Łysiak do kacapów. A jednak.

Zostałem wychowany (przez rodziców i przez lektury) w kulcie cywilizacji zachodniej (śródziemnomorskiej i celtyckiej), tudzież — jeśli chodzi o XX wiek — w szacunku dla potęgi Stanów Zjednoczonych, dzięki którym uzyskano wynik dwóch Wojen Światowych masakrujących Europę. Gardzę Rooseveltem (bo sprzedał Polskę komunistom) i kłaniam się do samej ziemi Reaganowi (bo wyzwolił Polskę spod despoty sowytyzmu). Reagan to największy prezydent USA i największy mąż stanu wieku XX.

Zostałem wychowany (przez ojca) w nienawiści wobec bol-

szewizmu i — co tu ukrywać — wobec Rosji jako takiej. Rosji gorszej niż Niemcy, od wieków barbarzyńskiej i zbrodniczej, wrednej i pazernej, ciągle dybiącej na sąsiadów. Wyciągniętą „do przyjaciół Moskali” rękę Adama Mickiewicza uciałbym bez wahania (ci „przyjaciele Moskale”, dekabryści, projektowali dla Polski niewolę gorszą niż jarzmo caratu) — wyciągać ręce mogę tylko po parę rymów Puszkina i Lermontowa, i po kilka nowel Babla, to wszystko. Rodaków gładzących o „słowiańskim braterstwie” między Lechem a Rusem uważam za renegatów lub „pożytecznych idiotów”, a rusofilów zachodnich leczylbym receptą Słowackiego, którego zgniwał czeski rusofil, profesor-filolog Vaclav Hanka:

*„Niewiele żądam... aby w jego domu
Postojem tylko stanęli dwaj Dońce...
Bóg widzi, złego nie życzę nikomu...
(...)Ażeby mu zrobili rajem
Ten świat... Kozacy jego dwaj — z nahajem”.*

Wszystko to nie może zmienić faktu, iż plugawienie rosyjskiej flagi na eksterytorialnym gruncie rosyjskiego poselstwa w wolnej Rzeczypospolitej (luty 2000) — uważam za zbrodnię plugawiącą przede wszystkim honor Polaków. Budzi to mój głęboki wstręt i rodzi to mój twardy sprzeciw. Ale nie dlatego uznałem za konieczne ogłosić protest publiczny, na łamach prasy. Zmusił mnie inny fakt — fakt, iż żaden z rodzimych antykomunistów (prawicowców, konserwatystów itp.) nie potępił chuligańskiego ekscesu, ustawiającego Rzeczpospolitą w szeregu państw-mętów praktykujących antykulturę polityki.

Nie chcę się stać notorycznym „protestantem”; nie chcę regularnie ogłaszać protestów (zwłaszcza solidarnych z wrogim mi światopoglądem lewicowym) — mam już tego dość. Lecz gdy

prawda bądź przyzwoitość doznają jawnej krzywdy, a „biała” strona sceny politycznej milczy lub komentuje to śliskimi sofizmatami — przynajmniej jeden „biały” musi krzyknąć: „*Nie zezwalam!*”, by „czerwoni” nie mogli osiąść monopolu na bogobojność.

Protestuję!

Kraj, który nie chroni należycie ambasad znajdujących się na swoim terytorium — jest krajem barbarzyńskim. Jest nędzną dziczą. Można kogoś nie lubić i dlatego nie zapraszać go, lecz gdy się już kogoś zaprosiło do swego domu — to gość ma być osobą nietykalną! Szanowały to prawo starodawne plemiona, których cywilizacja była dużo niższa od naszej, ale widać kultura i kindersztuba stały wtedy lepiej.

Kraj, w którym żaden polityk antykomunistyczny nie potępił chuligańskiego napadu na ambasadę rosyjską (ze strachu, by nie utracić „gęby” antykomunistycznej) — jest krajem, w którym normy ustalają szumowiny!

Kraj, w którym telewizja komentuje polski napad na cudzoziemską ambasadę jako incydent, a rosyjski analogiczny odwet jako działalność kryminalną — jest krajem, gdzie nikczemność relatywizmu moralnego stała się doktryną szerzoną publicznie przez główne medium.

Rosjanie! Zawsze was nie lubiłem i nieraz publicznie (piórem) dawałem temu wyraz (także za PRL-u), ale brukanie waszej siedziby i flagi na terenie mojej ojczyzny traktuję jako hańbę, która mnie samego głęboko obraża! Paskudzenie mojego domu kupą na środku salonu traktowałbym identycznie.

PROTESTUJĘ!

Waldemar Łysiak

Skandale związane z naruszaniem eksterytorialności ambasad, postponowaniem cudzych godeł, tradycji, świętości lub flag — są wodą na młyn politycznych globalistów-antynarodowców, ciągle perorujących, iż „ksenofobiczny nacjonalizm” (przez co rozumieją głównie patriotyzm) to wrzodowa wysypka dzisiejszego świata, trzeba więc zlikwidować państwa narodowe, aby uleczyć świat. Państwo narodowe — „wynałazek” XVIII wieku — już dobrych kilkanaście lat (schyłkowe dekady wieku XX) ulega dubeltowej presji: od góry jest miażdżone internacjonalizacją handlu (globalny rynek), technologii, ustawodawstwa etc., od dołu zaś prute przez różne formy regionalizmów, etnologizmów, komunitaryzmów itp. Jednak broni się twardo. Czy się wybroni w XXI wieku? Zadecydują siły motoryczne kierujące rejsem ludzkości w tym pierwszym wieku trzeciego tysiąclecia. Jeśli będzie to uparte dążenie do takich celów jak wolność, sprawiedliwość, przyzwoitość — nie „umrą” ani bogowie, ani narody. Lecz jeśli będzie to inercyjny ruch pod ciśnieniem procesów reklamowanych jako nieuchronne (globalizacja ekonomiczno-polityczna; fetyszyzacja nowych technologii, komunikacji międzyplanetarnej, inżynierii genetycznej etc.) — możliwe jest wszystko. Życzymy wszystkiego najlepszego hordom naszych praprawnuków. Niech wystrzegają się kłamstw — a szatan pójdzie „do diabła” ze spuszczoneym ogonem.

KONIEC

SPIS TREŚCI

Wstęp	11
część I — ŚWIAT	13
1. Kłamstwo postępu	14
2. Kłamstwo ewolucji	20
3. Kłamstwo polityki 1 — kłamstwo wojny	26
4. Kłamstwo polityki 2 — kłamstwo pacyfizmu	32
5. Kłamstwo polityki 3 — kłamstwo demokracji	38
6. Kłamstwo polityki 4 — kłamstwo ekonomii	44
7. Kłamstwo polityki 5 — kłamstwo dekolonizacji	50
8. Kłamstwo polityki 6 — kłamstwo komunizmu	56
9. Kłamstwo lewactwa	62
10. Kłamstwo libertynizmu 1 — erotyzm	68
11. Kłamstwo libertynizmu 2 — relatywizm	74
12. Kłamstwo antykatolicyzmu	80
13. Kłamstwo antyfamiliaryzmu	87
14. Kłamstwo historii	93
15. Kłamstwo mitologii 1 — eposy	100
16. Kłamstwo mitologii 2 — herosy	106
17. Kłamstwo kultury	112
18. Kłamstwo sportu	118
część II — POLSKA	124
1. Kłamstwo postępu	125
2. Kłamstwo ewolucji	128
3. Kłamstwo polityki 1 — kłamstwo wojny	131
4. Kłamstwo polityki 2 — kłamstwo pacyfizmu	135
5. Kłamstwo polityki 3 — kłamstwo demokracji	138
6. Kłamstwo polityki 4 — kłamstwo ekonomii	142
7. Kłamstwo polityki 5 — kłamstwo dekolonizacji	147
8. Kłamstwo polityki 6 — kłamstwo komunizmu	151
9. Kłamstwo lewactwa	156
10. Kłamstwo libertynizmu 1 — erotyzm	160

11. Kłamstwo libertynizmu 2 – relatywizm	165
12. Kłamstwo antykatolicyzmu	169
13. Kłamstwo antyfamiliaryzmu	173
14. Kłamstwo historii	177
15. Kłamstwo mitologii 1 – eposy	181
16. Kłamstwo mitologii 2 – herosy	186
17. Kłamstwo kultury	190
18. Kłamstwo sportu	196
część III – <i>aNATOmia kłamstwa</i>	200
Wstęp	201
Protest w „TYGODNIKU SOLIDARNOŚĆ”	202
1. Kłamstwo o „Albańskim Kosowie”	205
2. Kłamstwo o przyczynach konfliktu	209
3. Kłamstwo o prawomocności agresji	213
4. Kłamstwo o wojennych przewagach	218
5. Kłamstwo o wiarygodności informacji	222
6. Kłamstwo o „ludobójstwie dokonanym przez Serbów”	228
7. Kłamstwo o „partyzantce wyzwolenczej”	234
8. Kłamstwo o „zwycięstwie sprawiedliwości”	239
9. Kłamstwo o „antyserbskiej solidarności świata”	245
10. Kłamstwo o Łysiaku ludobójofilu	250
Zakończenie	255